tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 43 (1398)
19-25.10.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

- Anioł Stróżny Bogdana Święczkowskiego
- Patologia czeka w kieszeni każdego nastolatka
- Kubuś Puchatek ma 100 lat
- ZDANIE Ostatni wywiad Joanny Rawik

DONOSY INTRYGI ZDRADA



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

eprasa.pl fa2954935c

W TYM KRAJU NIE MA DOBRYCH MĘŻCZYZN

Film Otwarcia

76. Internationale Filmfestspiele Berlin

reżyseria
SHAHRBANOO SADAT



CZY W CIENIU UPADAJĄCEGO KABULU JEST MIEJSCE NA MIŁOŚĆ?

Kreatywna Europa MEDIA

AURORA

W KINACH OD 23 PAŹDZIERNIKA

cprasa.pl fa2954935



Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Fenomen Października ’56

Przełom Października ’56 to z perspektywy czasu jeden z najważniejszych okresów w powojennej historii Polski. A z pewnością najbardziej twórczy. Roman Broszkiewicz, aktywny uczestnik tamtych wydarzeń, nazywa je fenomenem – z uwagi na ich wyjątkowość w historii świata. Bo ile razy zdarzyło się to, co wtedy w Polsce? Gdzie władza dyktatorska w pokojowy sposób przemieniła się we władzę autorytarną, za pełną zgodą i poparciem ogromnej większości społeczeństwa? Ziarna wówczas zasiane dały plony później. Poznaliśmy je podczas przełomu 1989 r.

A co o kulisach wydarzeń sprzed 70 lat wie dzisiejsza młodzież? To, co wyprodukuje Instytut Pamięci Narodowej. Paszkwile zamiast rzetelnych i udokumentowanych ocen świadków historii. Żałosne to tym bardziej, że na działania IPN łożymy z naszych pieniędzy – co roku setki milionów złotych.

Dokładnie 10 lat temu nasz tygodnik zorganizował konferencję naukową z udziałem uczestników Października ’56 oraz historyków, którzy analizowali konsekwencje tych wydarzeń. Ich przebieg oraz znaczenie międzynarodowe. Zachowanie ówczesnych władz, rolę prymasa Wyszyńskiego i hierarchów Kościoła katolickiego, a przede wszystkim nastroje różnych grup społecznych. Dorobek konferencji opublikowaliśmy w książce „Przełom Października ’56”. Jest tam także bardzo ciekawa notatka z rozmów delegacji polskiej z Władysławem Gomułką z delegacją radziecką z Nikitą Chruszczowem w Belwederze. Jej autorem jest Jan Dzierżyński, który zrobił stenogram rozmów.

Na 70-lecie przygotowaliśmy konferencję „Październik a społeczeństwo polskie”. Dyskusja odbędzie się w Sejmie.

Polska uzyskała wówczas maksimum swobody możliwej w systemie jałtańsko-poczdamskim. Władysław Gomułka dostał od społeczeństwa taką władzę w kraju, która była na poziomie nieosiągalnym dla nikogo po Piłsudskim. Gdy w listopadzie 1956 r. wracał z Moskwy do Warszawy, pociąg stawał prawie na każdej stacji. Tłumy śpiewały mu „Sto lat”. Zgodnie z tradycją witany był chlebem i solą.

Gdy uruchomiliśmy stronę internetową, wybitny historyk idei Andrzej Walicki pisał, że „aby docenić znaczenie październikowego przełomu, nie trzeba być postkomunistą. Trzeba jednak nie być człowiekiem zaślepionym fundamentalistycznym antykomunizmem prawicy”. Poszperajmy w szufladach. Są nieopublikowane materiały. W archiwach domowych jest wiele zdjęć, ulotek, gazet, wydawnictw prasowych. Trzeba ocalić je przed zapomnieniem.

BĄKOWSKI



eprasa.pl fa2954935c

W NUMERZE

KRAJ

8 **Donosy. Intrygi. Zdrada**
Knucie z obcymi, by obalić Tuska

12 **Anioł Stróżny Bogdana Święczkowskiego**
Z CBA do Trybunału Konstytucyjnego

15 **Patologia czeka w kieszeni każdego nastolatka**
Od rozrywki do psychicznej destrukcji

18 **Łukasz Gibała, czyli do czterech razy sztuka**
Prezydent Krakowa na niepełną kadencję

21 **Śliwki i Pasquale**
Rynek owoców to ruletka

22 **Przyroda bez nas sobie poradzi, my bez niej – niekoniecznie**
– rozmowa z Moniką Gołębiewską-Kozakiewicz

26 **Jestem produktem Polski Ludowej**
– rozmowa z Joanną Rawik

HISTORIA

29 **Polski Październik 1956 z innej perspektywy**
Lepsze rozważne działanie niż zrywy

ZAGRANICA

31 **Hiszpania traci cierpliwość do lewicy**
Korespondencja z Madrytu

34 **Francja się nawraca. I radykalizuje**
Korespondencja z Francji

38 **Szanyrak nad stepem**
Kazachstan to już nie prowincja Rosji

KULTURA

42 **Facet z pogranicza**
– rozmowa z Andrzejem Konopką

45 **Szukalski w Chicago**
Wystawa w Muzeum Polskim

46 **Sto lat Kubusia Puchatka**
Nie bajka, lecz traktat o ludzkiej kondycji

48 **Qulturalia**

50 **Trzecia odsłona wystawy w Muzeum Plakatu**
Prace słynnych plakacistów

66 **Rafał Bojdys. Malarstwo**

SPORT

52 **Słabi, słabsi, Lech**
Ale Jagiellonia sobie radzi

NAUKA

54 **Co wspólnego ma jednokomórkowa alga z ludzkim mózgiem?**
Nobel z medycyny

OBSERWACJE

57 **Erozja grecko-tureckiego dialogu**
Konflikt o parki morskie

ZWIERZĘTA

60 **Polowanie za pomocą ultradźwięków**
Sekrety nietoperzy

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Fenomen Października ‘56

37 **Roman Kurkiewicz**
„Naza” – ballada o ludobójstwie

41 **Tomasz Jastrun**
Mali władcy świata

49 **Wojciech Kuczok**
Sztuczni inteligenci, prawdziwe bęcwały



15
KRAJ

PATOLOGIA CZEKA W KIESZENI KAŻDEGO NASTOLATKA

Od rozrywki do psychicznej destrukcji

52
SPORT



SŁABI, SŁABSI, LECH

Ale Jagiellonia sobie radzi



57
OBSERWACJE

EROZJA GRECKO-TURECKIEGO DIALOGU

Konflikt o parki morskie

Ilustracja: Iza Mierzejewska



eprasa.pl fa2954935c



Skończmy z internetową patologią

Bardzo groźnym zjawiskiem jest odebranie nauczycielom możliwości kontroli tego, co dzieci i młodzież przynoszą do szkół, a przynoszą różne rzeczy. Niech biją się w piersi ci, którzy do tej sytuacji doprowadzili. Nauczyciel nie ma prawa sprawdzić zawartości plecaka ucznia. Teraz, kiedy doszło do tragicznych w skutkach wydarzeń, MEN pracuje nad zmianą przepisów w tym zakresie. To niepoważne. Oświata nie ma szczęścia do mądrych ministrów.

Damian Paweł Strączyk

Jakiej demokracji Polacy potrzebują?



Prof. Piotr Kimla pisze o fundamentalnym podziale na demokrację woluntarystyczną i demokrację nomokratyczną. Może się nie znam, może źle to sobie wyobrażam, ale poprzez demokrację woluntarystyczną rozumiem demokrację bezpośrednią, a w demokracji nomokratycznej widzę ustrój państwa oparty na prawie.

Nie rozumiem, dlaczego prof. Kimla pisze tu o fundamentalnym podziale. Ja tu widzę jedność (po wyeliminowaniu partyjniactwa z władzy). Demokracja bezpośrednia do zarządzania wyłania przedstawicieli, a ważne decyzje podejmuje w referendum. Te decyzje winny być zgodne z obowiązującym prawem ustanowionym przez większość obywateli. Byłoby to zgodne z tym, co o władzy pisał Tomasz z Akwinu: „Jeśli zaś rządy odbiegają od sprawiedliwości, lepiej, żeby sprawowali je liczni: są wówczas słabsze, a [rządzący] przeszkadzają sobie wzajemnie. Zatem wśród rządów niesprawiedliwych bardziej znośna jest demokracja, najgorsza zaś – tyrania".

Józef Brzozowski

Sprawiedliwość w Norymberdze



Nie przeceniałabym sprawiedliwości w Norymberdze. To raczej pokazówka. Sami piszecie: „Osądzono 22 najwyższych funkcjonariuszy III Rzeszy, z których 12 skazano na karę śmierci". Wow, rzeczywiście imponujący wynik. Reszta morderców żyła potem spokojnie i miała nawet niezłe stanowiska. Czas chyba realnie spojrzeć na to „rozliczenie".

Anna Krenz



Walka o podpis

Wprowadzenie podatku od nadmiernych zysków koncernów paliwowych (tzw. windfall tax) ma na celu dostosowanie obciążeń podatkowych do działań rynkowych, w których osiągane są nieproporcjonalnie wysokie marże firm. Nowy, ograniczony czasowo podatek ma przeciwdziałać takim sytuacjom, a środki pozyskane z tego podatku, zasilając budżet państwa, pozwolą zrównoważyć ubytek we wpływach w podatku VAT i podatku akcyzowym, związany z podjętymi już w tym zakresie działaniami osłonowymi.

Biuro Komunikacji i Promocji Ministerstwa Finansów

Dyktatura sztucznej inteligencji



Dzisiaj bardzo podkreśla się moc sztucznej inteligencji, ale głupota u ludzi jest naturalna. Nic na to nie wymyślono. Ludzie szybciej przyswajają bzdury, niż pelikan wciąga ryby. Na to raczej nic się nie poradzi, a żadnej władzy na prawdzie nie zależy.

Andrzej Kościański

ZDJĘCIE TYGODNIA



Zapaśnicy sumo jedzą tylko dwa duże posiłki, ale ich dzienna dawka energii wynosi 7-10 tys. kcal. Tokijskie metro, 13 października 2026 r.

FOT. ANDREW CABALLERO-REYNOLDS/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl fa2954935c

PRZEGLĄD TYGODNIOWY

Wyrzucamy rocznie 57 kg jedzenia na osobę, o wartości 1741 zł. Ogólna wartość wyrzucanego w Polsce jedzenia przekracza 65 mld zł. • Maciej Berek złożył w Sejmie ślubowanie jako sędzia Trybunału Konstytucyjnego i przekazał pisemne ślubowanie do Kancelarii Prezydenta. Siedziba Trybunału została otoczona przez polityków PiS i ich zwolenników. • Karol Nawrocki nie chce, by Polacy wybierali tylu posłów, ilu należałoby z uwagi na zmiany demograficzne. Zawetował ustawę, która uwzględnia przyrost ludności w jednych okręgach i ubytek w drugich. Rośnie liczba mieszkańców miast, a maleje w okręgach wiejskich. To niestety zbyt skomplikowana matematyka dla ekipy Nawrockiego. • Przed Sądem Okręgowym w Warszawie ruszył proces w sprawie afer Collegium Humanum. Wśród oskarżonych są m.in. rzecznik dyscypliny partyjnej PiS Karol Karski, były europoseł PiS Ryszard Czarnecki i Jacek Sutryk, prezydent Wrocławia. • W Hamburgu po kilkuletnim śledztwie rozpoczął się proces Serhija K. Ukrainiec jest oskarżony o kierowanie siedmioosobową grupą, która wysadziła rurociąg Nord Stream. Przypisuje mu się współwinę „zbrodni wojennej", która ma polegać na „stosowaniu zakazanych metod prowadzenia wojny poprzez ataki na obiekty cywilne". • Sejmowa komisja śledcza ds. Pegasusa podsumowała wyniki badania tej afery. Będzie 11 zawiadomień do prokuratury wobec polityków PiS i byłych szefów służb (Ziobry, Kamińskiego, Wąsika, Wosia, Pawlaka, Ocieczka, Bejdy, Materki, Pogonowskiego, Szpanowskiego, Rutkowskiej-Szmydyńskiej). Do informacji operacyjnych miała dostęp izraelska firma, producent Pegasusa. Zdaniem premiera Tuska działania PiS to „zbrodnia stanu". • Tomasz Ordza, nauczyciel biologii i chemii ze szkoły podstawowej w Dąbrówce koło Poznania, został Nauczycielem Roku 2026. Konkurs organizuje „Głos Nauczycielski". • Od nowego roku prezes NBP Adam Glapiński, decyzją zarządu banku, będzie zarabiał 1,8 mln zł. Czyli prawie 5 tys. dziennie. • 56% badanych w sondażu IBRiS dla „Rzeczpospolitej" źle ocenia przyznanie Marcinowi Romanowskiemu listu żelaznego, gwarantującego mu nietykalność osobistą. Dobrze decyzję sądu oceniło 29% badanych. • Górnośląską Nagrodą Literacką Juliusz nagrodzono Marię Ciesielską i Annę Wacławik za biografię „Fleck. Ocalony przez naukę". • W Turcji zabroniono platformom społecznościowym świadczenia usług osobom poniżej 15 lat. • Coraz więcej Polaków pyta sztuczną inteligencję o zdrowie swoje lub bliskich. Z najnowszych badań wynika, że robi tak już 17 mln osób. • Najwięcej uli jest we Włoszech (1,9 mln), w Rumunii (1,7 mln), Grecji (1,2 mln) i Bułgarii (1 mln). • Około 250 tys. profesjonalnych robotów usługowych sprzedano na świecie w 2025 r. 47% trafiło do transportu i logistyki.

PRZEBŁYSKI



Duda zmienił koszulkę

Nie ma darmowych obiadów. Zwłaszcza gdy przestaje się być prezydentem. Przekonał się o tym Andrzej Duda. Pisowski nominat tak polubił pieniądze, że nie przeszkadza mu ich zapaszek. Po wielu prośbach i zabiegach przytulił go konserwatywny amerykański think tank Heritage Foundation. Trudno uwierzyć, ale Dudę prezentują jako „wizytującego eksperta o wybitnym dorobku". Kierownictwo Heritage poleciało z tym ekspertem do Jerozolimy. Na NatCon, konferencję nacjonalistów. Brytyjski „The Guardian" napisał, że było to spotkanie izraelskich nacjonalistów (z Becalelem Smotriczem, liderem skrajnie prawicowej partii Religijny Syjonizm), amerykańskich chrześcijańskich nacjonalistów i europejskiej radykalnej prawicy. Co tam robił Duda, który wystąpił podczas sesji „Znaczenie 7 października"? Wiemy, czego chce Heritage. Popiera w wyborach Netanjahu i religijno-syjonistyczną prawicę w Izraelu. Wiemy, że Duda jest bardzo elastyczny. Ale że aż tak?



Caritas i jednoręcy bandyci

Jak zarabiać milion trzysta tysięcy złotych rocznie? Co roku i od wielu lat? Patent jest prosty. Wystarczy być Caritasem i mieć magazyny pod Olsztynem. Przed laty, gdy państwo walczyło z nielegalnym hazardem, przejęto 9 tys. jednorękich bandytów. Automaty miały być dowodem w sprawie. Tyle że od dawna już nie są. Sąd chce je sprzedać, ale nie ma zgody urzędu skarbowego. Dlaczego? Wycena tego złomu kosztowałaby więcej, niż jest wart. Prawo jest tu nieubłagane. Bez próby sprzedaży nie można ich utylizować. Niestety, tych, którzy marnotrawią publiczną kasę, też nie można.

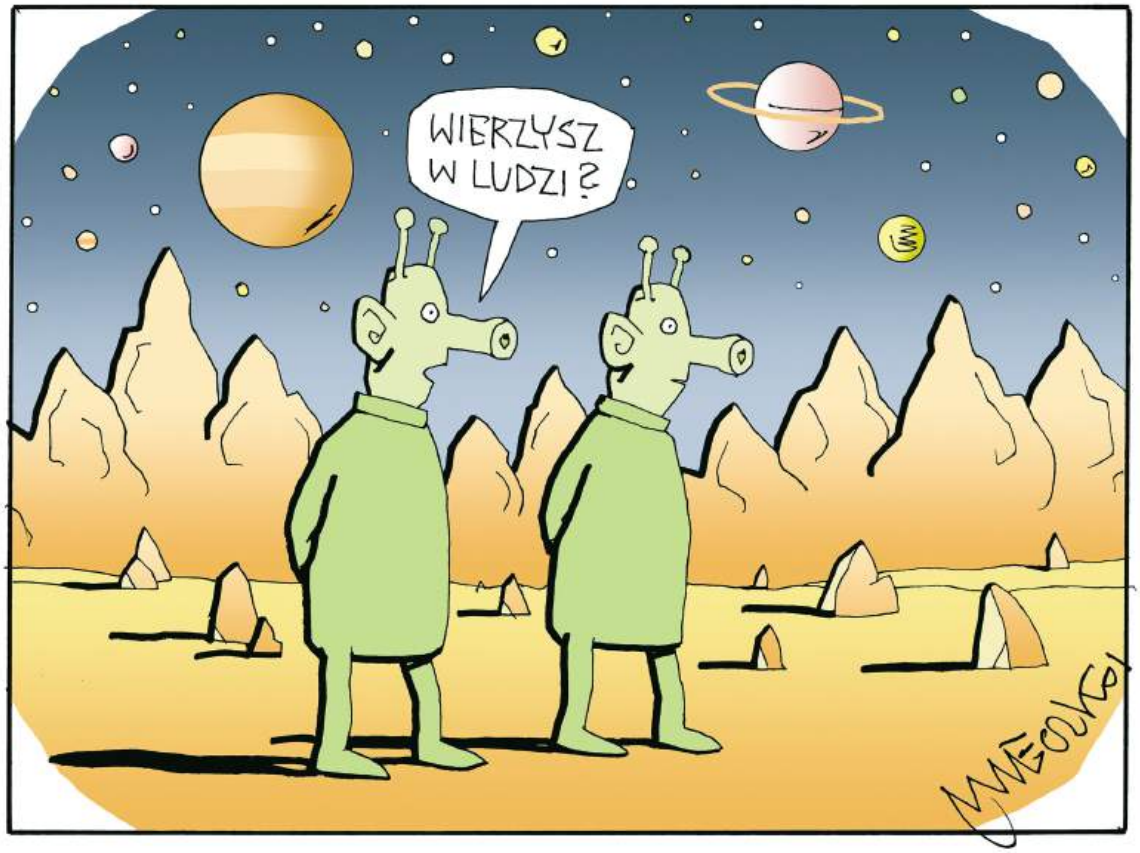
Jakie kadry, taka kancelaria



Pech albo coś gorszego? Jakieś fatum prześladuje kancelarię prezydenta Nawrockiego. Na korytarzach można tam spotkać pracowników z zarzutami prokuratorskimi. I transfery kadrowe z dość egzotycznych środowisk. Jak nie były bokser, to inny kolega z ustawek. Nie pracują za darmo. Choć w tym przypadku na słowo praca trzeba patrzeć z przymrużeniem oka. Kolegów w potrzebie Nawrocki ma tylu, że trzeba tworzyć nowe biura. A przecież swoich protegowanych wpychają do kancelarii politycy PiS. Jacek Sasin dba o kadry z Wołomina. Dyrektorką nowego Biura Energii, Rozwoju Infrastrukturalnego i Projektów Strategicznych została bibliotekarka. Marzena Małek, była dyrektorka biblioteki miejskiej w Radzyminie oraz wołomińskiego domu kultury. I dwutygodniowa minister w kabaretowym rządzie Morawieckiego.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, SHUTTERSTOCK, YOUTUBE

eprasa.pl fa2954935c



mleczko.pl
sklep.mleczko.pl
Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

PYTANIE TYGODNIA

Jaką lekturę powinno się teraz sfilmować?

PROF. PRZEMYSŁAW CZAPLIŃSKI,
historyk literatury, krytyk literacki, UAM w Poznaniu

Nie wierzę, by jakakolwiek lektura z kanonu mogła dziś połączyć tak podzielone społeczeństwo. Dlatego zamiast sfilmowanego pojedynczego tekstu wolałbym zobaczyć na ekranie tryptyk o „wewnętrznych obcych" – podmiotach bez głosu, ujawniających to, co w Polsce wyparte. Pierwsza część (ludzkie, lecz martwe): zderzenie „Pamiętnika z powstania warszawskiego" Białoszewskiego z książką „Zagłada Palestyny jest zagładą Ziemi" Andreasa Malma, które ukazałoby rujnację miast i antyheroiczne doświadczenie cywilów ukrywających się w piwnicach. Druga (żywe, lecz pozaludzkie): adaptacja książek Zenona Kruczyńskiego („Farba znaczy krew") i Dariusza Gzyry („Dziękuję za świńskie oczy. Jak krzywdzimy zwierzęta") pokazująca polowania, hodowlę przemysłową i ubój oczami zwierząt. Trzecia (sztuczne): „Bógtechy" Sylwii Czubkowskiej, które obnażyłyby to, jak cyfrowi giganci za powszechną zgodą kolonizują nasze codzienne życie.

ŁUKASZ MUSZYŃSKI,
redaktor naczelny portalu Filmweb

Z ekscytacją czekam na „Balladynę" Jana Komasy utrzymaną w konwencji horroru gotyckiego. Polski romantyzm to niezwykłe źródło historii grozy, a inspiracje twórczością Roberta Eggersa brzmią bardzo obiecująco. Gdybym jednak miał wskazać lekturę zasługującą dziś na zupełnie nowe odczytanie, postawiłbym na „Sposób na Alcybiadesa" Edmunda Niziurskiego. Przeniesienie tej historii w realia mediów społecznościowych i nieustannego przebodźcowania mogłoby przynieść znakomite efekty. Jest coś ponadczasowego w przezabawnej opowieści o uczniach, którzy kombinują, jak zdobyć dobre oceny z historii u tytułowego nauczyciela, a ostatecznie wynoszą z tej relacji znacznie ważniejszą lekcję. Niezależnie jednak od tego, czy doczekamy się wiernej ekranizacji, czy swobodnej wariacji na temat literackiego pierwowzoru, o sukcesie zawsze będą decydować dobry scenariusz i angażujący bohaterowie.

DOKTORKA KAJA KLIMEK,
krytyczka i edukatorka filmowa, znana jako Kajutex

Marzy mi się, żeby „wreszcie" powstała długo zapowiadana adaptacja filmowa (a może lepiej serialowa) „Złego" Leopolda Tyrmanda. Tu mogłoby być brawurowo, z formalnym szaleństwem i dużym budżetem, bo kino kocha takich niejednoznacznych bohaterów. Widzę też duży potencjał w „Granicy" Zofii Nałkowskiej; dylematy i tematy, które widzimy w tej książce, mogłyby wspaniale przejrzeć się we współczesnej rzeczywistości. Bardzo filmowa jest też „Zbrodnia i…" Jerzego Nasierowskiego – może mniej znana, ale drapieżna i interesująca, świetnie wpisująca się w nurt kryminalny i tożsamościowy. Jako wielka fanka komiksów chciałabym zobaczyć też adaptację „Thorgala" współtworzonego przez Grzegorza Rosińskiego. I choć skala tej opowieści wciąż chyba przerasta ekran, to świat jest już na Thorgala zdecydowanie gotowy.

Rozmawiał Maciej Belowski

eprasa.pl fa2954935c

DONOSY INTRYGI ZDRADA

Zdradą jest knucie z obcymi, by obalić polski rząd

Robert Walenciak

Ta sprawa przepłynęła jak jedna z wielu sensacji, a przecież to potężna afera. Relacje i wypowiedzi osób wtajemniczonych pozostawiają niewielki margines wątpliwości – mieliśmy do czynienia ze zdradą Polski.

„Ani wróg, ani sojusznik nie będzie decydował o tym, jaką drogą podążają Polacy, kto w Polsce rządzi, jak budujemy swoją armię", mówił, ewidentnie nawiązując do tego wydarzenia, premier Donald Tusk podczas inauguracji roku akademickiego w Akademii Sztuki Wojennej. Czyli to nie było takie nic.

Sytuacja, o której mowa, miała miejsce 2 marca br., a dowiedzieliśmy się o niej dość przypadkowo. Ujawnił to sam europoseł PiS Adam Bielan – że załatwił szefowi MON Władysławowi Kosiniakowi-Kamyszowi spotkanie z Donaldem Trumpem. A ujawnił z powodu kłótni, która wybuchła, gdy sekretarz wojny Pete Hegseth w ostatniej chwili odwołał zaplanowane na koniec września spotkanie z Kosiniakiem-Kamyszem. Wtedy padły oskarżenia, że zostało ono zablokowane za sprawą kręcących się wokół Białego Domu polityków PiS. Przede wszystkim Adama Bielana. Ten odpowiedział, że to nieprawda, nic nie ma do Kosiniaka-Kamysza, zresztą już wcześniej załatwił mu spotkanie z amerykańskim prezydentem.

I się zaczęło. Prawda, a przynajmniej jakaś jej część, wyszła na jaw.

Poufna rozmowa

Zrekonstruujmy przebieg wypadków. 2 marca w Białym Domu, z udziałem prezydenta USA, miała miejsce uroczystość pośmiertnego nadania najwyższego amerykańskiego odznaczenia wojskowego, Medalu Honoru, sierż. szt. Michaelowi Ollisowi. Żołnierz zginął w 2013 r. w trakcie misji w Afganistanie, ratując towarzysza broni, por. Karola Cierpicę, polskiego oficera.

Po tej ceremonii odbyło się przyjęcie, na stojąco. Przybyło na nie ponad 100 osób, ze strony polskiej Władysław Kosiniak-Kamysz i jego ekipa, szef ambasady Bogdan Klich i przedstawiciel Kancelarii Prezydenta Nikodem Rachoń. Jak zawsze w takiej sytuacji zrobiło się gęsto, zwłaszcza przy stole z kanapkami, powstało więc naturalne zamieszanie.

W tym zamieszaniu najpierw zniknął Donald Trump, wycofując się do swoich gabinetów. Ale po krótkim czasie, jak relacjonują media, do Kosiniaka-Kamysza i towarzyszącego mu Rachonia miał podejść wysłannik amerykańskiego prezydenta z wiadomością, że Trump czeka na szefa MON. Czyli obaj wiedzieli, że będą poproszeni.

Spotkanie miało miejsce w Gabinecie Owalnym. Nie było długie, ale i nie zdawkowe. Prezydent przecież nie zaprasza do gabinetu, żeby powiedzieć kilka banałów. To może zrobić podczas przyjęcia. Do gabinetu zaprasza się na poważną, wymagającą skupienia rozmowę, gdy ma się coś ważnego do przekazania. O czym w takim razie wówczas rozmawiali?

Oficjalnie – tak też utrzymuje Karol Nawrocki, którego przy tym przecież nie było – o bazie amerykańskiej w Polsce, o Fort Trump. A tak naprawdę? Tu pojawia się relacja premiera Donalda Tuska. Zapytany przez dziennikarzy odparł: „To zbyt ciekawa rozmowa, żeby mówić o niej publicznie. Bazy nie były jej tematem. Kiedyś historia się dowie. Rozmowa miała dyskrecjonalny charakter i dlatego czuję się zobowiązany do dyskrecji. Dotyczyła raczej sytuacji wewnętrznej w Polsce, o tak bym powiedział najdelikatniej".

Skąd premier to wie? Odpowiedź jest oczywista – z relacji Kosiniaka-Kamysza. Bo trudno przypuszczać, że od uczestniczącego w rozmowie Nikodema Rachonia, urzędnika Kancelarii Prezydenta.

•

Zatrzymajmy się na chwilę. Premier mówi, że rozmowa „dotyczyła raczej sytuacji wewnętrznej w Polsce". A przecież trudno przypuszczać, by Donald Trump był szczególnym znawcą sytuacji wewnętrznej w Polsce i by w ogóle go to interesowało. Z jego wypowiedzi na temat naszego kraju wynika, że obraz ma dość prosty: są tu jego ludzie, czyli Nawrocki i PiS, oraz ludzie znienawidzonych przez niego demokratów, czyli Donald Tusk i Radosław Sikorski. No i jest Kosiniak-Kamysz, który też kocha Amerykę, ale jakimś cudem zaplątał się w koalicję z Tuskiem. Czy nie było więc naturalne, że Trump zawołał: zróbmy big deal – niech Kosiniak-Kamysz zmieni koalicję, będzie premierem, wszystkim się opłaci!

A dlaczego z takim apelem mógł wystąpić? Bo ktoś go wcześniej zbriefował. Ktoś go do tego namówił,

eprasa.pl fa2954935c



Kandydat na prezydenta Donald Trump na wiecu w Salem w stanie Wirginia. Z tyłu Dominik Tarczyński. 2 listopada 2024 r.

powiedział, że to możliwe. Ktoś z bliskiego otoczenia, z grona jego bliskich współpracowników. Na to wskazuje kilka elementów.

Po pierwsze, proszę zwrócić uwagę na zachowanie Kosiniaka-Kamysza. Nasi politycy za wielkie wyróżnienie poczytują sobie zamienienie kilku słów z Donaldem Trumpem. W Polsce natychmiast jest to sprzedawane jako dowód wielkich wpływów w Białym Domu i wielkiej przyjaźni z prezydentem USA. A tu mieliśmy ciszę. Spotkał się z Trumpem, rozmawiał i nie pochwalił się z fanfarami. Dlaczego? Może dlatego, że sam prezydent USA poprosił go o poufność? A może dlatego, że rozmowa dotyczyła spraw, których nie sposób upublicznić? W każdym razie Kosiniak-Kamysz poinformował o niej swojego przełożonego, premiera Tuska.

Po drugie, przecież wszyscy pamiętamy i wybory prezydenckie w USA dwa lata temu, i te polskie, wiosną 2025 r. W obu mieliśmy szczególny sojusz, szczególną prawicową międzynarodówkę.

Emisariusze

W sztabie Trumpa widzieliśmy co najmniej trzech emisariuszy z Polski: Adama Bielana, Nikodema Rachonia i Dominika Tarczyńskiego.

Bielan, europoseł PiS, już wcześniej jeździł do USA, kontaktował się z ekipą MAGA i sztabowcami Trumpa. Głośno było o jego wyjeździe w grudniu 2024 r. w celu szukania pomocy w kampanii Karola Nawrockiego. „Podpatruje, radzi się w otoczeniu Trumpa i speców od kampanii", mówił „Super Expressowi" informator przedstawiony jako „polityk PiS".

Potem, w maju 2025 r., Bielan zorganizował Nawrockiemu wizytę w USA i krótkie spotkanie w Gabinecie Owalnym z Trumpem. Amerykański prezydent udzielił wsparcia Nawrockiemu.

Tarczyński sam złożył donos na polski rząd na ręce prezydenta USA: „Sztab Trumpa otrzymał wszystkie materiały z negatywnymi wypowiedziami na jego temat".

Bielan też ściągnął do Rzeszowa, na zjazd prawicy z całego świata, CPAC, tuż przed drugą turą wyborów, amerykańską sekretarz bezpieczeństwa krajowego Kristi Noem (w zastępstwie wiceprezydenta J.D. Vance'a), która udzieliła poparcia Nawrockiemu. A gdy Nawrocki już jako prezydent RP jechał do USA, Bielan został dołączony do jego delegacji.

Nikodem Rachoń to inny sort. Młodszy brat dziennikarza Michała Rachonia, rocznik 1981, absolwent filozofii na KUL, na szersze salony wkroczył w 2016 r., czyli po przejęciu władzy przez PiS. Trafił wtedy do Grupy Energa na dyrektorskie stanowiska związane z komunikacją korporacyjną i marketingiem. W 2020 r. przeszedł do MSZ. Wysłano go do ambasady RP w Waszyngtonie i został attaché prasowym. Budziło to kontrowersje nawet w gronie polskich prawicowców, bo przecież nie miał żadnego pojęcia o pracy dyplomatycznej. Ale miał zadania – współpracował z kancelarią Andrzeja Dudy, no i z ludźmi od Trumpa.

I gdy w maju 2024 r. Radosław Sikorski odwołał go z placówki, natychmiast przeszedł do Kancelarii Prezydenta, na stanowisko podsekretarza stanu. „Oczywiście to gest prezydenta pod adresem Telewizji Republika. Ale młody Rachoń ma dobre notowania u Dudy", cytował dziennikarz Onetu opinię osoby z otoczenia prezydenta. Dziś Nikodem Rachoń jest doradcą w kancelarii Karola Nawrockiego. I także krąży między Warszawą a Waszyngtonem.

A Dominik Tarczyński? To jeszcze inny sort. Zaangażowany był w kampanię Trumpa, działał w jego sztabie, organizował dla niego poparcie Polonii amerykańskiej. A po kilku miesiącach pracy w sztabie Trumpa mówił portalowi wPolityce.pl: „Poprosili mnie o to, abym w mediach przedstawił nasz punkt widzenia, to znaczy to, dlaczego zwycięstwo Trumpa jest istotne dla Europy, dla Polski. Współpracowałem ze sztabem Donalda Trumpa na wielu płaszczyznach. Zaczęliśmy od spotkań z Polonią, później były to spotkania otwarte nie tylko z Polonią, ale generalnie z wyborcami w USA".

Wszystkich trzech łączyło poparcie dla Trumpa, no i donoszenie na polskich rywali PiS.

eprasa.pl fa2954935c

Sam Tarczyński podkreślał zresztą z dumą, że złożył donos na polski rząd prosto na ręce prezydenta USA. „Mogę ujawnić, że sztab Donalda Trumpa otrzymał wszystkie materiały z negatywnymi wypowiedziami na jego temat – cieszył się w rozmowie z wPolityce.pl. – Donald Trump jest świadomy, co pisała na jego temat żona Radosława Sikorskiego, co mówili o nim polscy politycy, w tym Donald Tusk".

Tak sączy się jad

Jeżeli posłuchamy wypowiedzi Karola Nawrockiego, Jarosława Kaczyńskiego czy Adama Bielana, uderzające będzie, że w ogóle nie kryją się ze swoją nienawiścią do Tuska ani z tym, że opowiadają Amerykanom o nim i jego współpracownikach najgorsze rzeczy. Donos goni donos. Tak budują obraz Polski i polskiej polityki.

O Sikorskim i jego żonie Bielan mówił: „Nie było pary w polskiej historii w ciągu ostatnich 30 lat, która zaszkodziła bardziej wizerunkowi naszego kraju niż Sikorski i Applebaum. Są setki artykułów, które ta para sprokurowała w międzynarodowej prasie, wykorzystując swoje dobre relacje towarzyskie, począwszy od lewicowego »Guardiana« w Wielkiej Brytanii, skończywszy na »Washington Post«. W dziesiątkach, setkach artykułów widać odciski palców Sikorskiego i Applebaum, w czasie kiedy rządziła Zjednoczona Prawica".

Powtarza też ciągle, że szef MSZ nie ma wstępu do Białego Domu i może co najwyżej fotografować się na trawniku przed budynkiem, jak zwykły turysta.

Jeszcze bardziej twardo Bielan wypowiada się o premierze. „Donald Tusk jest persona non grata, wie to każdy polityk w Waszyngtonie. Tuska nie będzie w Białym Domu za prezydentury Trumpa", deklarował wielokrotnie. I przypominał dlaczego.

Przekaz Bielana jest jednolity: „Pan prezydent Karol Nawrocki jest głową państwa, ma świetne relacje w Waszyngtonie. A z drugiej strony mamy premiera, który amerykańskiego prezydenta oskarżył całkowicie fałszywie, bez przedstawienia jakichkolwiek dowodów, o to, że przez ponad 30 lat pracował dla obcego wywiadu. No i jak już wielokrotnie mówiłem, jest dzisiaj w Białym Domu persona non grata. Czyli nie ma wejścia do Białego Domu, nie ma żadnych kontaktów z amerykańskim prezydentem. W tej sytuacji to prezydent Karol Nawrocki musi wziąć na siebie ciężar rozmów z Amerykanami".

Bielan bezustannie przypomina ludziom Trumpa, że w marcu 2023 r. w Bytomiu, nawiązując podczas wiecu do raportu prokuratora specjalnego Roberta Muellera w sprawie domniemanych związków Trumpa i jego współpracowników z Rosją, Tusk powiedział, że „zależność Donalda Trumpa od rosyjskich służb nie podlega dyskusji".

Koniec, kropka. Bielan dba, by te słowa wciąż brzmiały w uszach Trumpa. W ten sposób zohydza przeciwnika politycznego, a równocześnie wzmacnia swoją pozycję jako ten wierny sojusznik.

Popatrzmy szerzej na działania Bielana. To on organizował nocne spotkanie Szymona Hołowni i Jarosława Kaczyńskiego. I on, korzystając również z pośrednictwa Michała Kamińskiego, próbował urabiać Władysława Kosiniaka-Kamysza.

To nie intryga, to zdrada

Choć intrygi polityczne stanowią część tego zawodu, są paskudne i budzą niechęć. Donoszenie na Polaków zagranicznym politykom jest poniżej poziomu akceptacji i budzi obrzydzenie. Adam Bielan zajmuje się więc sprawami mało chwalebnymi. Ale organizując spotkanie Trumpa z Kosiniakiem-Kamyszem, które miało dotyczyć polskich spraw wewnętrznych i zmiany koalicji, przekroczył wszelkie granice. Wszedł na ścieżkę targowicy – prosząc o interwencję w sprawy swojego kraju obcego monarchę.



Czy ma świadomość, że zdradą jest namawianie prezydenta obcego państwa, by angażował się w zmianę władzy w Polsce?

Przypomnijmy, targowiczanie przecież nie chcieli rozbiorów Polski. Sami uważali się za wielkich patriotów i obrońców prawdziwej Polski oraz polskiej wolności przed zarazą, która idzie z zachodu, przed tymi rewolucjonistami, Niemcami… W swoim mniemaniu bronili polskich wartości przed europejską zgnilizną.

Nawrocki, Kaczyński czy Bielan nie kryją się z nienawiścią do Tuska ani z tym, że mówią Amerykanom o nim najgorsze rzeczy.

I w imię ich obrony zwrócili się do Katarzyny II, którą uważali za przyjaciółkę Polski.

Wiara targowiczan, że obcym wojskiem i naciskiem z zewnątrz da się rozwiązać polski spór, że z pomocą obcych żołnierzy obalą przeciwników i uzyskają władzę, skończyła się klęską narodu i państwa.

Podobne schematy miały miejsce w późniejszych latach. W Polsce Ludowej gen. Wojciech Jaruzelski musiał się liczyć z siłą partii Moskwy, grupą towarzyszy współpracujących z ambasadą ZSRR. Ci parokrotnie próbowali go odwołać pod zarzutem kapitulowania przed kontrrewolucją i braku wiary w ZSRR. Byli wręcz gotowi tworzyć nową ekipę, popierającą interwencję wojsk Układu Warszawskiego.

eprasa.pl fa2954935c





Adam Bielan, Nikodem Rachoń i Dominik Tarczyński, czyli emisariusze z Polski w sztabie Trumpa.

Teraz ten schemat powtarzają Adam Bielan z Nikodemem Rachoniem i ich szefowie. Bo zachęt im nie brakowało.

Po wygranych przez Trumpa wyborach posłowie PiS założyli w Sejmie czerwone czapeczki z hasłem „Make America Great Again", wstali z miejsc i skandowali: „Donald Trump! Donald Trump!". Panowała ogólna euforia.

„Cieszymy się ze zwycięstwa Donalda Trumpa. Sądzę, że to jest powszechne w naszej partii", mówił Jarosław Kaczyński. A jego totumfacki Mariusz Błaszczak domagał się dymisji rządu Donalda Tuska, bo wygrał Trump. Przekroczył tym wszystkie granice – i przyzwoitości, i rozumu. Wypomniał mu to zresztą na łamach prawicowego tygodnika „Do Rzeczy" Łukasz Warzecha: „Zatem zdaniem Błaszczaka o tym, kto rządzi w Warszawie, miałoby decydować to, kto rządzi w USA. Jeśli to nie jest mentalność kolonialna, to nie wiem, co nią jest. A mówi to przedstawiciel ugrupowania, które na każdym kroku podkreśla, że nikt nie powinien nam niczego z zewnątrz dyktować ani narzucać".

Niestety, w podobnym, służalczym tonie wypowiada się Karol Nawrocki, podkreślając, że jest politykiem proamerykańskim.

Grzech śmiertelny

Atmosferę sprzed dwóch lat, która zresztą na prawicy specjalnie się nie zmieniła, niech zilustrują ówczesne przepowiednie polityczne. Dwa lata temu Tomasz Sakiewicz, naczelny „Gazety Polskiej" i szef Telewizji Republika, pisał o rządach Trumpa: „USA zmienią się tak bardzo, że trudno będzie to odwrócić. Ale republikańska fala idzie dalej. Trump ustanowi zdecydowanie zgodny z jego poglądami Sąd Najwyższy, który będzie strzegł tradycyjnych amerykańskich wartości. (…) Co do wojny na Ukrainie, Trump nie musi wiele robić, by ją zakończyć. Wystarczy, że zgodnie z obietnicą obniży ceny ropy i gazu na świecie, a Putin i inni wrogowie naszej cywilizacji zdechną z głodu. Ameryka zablokuje marsz nielegalnych imigrantów, a w ślad za USA pójdą kolejno kraje Europy. Przy okazji będą upadać przeciwne temu rządy. Ile to potrwa? Trudno powiedzieć, ale za kadencji Trumpa totalne ideologie XX w. runą ostatecznie. Są nieopłacalne, niewygodne, a jak widać – często również niebezpieczne. Ludzkość idzie po rozum do głowy".

Jak na te akty wiary reagować? Targowiczanie, gdy okazało się, do czego doprowadzili, tłumaczyli się w ten sposób: „Byliśmy może głupcami, ale nie byliśmy zdrajcami". Tylko że było już za późno. Ta idea powinna przyświecać wszystkim Polakom: niemoralne, niemądre i niebezpieczne jest oddawanie losu narodu w obce ręce.

Amerykanie nie ukrywają, że Polska i jej sprawy są na dalekim planie ich polityki. Najważniejszy jest Pacyfik, potem półkula zachodnia, dalej Bliski Wschód, a dopiero później Europa. I gdzieś w oddali kraj nad Wisłą. W tym myśleniu Polska jest raczej średnio znaczącym elementem, cząstką, którą trzeba dostosować do większej gry. Którą np. można przehandlować, bez większego żalu, w imię dobrych relacji z Moskwą. A na nich Donaldowi Trumpowi bardzo zależy – jak widzimy po jego wypowiedziach i podróżach jego wysłanników: Jareda Kushnera i Steve'a Witkoffa. Trzeba to mieć na względzie.

I pomijam już, że dziś miłość do Trumpa kompromituje, że Kaczyński, PiS i Nawrocki, wołając, że są bezwarunkowo protrumpowscy, ośmieszają się, postawili na złego konia. Sprzedali się głupio. Bo chodzi tu nie o Trumpa, ale o sam sposób myślenia i rozumienia, co polityk może, a czego powinien się wystrzegać.

Owszem, to nie grzech kibicować bliskim ideowo partiom w wyborach za granicą. To nie grzech prowadzić z nimi wspólne działania, zawierać sojusze i dogadywać się. Ale grzechem i zdradą jest knucie z obcymi, by obalić polski rząd. Zdradą jest namawianie obcych, by mieszali się w polskie sprawy.

To przekroczenie tej cienkiej granicy między fascynacją a zdradą. Między cwaniactwem a sprzedajnością. Mam nadzieję, że wyraziłem się jasno.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. ALLISON JOYCE/AFP/EAST NEWS, ANITA WALCZEWSKA/EAST NEWS, GENEVIÈVE ENGEL/EP BRIGITTE HASE/EP

eprasa.pl fa2954935c

Anioł Stróżny Bogdana Święczkowskiego

Co robi były oficer służb specjalnych w Trybunale Konstytucyjnym?

Andrzej Sikorski

Zaufany Zbigniewa Ziobry i były prokurator krajowy udający niezależnego, apolitycznego i niezawisłego sędziego – prezesa Trybunału Konstytucyjnego – ogłosił, że „wobec bezprecedensowego ataku" prokuratury wymierzonego w TK, „a w szczególności w Dyrektora Kancelarii i Komendanta Straży Trybunalskiej, oraz ich zawieszenia w czynnościach służbowych" mianował jako swojego doradcę ds. bezpieczeństwa płk. Andrzeja Stróżnego, byłego oficera Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i szefa Centralnego Biura Antykorupcyjnego za rządów PiS.

Przypomnijmy, że Bogdan Święczkowski nie chce dopuścić do orzekania oprócz Macieja Berka także czwórki sędziów wybranych w marcu br. przez Sejm. Ponieważ Karol Nawrocki nie raczył zaprosić Marcina Dziurdy, Krystiana Markiewicza, Anny Korwin-Piotrowskiej oraz Macieja Taborowskiego do Pałacu Prezydenckiego i przyjąć od nich ślubowania, zgodnie z konstytucją złożyli ślubowanie wobec prezydenta, ale w Sejmie bez jego obecności. Święczkowski uważa, że takie ślubowanie jest nielegalne, i napuścił na nieuznawanych przez siebie sędziów, którzy chcieli rozpocząć pracę w TK, dyrektorkę kancelarii i komendanta straży.

Według prokuratury Zofia H. i Piotr P., wykonując polecenia Święczkowskiego, popełnili przestępstwa, takie jak uniemożliwienie sędziom TK wykonywania obowiązków służbowych oraz uprawnień związanych z pełnieniem urzędu sędziego TK, naruszanie praw pracowniczych, poddawanie sędziów „stałej, naruszającej ich godność kontroli w zakresie przemieszczania się po budynku TK" czy „uniemożliwienie im swobodnego poruszania się po tym budynku oraz korzystania z pomieszczeń przeznaczonych dla sędziów TK". Oboje usłyszeli zarzuty prokuratorskie, a Święczkowski uznał to za atak na sąd konstytucyjny.

Byłemu prokuratorowi krajowemu chodzi nie o przestrzeganie prawa, ale o własny interes. Gdyby dopuścił sędziów do orzekania, straciłby większość w TK, która zapewnia mu zachowanie immunitetu. A prokuratura chce postawić mu zarzut inwigilowania Romana Giertycha nielegalną cyberbronią Pegasus. Niewykluczone, że zausznik Ziobry usłyszy też zarzuty w innych sprawach, bo, jak wiemy z przygotowanego na polecenie Adama Bodnara raportu o nadużyciach w prokuraturze za rządów PiS, na masową skalę wykorzystywano prokuraturę do celów politycznych.

Człowiek do zadań specjalnych

Wróćmy do nowo powołanego doradcy ds. bezpieczeństwa TK. „Jaki jest zakres obowiązków płk. Andrzeja Stróżnego? Przed kim lub przed czym Andrzej Stróżny ma bronić Trybunał Konstytucyjny?", zapytałem Bogdana Święczkowskiego, ale odpowiedzi nie udzielił. Możemy więc tylko się domyślać. Stróżny stoi na czele organizacji Orla Rota – Niezależni w Służbie dla Polski skupiającej pisowskich funkcjonariuszy służb specjalnych. W statucie napisano, że jej celem jest „wspieranie byłych funkcjonariuszy lub pracowników służb lub innych formacji działających na rzecz bezpieczeństwa państwa i porządku publicznego, w zakresie ochrony ich praw do godnego funkcjonowania poza służbą". Święczkowski to były szef ABW, prawdopodobnie zatem upolitycznieni tajniacy ze Stróżnym na czele będą sabotować działania rządu zmierzające do sanacji sądu konstytucyjnego.

> Święczkowski z Ocieczkiem przy współudziale Stróżnego urządzili prowokację wobec Barbary Blidy.

Stróżny ma opinię człowieka Święczkowskiego. Urodził się w 1970 r. w Pankach. W 1992 r. po odbyciu zasadniczej służby wojskowej wstąpił do policji. Służył w katowickim garnizonie w wydziale do walki z przestępczością przeciwko życiu i zdrowiu. W 2006 r. jako zaledwie starszy aspirant (czyli chorąży) przeszedł do ABW, gdzie został od razu p.o. zastępcą szefa departamentu postępowań karnych. Szefem ABW był wtedy właśnie Święczkowski, a jego zastępcą Grzegorz Ocieczek. To Święczkowski z Ocieczkiem przy współudziale Stróżnego urządzili prowokację wobec posłanki SLD i byłej minister budownictwa Barbary Blidy.

eprasa.pl fa2954935c

Polityczka lewicy wrobiona w przestępstwa korupcyjne na podstawie sfingowanych zarzutów zginęła od postrzału z rewolweru w niewyjaśnionych okolicznościach, w swoim domu w Siemianowicach Śląskich w trakcie próby zatrzymania przez ABW. Zatrzymanie zostało zaplanowane jako medialne przedstawienie. Upokorzona kobieta miała być wyprowadzona z domu w kajdankach, a cała akcja filmowana przez ABW. Zdjęcia wyprowadzanej posłanki miały trafić do telewizji i uatrakcyjnić konferencję prasową Ziobry o rozbiciu tzw. układu postkomunistycznego.

Ocieczek i Stróżny mieli nadzorować operację na miejscu. Dlatego udali się na Śląsk. Przed sejmową komisją śledczą łgali, że w domu Blidy znaleźli się przypadkowo, gdy dowiedzieli się o jej śmierci. Ocieczek twierdził, że był na pogrzebie kolegi, ale nie pamiętał jego nazwiska ani nazwy miejscowości, gdzie pochówek się odbywał. Stróżny mówił, że wyprawiał córce urodziny i otrzymał formalny urlop, co było kłamstwem, gdyż nie stawił się w pracy w centrali ABW w Warszawie. Kłamał też Święczkowski, twierdząc, że na Śląsku załatwiał prywatne sprawy. Tymczasem dwa dni przed zatrzymaniem Blidy był w delegaturze katowickiej, gdzie instruował podwładnych co do sposobu przeprowadzenia zatrzymania.

Za udział w spisku przeciwko Blidzie Stróżny powinien wylecieć z ABW. Ale krzywda mu się nie stała. Pod rządami PO-PSL pracował jako skromny ekspert w pionach zwalczania terroryzmu oraz kontrwywiadu. Gdy PiS ponownie doszło do władzy, w grudniu 2015 r. awansował na szefa delegatury ABW w Katowicach.

Na usługach polityków

W 2020 r. premier Morawiecki wręczył Stróżnemu nominację na szefa CBA. Zastąpił Stróżnym Ernesta Bejdę, który odszedł w niesławie, gdy okazało się, że Katarzyna G., kasjerka zatrudniona w pionie finansów CBA, okradła firmę na ponad 9 mln zł. Pieniądze pochodziły z funduszu operacyjnego. Sprawa była kompromitująca, bo złodziejski proceder trwał kilka lat. Kobieta sama ujawniła się przełożonym. Żeby było ciekawiej, Katarzyna G. pieniądze przekazywała mężowi, nałogowemu hazardziście, który wszystko przepuścił na obstawianie wyników meczów piłkarskich.

Gdy Stróżny został szefem CBA, jako zastępcę w spadku po Bejdzie miał Grzegorza Ocieczka. Jak wiemy, antykorupcyjna policja uzbrojona w Pegasusa stała się narzędziem walki politycznej PiS z opozycją i nie tylko. Kontrolowanymi przeciekami z CBA uderzano nawet w Mateusza Morawieckiego. Wiosną 2021 r. rządowe „Wiadomości" TVP zaatakowały Pawła Borysa, prezesa Polskiego Funduszu Rozwoju, któremu zarzucono, że robił karierę w bankowości dzięki PO, a pieniądze z tarczy antykryzysowej zasiliły jedną z agencji towarzyskich. Borys uchodził za bliskiego współpracownika premiera, który był w konflikcie z obozem Ziobry. To ówczesny minister sprawiedliwości miał przekonywać Jarosława Kaczyńskiego, że Morawiecki jest nielojalny wobec PiS, a państwowe pieniądze z tarcz antykryzysowych kierowane są do firm związanych z działaczami PO. Prezes PiS tak bardzo się tym przejął, że nakazał Stróżnemu objęcie ich szczególną kontrolą. Materiał w „Wiadomościach" miał być dla Kaczyńskiego potwierdzeniem podsuwanych mu przez ziobrystów teorii spiskowych.



Przesłuchanie byłego szefa CBA Andrzeja Stróżnego przed komisją śledczą ds. zbadania m.in. legalności i prawidłowości działań w zakresie legalizacji pobytu cudzoziemców na terytorium Polski. Warszawa, 30 września 2024 r.

Prawdziwą bombę odpalił jednak Paweł Wojtunik, szef CBA w latach 2009-2015. W rozmowie z Piotrem Kraśką w „Faktach po faktach" w TVN 24 ujawnił, że dwa dni przed wyborami parlamentarnymi w 2023 r. kierownictwo CBA podczas narady w ośrodku konferencyjno-szkoleniowym w Lucieniu namawiało szefów delegatur do inwigilowania opozycji. Podsłuchy miałyby być zakładane na pięć dni, co zgodnie z prawem można zrobić bez kontroli sądu, jedynie za zgodą prokuratora generalnego. Według nieoficjalnych informacji kontrola operacyjna miała być skierowana przeciw politykom PSL i Polski 2050. Kompromaty zamierzano wykorzystać do szantażu i przeciągnięcia posłów partii demokratycznych na stronę PiS, które chciało rządzić trzecią kadencję.

„Stanowczo dementuję kłamstwa szerzone przez Pawła Wojtunika

FOT. ANITA WALCZEWSKA/ EAST NEWS

eprasa.pl fa2954935c

o rzekomym poleceniu stosowania kontroli operacyjnej wobec przedstawicieli opozycji. Informuję, że w odniesieniu do tych wypowiedzi skieruję do prokuratury zawiadomienie o możliwości popełnienia przez Pawła Wojtunika przestępstwa, o którym mowa w art. 212 par. 2 kk, tj. przestępstwa zniesławienia za pośrednictwem środków masowego komunikowania", napisał w oświadczeniu Stróżny.

Tyle że prokuratura nie może ścigać z art. 212, bo dotyczy on przestępstwa zniesławienia ściganego w tzw. trybie prywatnoskargowym. Czyli akt oskarżenia wysyła do sądu osoba lub instytucja, która czuje się zniesławiona. Ale upolityczniona prokuratura już następnego dnia po złożeniu zawiadomienia wszczęła śledztwo, przy czym zmodyfikowała zawiadomienie, dopisując do niego art. 235 Kodeksu karnego mówiący o fabrykowaniu dowodów przestępstwa (sic!).

Nie strasz, nie strasz…

Gdy nastał nowy rząd, Stróżny nie chciał ustąpić ze stanowiska. W grudniu 2023 r. na zamkniętym posiedzeniu sejmowej Komisji ds. Służb Specjalnych premier Donald Tusk i minister Tomasz Siemoniak zakomunikowali zamiar zmiany szefa CBA, jako powód podając brak zaufania. Stróżny oświadczył, że jego kadencja kończy się w maju 2024 r., a brak zaufania premiera nie jest przesłanką ustawową do jego odejścia ze stanowiska. Po czym zapytał, czy są do niego jakieś sprawy, wstał i wyszedł z posiedzenia komisji.

Premier znalazł jednak sposób na pozbycie się upolitycznionego funkcjonariusza. Wykorzystano ustawę o CBA i zapisane w niej wymogi, które musi spełniać szef tej służby, takie jak nieskazitelna postawa moralna, obywatelska i patriotyczna. Te cechy obce są Stróżnemu, który kłamał przed komisją śledczą ds. śmierci Barbary Blidy i tolerował upolitycznienie CBA.

Stróżnemu obce jest też pojęcie honoru. Nie stawił się przed sejmową komisją śledczą ds. Pegasusa, bo tak jak jego polityczni protektorzy z PiS uznaje ją za nielegalną. Przy czym wpadł w furię, gdy szef CBA Tomasz Strzelczyk oświadczył, że w sprawie wykorzystywania nielegalnej cyberbroni wobec przeciwników politycznych PiS współpracuje z prokuraturą, czego efektem było postawienie zarzutów trzem funkcjonariuszom CBA.

„Opowie pan o tym wszystkim w swoim czasie opinii publicznej i prokuratorowi. W szczególności o tym, z jakiego powodu, na jakiej podstawie prawnej, na czyje polecenie i w czyim interesie przekazał pan tzw. komisji ds. Pegasusa (i nie tylko jej) informacje dotyczące środków, form i metod pracy operacyjnej służb specjalnych. (…) O kierowaniu wobec funkcjonariuszy zawiadomień do prokuratury dotyczących rzekomych przestępstw, najwyraźniej głównie po to, by zaspokoić oczekiwania politycznych nadzorców, nawet nie wspominam. (…) I wreszcie, jakie oczekiwania, obietnice lub korzyści miały otworzyć się przed panem po wykonaniu tego politycznego zadania. O tym również warto opowiedzieć opinii publicznej. Zwłaszcza że do dziś mówi się o tym w środowisku osób panu bliskich i znających kulisy tamtych wydarzeń. Być może wyjaśni pan również, czy były to jedynie oczekiwania, czy też część z nich została już zrealizowana", insynuował Stróżny.

Niedawno pisowski bohater służb specjalnych usłyszał w prokuraturze zarzuty. Otóż Stróżny, który nie mieszka w Warszawie, zamiast wynająć mieszkanie (np. z zasobów Kancelarii Prezesa Rady Ministrów), wykorzystał tajny fundusz operacyjny CBA i za ponad 1,2 mln zł kupił lokal na własny użytek. Było to przestępstwo, gdyż lokale nabyte z tej puli środków nie mogą być wykorzystywane do prywatnych celów, jedynie do prowadzenia operacji czy spotkań funkcjonariuszy z informatorami. Stróżny bronił się, twierdząc, że „zarzuty te, wygenerowane z pomówień i oszczerstw podyktowanych najniższymi pobudkami, bezpośrednio uderzają w moją uczciwość, godność oficera i wieloletnią służbę państwu, w tym jako żołnierz Wojska Polskiego, funkcjonariusz policji, ABW i CBA".

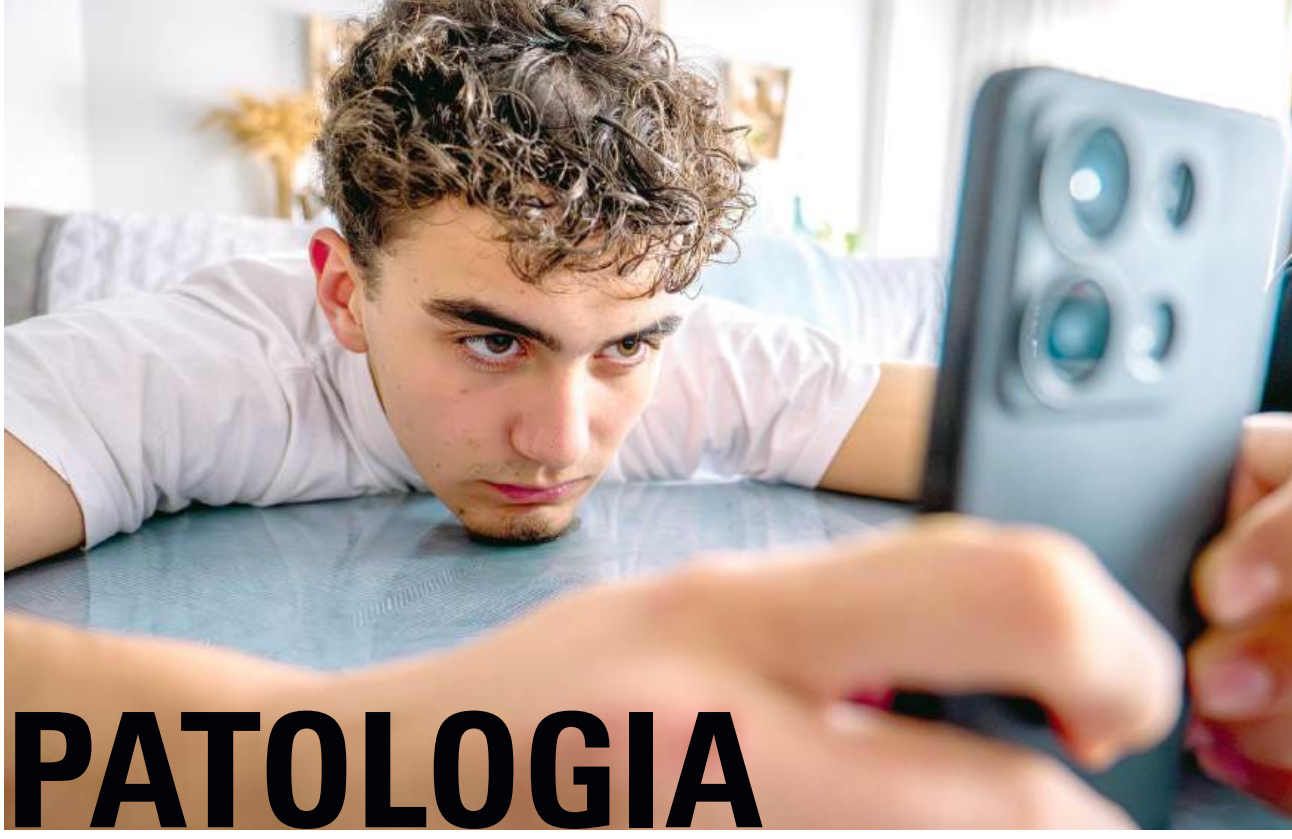
Za udział w spisku przeciwko Blidzie Stróżny powinien wylecieć z ABW.

Patriota i państwowiec Andrzej Stróżny ma też drugą twarz. Jest gitarzystą i wokalistą zespołu rockowego EL.PANK.EL. Nie jest to twórczość na miarę Sex Pistols, The Clash, Ramones czy nawet Big Cyca. Na YouTubie utwór „Pancerne ego" po 11 miesiącach ma ledwie 345 wyświetleń, a utwór „Karma" może się poszczycić trochę ponad 100 wyświetleniami w ciągu 11 lat. W piosence „Kolekcjoner życia" płk Stróżny śpiewa: „Kiedyś będzie na świecie taki czas taki wprost niewyobrażalny – taki inny, taki nasz. Będzie miłość do wroga i szacunek dla brata. Nie będzie zawiści i pracy dla kata. Przejdziesz w nocy ulicą, niezaczepiony, na ławce usiądziesz, nie będziesz zmęczony. Będzie zawsze zielono i nigdy nie szaro – ale najpierw złego nastąpi niemało! (…) W chwili słabości zawsze ktoś ci doradzi, nie dopadnie cię recesja i przyjaciel cię nie zdradzi. Będziesz życie wiódł spokojne, wśród fali namiętności, będziesz kobiet miał do woli, bez uszczerbku na wolności".

Kawałek ten, nawiązujący do obecnych wydarzeń społeczno-politycznych, powinien być puszczany z głośników jako hymn skrzyknięty przez PiS i Tomasza Sakiewicza obrońców Trybunału zamiast wyświechtanego „Mazurka Dąbrowskiego" czy „Boże, coś Polskę". Ba! Stróżny mógłby na dziedzicu TK ustawić scenę, śpiewem i muzyką dodawać otuchy i zagrzewać suwerena do boju przeciwko Tuskowi i jego zbrodniczej bandzie spod znaku koalicji 13 grudnia.

Andrzej Sikorski

eprasa.pl fa2954935c



PATOLOGIA czeka w kieszeni każdego nastolatka

Cyfrowa przemoc rówieśnicza, grupy hejterskie, zachowania destrukcyjne

Kornel Wawrzyniak

Nie trzeba już przeszukiwać „ciemnych zakamarków internetu", dzisiejsza patologia cyfrowa nigdzie się nie ukrywa. Jest podawana na tacy przez algorytmy najpopularniejszych aplikacji społecznościowych i przemycana w chwytliwych formatach wideo. Czeka w kieszeni każdego nastolatka. To sprawnie funkcjonujący ekosystem, w którym granice między rozrywką, hejtem a realną destrukcją psychologiczną zostały całkowicie zatarte.

Pięć filarów e-patologii

Aby zrozumieć skalę problemu, trzeba odejść od myślenia o internetowej patologii jako incydentach czy odizolowanych trendach. W rzeczywistości mamy do czynienia ze wzmacniającymi się wzajemnie mechanizmami, które kształtują codzienność młodych użytkowników sieci. Można je podzielić na pięć kluczowych grup. Każdy działa w nieco inny sposób, jednak wszystkie prowadzą do tego samego celu: normalizacji zachowań destrukcyjnych, obniżania odporności psychologicznej młodych ludzi i stopniowego zacierania granicy między tym, co szkodliwe, a tym, co społecznie akceptowalne.

Nie jest to zagrożenie teoretyczne. Skalę zjawiska pokazał m.in. głośny eksperyment „Deadly by Design" („Zabójcze z założenia") przeprowadzony przez organizację Center for Countering Digital Hate (CCDH). Badacze stworzyli fikcyjne konta 13-letnich użytkowników i przez krótki czas symulowali zainteresowanie tematami zdrowia psychicznego oraz wyglądu ciała. Wyniki okazały się alarmujące: algorytm TikToka potrzebował średnio zaledwie 2,6 minuty, aby wyświetlić pierwsze treści związane z samobójstwami, a po około ośmiu minutach zaczął rekomendować materiały promujące zaburzenia odżywiania, w tym anoreksję. W przypadku kont sugerujących problemy z akceptacją własnego wyglądu patologiczne treści pojawiały się średnio co 39 sekund.

Wnioski z raportu, później wspierane przez kolejne badania i testy organizacji zajmujących się prawami cyfrowymi, są takie, że współczesne systemy rekomendacji potrafią w ciągu kilkunastu minut zamknąć młodego użytkownika w ciasnej bańce informacyjnej, wzmacniając jego lęki i kryzysy psychiczne.

Omówmy wszystkie pięć filarów internetowej patologii, z jaką stykają się na co dzień nastolatki.

Pierwszym jest przesunięcie granicy wrażliwości. Współczesna patologia w sieci rzadko bowiem

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl fa2954935c

przyjmuje postać drastycznej przemocy, jaka dominowała w pierwszej fali patostreamingu sprzed kliku lat. Dziś jej największa siła tkwi w efekcie oswojenia i zjawisku, które możemy nazwać postironią. To sposób komunikacji lub tworzenia treści, w którym trudno rozpoznać, czy autor mówi coś serio, czy ironicznie. Łączy elementy szczere i prześmiewcze, celowo zacierając granicę między nimi.

Tragiczne w skutkach uzależnienia, skrajne wykluczenie społeczne, kryzysy psychiczne czy alkoholizm nie są już przedstawiane jako dramat – zostają opakowane w krótkie, dynamiczne „shoty" na TikToku czy Instagram Reels, opatrzone chwytliwym podkładem muzycznym, a potem są serwowane w formie mema.

Punktem zwrotnym okazało się upowszechnienie sztucznej inteligencji. Narzędzia typu nudify (wykorzystujące AI oraz aplikacje mobilne do generowania nagich wizerunków osób na podstawie ich zdjęć w ubraniu) oraz generatory obrazów AI sprawiły, że stworzenie realistycznie wyglądającego, kompromitującego wizerunku koleżanki lub kolegi z klasy wymaga ledwie kilku kliknięć. Tak spreparowane materiały stają się narzędziem cyfrowego szantażu (sextortion) lub służą do całkowitego zniszczenia pozycji społecznej nastolatka w środowisku szkolnym.

Równolegle rozwija się zjawisko doxingu (publicznego ujawniania prywatnych danych, numerów telefonów czy adresów) oraz cancel culture w wydaniu szkolnym. Grupy hejterskie tworzone na komunikatorach potrafią w kilkanaście minut zamienić życie młodego człowieka w koszmar, wypychając go na margines wspólnoty rówieśniczej. Nagle z dzieckiem, pozornie zupełnie bez powodu, nikt nie chce rozmawiać. Ofiara nie rozumie, o co chodzi. Na późniejszym etapie tzw. kręcenia dramy okazuje się, że rówieśnicy ot tak zadecydowali o wykluczeniu kogoś, żeby popatrzeć, jak się męczy.

Wspomniane „kręcenie dramy" w szkole to osobne zjawisko społeczne polegające na wyolbrzymianiu konfliktów lub podsycaniu sporów między uczniami. Często wynika ono z potrzeby zdobycia uwagi, podniesienia swojej pozycji w grupie rówieśniczej lub po prostu z chęci dostarczenia sobie emocji i rozrywki. W dobie mediów społecznościowych szkolne konflikty mogą szybko eskalować, ponieważ plotki, komentarze i screeny rozprzestrzeniają się błyskawicznie.

Największe zagrożenie tkwi w mechanizmie sprowadzania trudnych problemów społecznych do poziomu kabaretu.

Zjawisko to doskonale ilustruje „kariera" twórcy znanego jako Dżordżo. Jego narracja oparta na romantyzowaniu uzależnienia od automatów do gier, sięganiu po używki oraz przerysowanych zachowaniach stała się dla nastolatków formą codziennej rozrywki. Największe zagrożenie tkwi tu w mechanizmie sprowadzania trudnych problemów społecznych do poziomu kabaretu. Treści przedstawiające osobisty upadek zostają odarte z tragizmu, a sam bohater – zamiast skłaniać młodych odbiorców do refleksji – zyskuje status autentycznego, pełnego charyzmy „idola" nowej generacji. Nastolatek zaczyna postrzegać patologiczny bezwstyd jako najwyższą formę „bycia sobą".

Drugim filarem e-patologii jest cyfrowa przemoc rówieśnicza, w której ogromną rolę odgrywa dziś AI pomagająca w hejtowaniu przez okrągłą dobę. O ile patostreaming rozgrywa się na otwartych scenach, o tyle najbardziej niszczycielska dla jednostki przemoc przeniosła się do mikrospołeczności: zamkniętych grup na Discordzie, WhatsAppie czy Snapchacie. Przemoc rówieśnicza nie kończy się już z ostatnim szkolnym dzwonkiem – trwa całą dobę, bez przerwy i bez żadnego azylu.

Piękni na zabój

Trzecim filarem e-patologii jest ekstremizm estetyczny związany z cichą autodestrukcją. Trzeba przestać myśleć o tym, że patologia internetowa to tylko krzyk, libacje i wyzwiska na tzw. patostreamach. Równie groźny jest jej cichy, estetycznie dopracowany nurt, który celuje w najwrażliwsze punkty psychiki dorastających ludzi – postrzeganie własnego ciała i poczucie własnej wartości.

Pod płaszczykiem modnych trendów estetycznych (np. clean girl, wellness czy niszowych podkultur na TikToku i Pintereście) przemycane są treści promujące skrajną, zaburzoną relację z jedzeniem. Wyrafinowany algorytm potrafi wciągnąć nastolatka w pętlę materiałów poetyzujących głodówki, drastyczne metody kontroli wagi czy samookaleczenia. Stany depresyjne, autoagresja i samotność zostają podane w romantyczno-mrocznej oprawie wizualnej. Tworzy się wokół nich specyficzna podkultura przynależności: cierpienie przestaje być sygnałem do szukania pomocy medycznej czy psychologicznej, a staje się przepustką do ekskluzywnego klubu „rozumiejących więcej".

Przykładem tego zjawiska był popularny w ostatnich latach trend określany jako fake eating. Na filmikach publikowanych głównie w mediach społecznościowych młode osoby owijały jedzenie folią spożywczą, wkładały je do ust, żuły, a następnie wyjmowały, rzekomo oszukując organizm, że coś zjadły. Często odbywało się to pod hasłem: „Masz wielką ochotę na ciasto, ale nie chcesz przytyć? »Zjedz« ciasto bez zjadania ciasta".

Trend ten pokazuje, jak estetycznie opakowane treści mogą normalizować zachowania autodestrukcyjne. Praktyka ta naraża organizm na kontakt z mikroplastikiem i szkodliwymi substancjami chemicznymi oraz zaburza naturalne procesy trawienne. Przede wszystkim jednak może stanowić przejaw zaburzeń odżywiania, takich jak anoreksja czy bulimia.

Przedostatnim filarem cyfrowej patologii jest gloryfikacja uzależnień finansowych, napędzana przez zjawisko, które można nazwać patomarketingiem. Współczesne media społecznościowe i gry wideo systemowo oswajają młodzież z mechanizmami znanymi dotychczas wyłącznie z kasyn. Zjawisko to zaczyna się od

eprasa.pl fa2954935c

tzw. lootboxów (skrzynek z losową zawartością w grach wideo) oraz handlu wirtualnymi przedmiotami – młodociani gracze angażują realne środki w mechanizm oparty na czystej losowości i wyrzucie dopaminy. Na to nakłada się agresywna działalność patoinfluencerów oraz streamerów, którzy promują wśród niepełnoletnich widzów zakłady bukmacherskie, podejrzane platformy kryptowalutowe czy piramidy finansowe jako „szybki i łatwy zarobek".

Brak dojrzałości emocjonalnej i wiedzy finansowej sprawia, że nastolatki traktują te niebezpieczne instrumenty jako jedyną alternatywę dla „trudnej i nudnej" pracy, wpadając w pierwsze poważne długi i uzależnienia od hazardu jeszcze przed uzyskaniem pełnoletności.

Mordercze Minionki

I w końcu docieramy do piątego filaru, jakim jest algorytmiczna pętla retencji. Omawiając cyfrową e-patologię, nie sposób ograniczyć się do oceny samych treści. Kluczowym ogniwem tego układu jest architektura platform sieciowych. To nie nastolatki w większości przypadków aktywnie szukają drastycznych lub destrukcyjnych materiałów – to algorytmy rekomendacji podają im je na ekranie.

Współczesny model biznesowy mediów społecznościowych opiera się na tzw. walucie uwagi (attention economy). Ich algorytmy (TikToka, YouTube Shorts czy Instagram Reels) zostały zaprojektowane tak, aby wywoływać skrajne emocje, ponieważ to one gwarantują najwyższy wskaźnik czasu spędzonego w aplikacji (wskaźnik retencji). Jeśli nastolatek zatrzyma wzrok na filmiku przedstawiającym absurdalne zachowanie pod wpływem alkoholu albo na materiale o autoagresji, system natychmiast uzna to za sygnał zainteresowania i zasypie go dziesiątkami podobnych treści.

Mechanizm ten pomaga zrozumieć, dlaczego niektóre niebezpieczne zjawiska potrafią rozprzestrzeniać się wśród młodzieży w błyskawicznym tempie. Głośne przypadki gróźb pod adresem szkół, przynoszenia noży na teren placówek czy internetowej fascynacji przemocą nie muszą być efektem odgórnie organizowanych akcji, tajnych grup ani viralowych wyzwań. Wystarczy, że tego rodzaju treści zyskają chwilową popularność i zaczną generować wysokie zaangażowanie użytkowników. Algorytmy błyskawicznie wychwytują trend, promują go kolejnym odbiorcom, a część młodych ludzi, poszukując uwagi, rozgłosu lub poczucia przynależności, zaczyna go naśladować.

W ten sposób groźne zachowania mogą eskalować nie w wyniku zmowy, lecz jako konsekwencja logiki platform społecznościowych premiujących to, co budzi najsilniejsze emocje.

Dołóżmy do tego głęboką asymetrię informacyjną między dziećmi a dorosłymi. Rodzice i nauczyciele widzą zazwyczaj jedynie nastolatka wpatrzonego w ekran smartfona. Nie mają jednak wglądu w spersonalizowany strumień treści, który algorytm buduje wyłącznie dla niego. W efekcie młody człowiek może w ciągu kilku tygodni przejść przyśpieszony proces odwrażliwienia, stopniowo oswajając się z treściami, które jeszcze niedawno uznałby za szokujące. O to bardzo łatwo.

Właśnie niedawno na TikToku popularność zdobywały generowane przez sztuczną inteligencję filmiki z udziałem Minionków. Bohaterowie kojarzeni z lekką, familijną rozrywką pojawiali się w scenach przedstawiających szkolne strzelaniny, brutalne zabójstwa czy akty skrajnej przemocy pozbawione jakiegokolwiek kontekstu. To pokazuje, jak łatwo znane i pozornie niewinne symbole kultury popularnej mogą zostać wykorzystane do oswajania odbiorców z przemocą.

Przekrojowy przegląd cyfrowej codzienności nastolatków pokazuje jasno: patologia w internecie przestała być marginesem czy domeną tzw. trudnej młodzieży. Stała się elementem masowej kultury cyfrowej, z którym styka się niemal każdy młody człowiek bez względu na status społeczny i wychowanie. Przełamujące kolejne bariery algorytmy i cynizm twórców walczących o zasięgi wymagają od nas, dorosłych, odejścia od naiwnej wiary w to, że smartfon w ręku dziecka to tylko zabawka.

Bez systemowej edukacji cyfrowej oraz presji na dostawców technologii, no i bez budowania realnej relacji z nastolatkiem w świecie offline, kolejne generacje będą tworzyć swój system wartości na podstawie norm dyktowanych przez algorytmiczne uniwersum destrukcji.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

Przegląd
NA JESIENNE WIECZORY
Kupuj teksty z ARCHIWUM
Znajdziesz w nim wszystko od początku istnienia
PRZEGLĄDU
tygodnikprzeglad.pl

OTRZYMASZ DOSTĘP DO BIEŻĄCEGO
I ARCHIWALNYCH NUMERÓW

eprasa.pl fa2954935c

Łukasz Gibała, czyli do czterech razy sztuka

Piotr Kimla



Łukasz Gibała w ostatnim dniu kampanii przed drugą turą wyborów. Kraków, 9 października 2026 r.

Determinacja

Nowy prezydent Krakowa odbył do fotela prezydenckiego długi marsz. Odniósł sukces za czwartym razem. Chociaż wyraźnie prowadził w jedynym opublikowanym sondażu przed drugą turą wyborów (miał 59,96% poparcia, Monika Piątkowska 40,4%), nie popadał w triumfalizm i nie pozwalał na to swojemu otoczeniu. Pamiętał, że we wcześniejszej kampanii, w zmaganiach z Aleksandrem Miszalskim, wedle sondaży też miał z nim wygrać. Przegrał różnicą 5 tys. głosów. Ponieważ w trakcie poprzednich kampanii nabrał doświadczenia, tym razem nie publikował sondaży, które dawały mu wyraźne prowadzenie. Nie chciał demobilizować swojego elektoratu. Opłaciło się, gdyż frekwencja w drugiej turze była jak na polskie standardy dość wysoka. Wyniosła ponad 44%. Mandat uzyskany przy takiej frekwencji cieszy znacznie bardziej niż zdobyty w sytuacji, gdy znakomita większość Krakowian zostałaby w domu. Nie zmienia to oczywiście faktu, że 56% właśnie tak zrobiło.

Doświadczenie kampanijne pozwoliło również Gibale tak formułować program, aby nie było w nim za dużo konkretnych rozwiązań. Konkretne rozwiązania mają w oczach polskich polityków tę przykrą właściwość, że jednym wyborcom się podobają, a drugim nie. Mogą więc część przyciągać, ale innych zniechęcać. Poza tym łatwo z nich później rozliczać, a nikt nie lubi być rozliczany, już na pewno nie politycy. Gibała powstrzymywał się zatem od programowych konkretów, bo chciał łowić szeroko. Znów się opłaciło.

Gibała powstrzymywał się od programowych konkretów, bo chciał łowić szeroko. Opłaciło się.

Można zaryzykować twierdzenie, że Gibała chciał zostać prezydentem za wszelką cenę. Dosłownie i w przenośni. W Krakowie jest tajemnicą poliszynela, że to on stał za referendum odwołującym prezydenta Miszalskiego i to on je sfinansował. O skali jego determinacji świadczy fakt, że startując w obecnym wyścigu wyborczym, od początku godził się na krótszą kadencję, upływającą w 2029 r. Z góry też wiedział, że będzie zmuszony stawiać czoła opozycyjnej radzie miasta, ponieważ jej, w przeciwieństwie do Miszalskiego, nie udało się odwołać w referendum.

Realne jest zatem niebezpieczeństwo zużycia się nowego prezydenta w walkach z opozycją w ratuszu. Gibała liczy zapewne, że uda mu się przeciągnąć na swoją stronę grupę radnych, tak aby przeciwni mu przestali być większością. Przegrał zresztą jeden z procesów w trybie wyborczym z Moniką Piątkowską, bo puścił w eter wiadomość, że sześciu radnych KO jest gotowych go popierać. Gdy sprawa stała się głośna, radni zaprzeczyli. Dyscyplina partyjna w KO wciąż ma się nieźle. Jeśli jednak nie uda się pozyskać grupy radnych, Gibale zostają doraźne sojusze z radą w określonych sprawach (mistrzem ich zawierania był prezydent Jacek Majchrowski) i zarządzenia prezydenta w kwestiach niewymagających zgody rady. Naturalnie przy budowaniu narracji, że jego bezsilność, niemożność efektywnego działania

eprasa.pl fa2954935c

jest spowodowana obstrukcyjnymi działaniami radnych.

No i jeszcze prośba do wyborców, aby dali mu kolejną szansę. Tym razem pełną kadencję z wyłonioną w nowych wyborach przyjazną radą miasta.

Porażka Moniki Piątkowskiej?

Koalicja Obywatelska, a ściślej noszący jej barwy prezydent Miszalski, poniosła porażkę w Krakowie, przegrywając referendum. Miszalski próbował ratować finanse miasta, obciążając mieszkańców tzw. obwarzanka krakowskiego (gmin okalających Kraków), bo to w nich przede wszystkim uderzały coraz wyższe opłaty za parkowanie na coraz rozleglejszych obszarach miasta. Krakowianie koniec końców zawsze mogą skorzystać z transportu miejskiego. W każdym razie dziś za kilkugodzinny postój płaci się nawet kilkadziesiąt złotych, w zależności od strefy parkowania. Ponieważ jednak mieszkańcy obwarzanka nie głosują w wyborach, obciążenie ich kosztami nie było z punktu widzenia miejskich władz, na czele których stał Miszalski, złym pomysłem. Także wprowadzenie strefy czystego transportu dotykało mieszkańców gmin ościennych, gdyż Krakowianie byli zwolnieni ze związanych z nią obostrzeń ekologicznych.

Ale ratowanie finansów odbiło się również na samych mieszkańcach Krakowa, choćby poprzez podwyżkę cen biletów komunikacji miejskiej, na czele ze słynną zamianą biletu 20-minutowego na 15-minutowy. Nie chodzi przy tym o to, że władza nie może ratować finansów miasta zwiększaniem obciążeń nakładanych na mieszkańców. Ale trzeba to jasno komunikować. Wyznaczyć jakieś ramy czasowe. Pokazać jasny plan naprawy budżetu. A przede wszystkim samemu w magistracie zaciskać pasa. Nie zaś generować koszty poprzez zatrudnianie znajomych.

Wypada może jeszcze wyjaśnić czytelnikom spoza Krakowa, dlaczego miasto mające tak wiele do zaoferowania i odwiedzane rocznie przez 16 mln turystów, jest potwornie zadłużone – na ponad 8 mld zł, czyli 11 tys. zł na mieszkańca. Chwila zastanowienia wystarczy jednak, żeby sobie uświadomić, że pozostawione w Krakowie przez turystów 15 mld zł trafia do wybranych branż. Dla samego miasta ta ogromna liczba ludzi często oznacza koszty.

Pozostawiane w Krakowie przez turystów 15 mld zł trafia do wybranych branż. Dla samego miasta ogromna liczba odwiedzających często oznacza koszty.

Po wspomnianej porażce referendalnej zwycięstwo Moniki Piątkowskiej – kandydatki wspieranej przez KO i PSL – graniczyło z cudem. Nie po to przecież duża część Krakowian rozczarowana Miszalskim go odwołała, aby następnie wybrać kolejnego polityka czy polityczkę KO. W moim jednak przekonaniu zadaniem Piątkowskiej od początku było nie tyle wygrać te wybory, ile je inteligentnie przegrać. Inteligentnie, to znaczy tak, aby do drugiej tury nie wszedł kandydat PiS. I aby w drugiej turze nie zostać zdeklasowaną przez Gibałę. Przewaga tego ostatniego jest duża, ale nie druzgocąca. Piątkowska wykonała zatem oba zadania.

Czy można było przegrać jeszcze inteligentniej, czyli mieć lepszy wynik? Sądzę, że tak. Kandydatka musiałaby jednak zgodzić się na debatę z Gibałą na warunkach postawionych przez jego sztabowców. A te były następujące: rozmowa kandydatów jeden na jeden w obecności moderatora stojącego na straży kultury dyskusji oraz pilnującego czasu. Piątkowska, chcąc autentycznie walczyć o wygraną, powinna na to przystać. Nie mogła wydziwiać i forsować własnych koncepcji, bo to ona potrzebowała debaty, nie Gibała. Tylko w wypadku zwycięstwa w takiej debacie mogła poprawić swój wynik. Tylko w wypadku katastrofy Gibały w debacie mogła te wybory wygrać.

Tyle że pomyślny dla Piątkowskiej obrót spraw podczas bezpośredniej wymiany zdań był niezwykle mało prawdopodobny. Determinacja Gibały w dążeniu do prezydentury, wieloletnia walka o nią, zasiadanie po raz trzeci w radzie miasta – to wszystko sprawia, że jest on dobrze przygotowany do pełnienia funkcji prezydenta, jeśli wziąć pod uwagę znajomość Krakowa i jego problemów.

Piątkowska pod tym względem nie mogła się z nim równać, choć pracowała w krakowskim magistracie przez dziewięć lat. Ale było to dawno, za czasów Jacka Majchrowskiego, w latach 2003-2012. Przypomniała więc sobie o Krakowie po 14 latach obecności w polityce na poziomie centralnym. Prawdopodobieństwo, że Gibała w trakcie



FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

eprasa.pl fa2954935c

debaty obnaży jej ignorancję, było wysokie. Spektakularna porażka mogłaby zaciążyć na jej dalszej karierze. Debata nie służyła nadrzędnemu celowi, czyli inteligentnemu przegraniu wyborów. Dlatego się nie odbyła.

Uzdrowienie finansów Krakowa

Po zwycięstwie Gibały najważniejszą kwestią pozostają finanse Krakowa. I pytanie, czy jego program naprawczy prezentowany w kampanii wyborczej rzeczywiście pozwoli na znaczącą redukcję zadłużenia. Składa się na niego przeprowadzenie audytu miejskich spółek oraz urzędu miasta i, co za tym idzie, likwidacja zbędnych stanowisk, etatów itd. Nowo przyjmowani do magistratu ludzie mają być wyłaniani w konkursach.

Następny punkt programu to zredukowanie środków wydawanych na promocję Krakowa. Jest w tym racja, bo wydaje się, że miasto jest już dość znane nie tylko w Polsce, ale i w świecie. W kampanii pojawiła się też kwestia opłaty turystycznej (proszę nie mylić z klimatyczną). Nowy prezydent chce, by wynosiła ona dla turystów 20 zł za dobę (z wyłączeniem emerytów i dzieci). Trzeba jednak wyraźnie powiedzieć, że rozstrzygnięcia w tej sprawie muszą zapaść na poziomie władz krajowych, na poziomie Sejmu. Prezydent Krakowa może wprowadzenie takiej opłaty jedynie postulować. Zobaczymy także, czy uda się nowemu prezydentowi uczynić z Krakowa centrum dla nowoczesnych firm, które będą odprowadzały w mieście podatki.

W kontekście zadłużenia miasta na rozsądne i zrozumiałe wygląda powstrzymanie się od snucia wielkich projektów, rozpalających wyobraźnię Krakowian, a nawet reszty Polaków. Czymś takim za kadencji prezydenta Miszalskiego była budowa metra. Gdy o niej mówiono, Gibała nie był przeciwny, ale jest jasne, że krakowskie metro musiałoby zostać sfinansowane przede wszystkim ze środków centralnych i europejskich. Ten wielki pomysł trzeba odłożyć na później. Nowy prezydent mógłby jednak zająć się kwestią transportu zbiorowego w sposób całościowy. Wielkim krokiem naprzód byłoby uczynienie z miejskiego transportu atrakcyjnego, oczywistego wyboru dla mieszkańców. Wyboru, dla którego nie ma alternatywy. Inwestycje w Krakowie, ale też w innych miastach Polski, wyglądają zazwyczaj tak, że budowa linii tramwajowych jest powiązana z budową biegnących równolegle dróg, co nie tylko jest niezwykle drogie, ale i nonsensowne z punktu widzenia interesów miasta (czystego powietrza itd.). Zabija po prostu ideę poruszania się przez mieszkańców transportem publicznym.

Sprawą dużej wagi jest również wykluczenie komunikacyjne mieszkańców przykrakowskich gmin, ludzi, którzy w Krakowie pracują i muszą tam dojeżdżać. Jeden autobus raz na kilka godzin nie jest żadnym rozwiązaniem, ale drażnieniem mieszkańców obwarzanka i źródłem ich nieustającej frustracji. Jak wspomniałem, nie głosują oni w wyborach, ale są zżyci z miastem, gdyż w nim pracują (zatem je wzbogacają), w nim się stołują, posyłają dzieci do krakowskich szkół. Zwiększenie częstotliwości kursów linii aglomeracyjnych byłoby znakiem, że ich wkład w rozwój Krakowa nie jest nowemu prezydentowi obojętny.

Prof. Piotr Kimla jest pracownikiem Katedry Stosunków Międzynarodowych i Polityki Zagranicznej Instytutu Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych Wydziału Studiów Międzynarodowych i Politycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego

Piotr Kimla

LEWICOWY PAŃSTWOWIEC. CZŁOWIEK ZASAD I DIALOGU



Jerzego Szmajdzińskiego wspomina kilkanaście osób z różnych środowisk politycznych. W tym byli prezydenci Kwaśniewski i Komorowski. Najważniejszą częścią księgi jest „Autobiografia", którą Jerzy napisał jako kandydat w wyborach prezydenckich. Janusz Zemke, przyjaciel Jerzego i jego prawa ręka w Ministerstwie Obrony Narodowej, tak pisze o przesłaniu Szmajdzińskiego: „Najważniejsze jest państwo, w pracy dla niego należy kierować się odpowiedzialnością i szukaniem mądrego kompromisu". I taki właśnie był Szmajdziński w polityce. Wierny swojemu życiorysowi i poglądom. Nie retuszował swojej biografii. Umiał słuchać argumentów. Był partnerem poważnym. Skłonnym do dialogu. Lojalnym i słownym. Dla lewicy był nadzieją na odbudowę jej pozycji po kryzysie w 2005 r. Niestety, wszystkie plany przerwała 10 kwietnia 2010 r. tragiczna katastrofa lotnicza. Minęło 16 lat i ciągle trudno się pogodzić ze śmiercią tylu ważnych dla Polski ludzi. Pewnie nie ja jeden jestem głęboko rozczarowany prezydenturą Nawrockiego. I tym, jak bardzo podupadła klasa polityczna. Gdzież im do Szmajdzińskiego!".

Księgę wydano dzięki determinacji kilku osób, z Wiesławem Wiatrem na czele, staraniem Fundacji im. Jerzego Szmajdzińskiego, którą prowadził Andrzej Dobrowolski, a obecnie, po jego śmierci w ubiegłym roku, kieruje nią syn Jerzego, Andrzej Szmajdziński.

Jerzy Domański

***Myślę sobie, że dobrze zapisałem się w ludzkiej pamięci. Księga pamiątkowa Jerzego Szmajdzińskiego*,**
Fundacja im. Jerzego Szmajdzińskiego, Jelenia Góra 2026

eprasa.pl fa2954935c

Śliwki i Pasquale

Rynek owoców w Polsce przypomina ruletkę. I nic z tym nie można zrobić



Marek Czarkowski

Kilogram śliwek na bazarku może kosztować 6 zł, ale skupy płacą 1-1,50 zł za kilogram śliwek przemysłowych i 2-2,50 zł za kilogram deserowych.

Kilka tygodni temu media obiegła informacja o pochodzącym z Włoch ogrodniku Pasquale, który wspólnie z partnerką Mają prowadzi w Przybyłowie pod Kołem w województwie wielkopolskim gospodarstwo ekologiczne specjalizujące się w produkcji śliwek oraz przetworów z tych owoców.

Rok 2026 okazał się dla pary bardzo trudny z powodu… klęski urodzaju. Kwietniowe przymrozki i letnie upały zmniejszyły w kraju zbiory wszystkich owoców o ok. 17%, jednak sad w Przybyłowie nie ucierpiał. Przeciwnie, Pasquale zebrał znacznie więcej ekologicznych śliwek, niż mógł zmagazynować i przerobić we własnym zakresie. By zapobiec zmarnowaniu owoców, zdecydował się sprzedać 10 ton na łódzkim Bazarze Smaku po wyjątkowo niskiej cenie – 2 zł za kilogram. Część śliwek została przekazana przez niego łódzkim domom dziecka.

Jego historia jest dość typowa, doświadczają tego nie tylko sadownicy, ale i wielu rolników uprawiających np. warzywa. Niemal każdego roku organizują samozbiory albo oferują swoje plony po bardzo niskich cenach. Na to nakłada się import owoców z regionów, gdzie są one znacznie tańsze. Na przykład śliwki importujemy z Serbii i Mołdawii. Zamawiają je przede wszystkim sieci supermarketów. Dzisiaj nawet co piąta śliwka dostępna w handlu pochodzi z importu.

Kilogram tych owoców na bazarku może kosztować 6 zł, natomiast skup oferuje 1-1,50 zł za kilogram śliwek przemysłowych i 2-2,50 zł za kilogram owoców deserowych.

Jeszcze trudniejsza bywa sytuacja producentów jabłek, zwłaszcza że Polska należy do największych eksporterów tych owoców w Europie. W tym roku od stycznia do lipca wyeksportowaliśmy ponad 474 tys. ton jabłek. W całym roku ubiegłym – ok. 700 tys. ton.

W ostatnich latach jednym z ważniejszych rynków zbytu stał się dla nas Kazachstan. Do tej środkowoazjatyckiej republiki w 2025 r. trafiło 40-50 tys. ton jabłek. Według oficjalnych danych resortu rolnictwa łączna wartość towarów rolno-spożywczych wyeksportowanych z Polski do Kazachstanu wyniosła w ubiegłym roku prawie 107 mln euro. Jabłka stanowiły tu pozycję znaczącą. Jednak kilka miesięcy temu Astana wprowadziła okresowy zakaz importu naszych jabłek, obowiązujący od 1 sierpnia do 31 grudnia 2026 r. Oficjalnym powodem była chęć ochrony rodzimych producentów i stabilizacja rynku wewnętrznego w okresie intensywnych zbiorów tych owoców.

Ciekawostką w tym kontekście jest fakt, że właśnie z terenu Kazachstanu wywodzi się, jak wskazują badania genetyczne, jabłoń Sieversa, będąca głównym przodkiem niemal wszystkich odmian jabłoni domowej. Największe miasto i dawna stolica, Ałmaty (historyczna Ałma-Ata), nosi nazwę, która w dosłownym tłumaczeniu oznacza miejsce pełne jabłek lub bogate w jabłka. Jeśli od stycznia 2027 r. ponownie ruszy eksport polskich jabłek do Kazachstanu, nasi sadownicy na pewno zarobią.

Niestety, Polska jako państwo członkowskie Unii Europejskiej nie może w sposób jednostronny wprowadzić z przyczyn gospodarczych lub protekcjonistycznych zakazu importu jabłek, śliwek ani innych owoców. Nie oznacza to, że nie da się zrobić nic, aby wesprzeć naszych rolników. Najskuteczniejszym narzędziem w tym wypadku są wymagania sanitarne oraz fitosanitarne. Państwowa Inspekcja Ochrony Roślin i Nasiennictwa oraz Inspekcja Jakości Handlowej Artykułów Rolno-Spożywczych prowadzą szczegółowe kontrole na granicach zewnętrznych UE. Pytanie, z jakim skutkiem, ma charakter retoryczny. ■

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl fa2954935c

Przyroda bez nas sobie poradzi, my bez niej – niekoniecznie

Trzeba zaadaptować miasta do zmian klimatu, do współistnienia z przyrodą

Rozmawia Maciej Belowski

Zarząd Zieleni m.st. Warszawy skończył w tym roku 10 lat. Wcześniej zielenią w stolicy zajmowały się różne instytucje. Dlaczego powołano jedną jednostkę?

– Kiedy ją powoływano, pracowałam w zarządzie dzielnicy Mokotów, byłam zastępczynią burmistrza. Do nas jako jednej z pierwszych dzielnic przyszedł ówczesny pierwszy dyrektor ZZW Marek Piwowarski, żeby rozmawiać o terenach, które Zarząd Zieleni mógłby przejąć. Chodziło o to, żeby zebrać w jednym miejscu różne formy zieleni i lepiej zadbać o przyrodę. Na przykład o ciągłość korytarzy ekologicznych, czyli pasów zieleni, którymi mogą się przemieszczać zwierzęta.

Dzielnice sobie nie radziły? Miały przecież własne wydziały ochrony środowiska.

– Miały, ale nie były w stanie udźwignąć wszystkich obowiązków. Na Mokotowie wydział zajmował się nie tylko parkami i drzewami przy wszystkich ulicach, ale też np. zimowym odśnieżaniem dróg gminnych. Zawsze brakowało pieniędzy. Wyspecjalizowana jednostka dała wydzielony budżet na zieleń i możliwość innego nim gospodarowania.

Które tereny w stolicy należą do Zarządu Zieleni, a które podlegają innym instytucjom?

– Warszawa to skomplikowany organizm, nie opiekujemy się całą zielenią w mieście. Mamy pieczę nad 32 parkami i pięcioma z sześciu odcinków parku budowanego nad Południową Obwodnicą Warszawy, które już oddaliśmy mieszkańcom.



MONIKA GOŁĘBIEWSKA-KOZAKIEWICZ
– dyrektorka Zarządu Zieleni m.st. Warszawy (ZZW)

Do tego ponad 1 tys. ha zieleni przyulicznej, głównie przy drogach wojewódzkich i powiatowych, którymi od strony drogowej zarządza Zarząd Dróg Miejskich (ZDM). Zajmujemy się też około setką skwerów i zieleńców.

Z czego jest pani najbardziej dumna po dekadzie istnienia ZZW?

– Park Akcji „Burza" pod Kopcem Powstania Warszawskiego zdobył wiele nagród i w 2024 r. został uznany za najlepszą publiczną przestrzeń w Europie (Europejska Nagroda dla Miejskiej Przestrzeni Publicznej), a w 2026 r. zajął trzecie miejsce w konkursie Green Cities Europe Award 2025. Park Żerański na Białołęce jest pierwszym parkiem z dostępem do wody i z tak dużą rolą wody. Do tego dochodzi rewitalizacja Pola Mokotowskiego.

Są też rzeczy, których mieszkańcy nie widzą. Po trzech latach na stanowisku dyrektorki dostałam projekt budżetu na 2026 r. i nie musiałam prosić o dodatkowe pieniądze. To dla mnie wyraz ogromnego zaufania i docenienia wagi przyrody, i to nie tylko przez mieszkańców, ale także przez władze miasta, radnych i skarbnika, który proponuje budżet. Jestem również dumna z 300 osób, które pracują z takim oddaniem, i z tego, że opracowaliśmy nową misję, wizję i pierwszą strategię ZZW.

Kiedy ZZW zaczynał, jego pomysły uchodziły za wywrotowe.

– Na ulicach stały wtedy pelargonie i begonie w donicach. Dziś wszyscy zachwycają się bylinami i trawami. To ogromna zmiana przyzwyczajeń estetycznych i wielka zasługa moich poprzedników, którzy nie bali się jej wprowadzać. Staramy się oswajać mieszkańców i turystów z pewnym stopniem „nieuczesania" przyrody – nie wszystko musi być przycięte pod linijkę.

Kto ustala zasady, kiedy w mieście wolno sadzić i wycinać drzewa?

– W Warszawie obowiązują miejskie standardy zieleni wprowadzone zarządzeniem prezydenta. Pierwszą wersję przygotowywaliśmy u nas, ostateczny kształt nadało im Biuro Ochrony Środowiska. To standardy sadzenia i pielęgnacji drzew oraz ich ochrony przy inwestycjach. W dużym skrócie mówią: „Najpierw sprawdź, co jest w miejscu, a potem

eprasa.pl fa2954935c

planuj inwestycję". Nie ochronimy wszystkich drzew na budowie, ale nie wycinamy tych, których wycinać nie trzeba.

Jak wygląda współpraca z innymi urzędami?

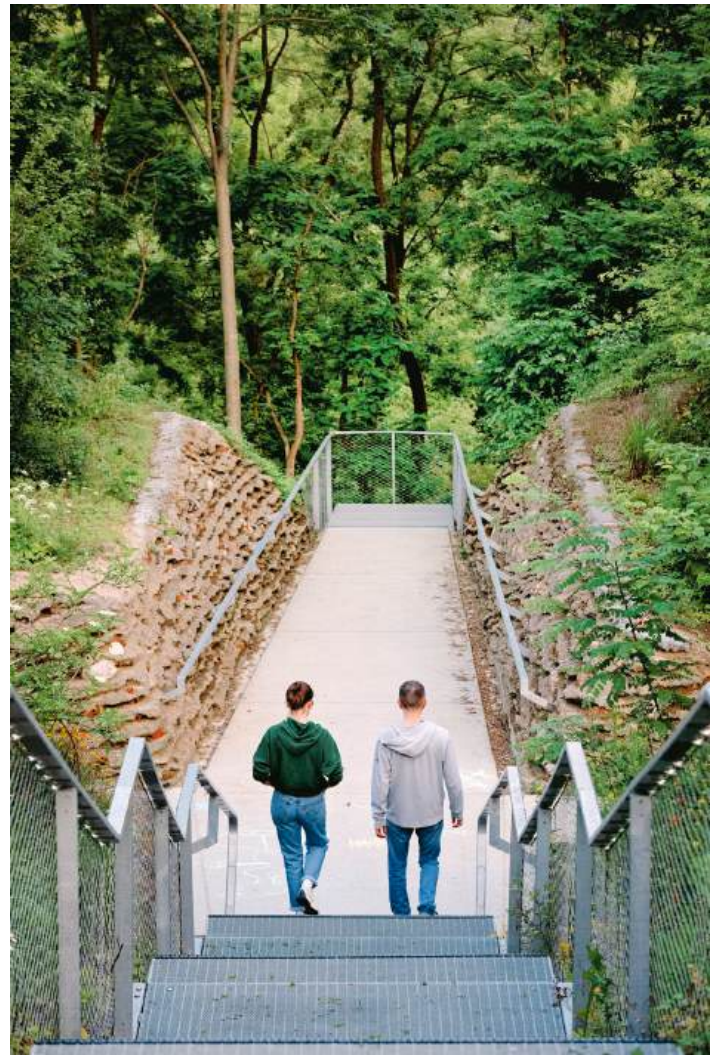
– Zarząd Dróg Miejskich czy Stołeczny Zarząd Rozbudowy Miasta przychodzą do nas z projektem, a my go opiniujemy. Sprawdzamy, co jest w terenie, proponowany dobór gatunków, także pod kątem późniejszego utrzymania, bo po zakończeniu inwestycji miejskich ulice w większości trafiają do nas. Bywa, że wydziały ochrony środowiska w dzielnicach dzwonią do naszych ogrodników i pytają, kiedy kosimy, żeby zacząć razem. To powód do dumy – stajemy się wzorem dla innych. Zachęcamy też spółdzielnie i wspólnoty do korzystania z miejskich standardów.

Na początku października w Muzeum Historii Polski odbyła się konferencja „Symbiocen. Zielona przyszłość miast", zorganizowana z okazji 10-lecia ZZW. Dla wielu osób nazwa symbiocen brzmi tajemniczo.

– Mnie symbiocen kojarzy się z symbiozą, czyli współistnieniem różnych organizmów. To kierunek, w którym potrzeby mieszkańców i przyrody traktujemy równorzędnie. Tak myślę o przyszłości przyrody w Warszawie: nie panowanie człowieka nad przyrodą, tylko współistnienie. Przyroda bez nas sobie poradzi, a my bez niej – niekoniecznie.

W języku ZZW „zieleń" coraz częściej ustępuje „błękitno-zielonej infrastrukturze". Dlaczego?

– Bo przyroda nie ogranicza się do trawników i drzew. To także łąki, krzewy, kanały, Wisła, stawy w parkach i wszystko, co w nich żyje. Nie chodzi tylko o to, żeby było ładnie. Z uwagi na zmiany klimatu ta przyroda jest dziś w pewnym sensie infrastrukturą krytyczną miasta. Zieleń kojarzy się z kwiatkami, które upiększają okolicę, a błękitno-zielona infrastruktura znaczy dużo więcej.



Park Akcji „Burza" pod Kopcem Powstania Warszawskiego zajął trzecie miejsce w konkursie Green Cities Europe Award 2025.

Wykład otwierający konferencję wygłosił berliński ekolog, prof. Ingo Kowarik. Opisał „czwartą przyrodę", czyli dziką roślinność, która sama wyrasta na terenach po człowieku, np. dawnych torowiskach, i bywa bogatsza w gatunki niż zadbany park. Czy Warszawa powinna do tego dążyć?

– To nie jest cel sam w sobie, ale kierunek, od którego w miastach nie uciekniemy. W przeszłości budowano fabryki, węzły kolejowe. Dziś z powodu zmian gospodarczych te miejsca nie służą już pierwotnemu celowi. Oddawanie ich przyrodzie jest z mojego punktu widzenia naturalne. Nie musi tam powstać kolejny budynek.

Czyli zostawić dzikość?

– Nie. W mieście jest miejsce na bardzo wiele form przyrody. Dzika i „nieuczesana" nie musi pojawiać się wszędzie. Mamy parki, które mają chroniony prawem kształt. Nie zamienimy ich w „chaszcze", ale i w nich staramy się znaleźć miejsca, gdzie zaniechanie niektórych działań przyrodzie posłuży.

Podczas konferencji pracownicy ZZW opowiadali o bobrach, które w Dolinie Służewieckiej zbudowały tamy, zatrzymują wodę, ale też ścinają drzewa (Piotr Zakrzewski), oraz o nietoperzach, które zimują w drzewach i potrafią wstrzymać wycinkę (Anna Lisowska). Czy człowiek i dzika przyroda w mieście dają się pogodzić?

– Nie jest tak, że ktoś wyda dekret i mamy symbiocen. To idea, do której dążymy. Najważniejsza jest uważność. Z jednej strony, pozwalamy procesom przyrody działać,

Strategia 2040+

Strategia opublikowana w lipcu 2026 r. wyznacza siedem obszarów pracy, m.in. odporność miasta na zmiany klimatu, różnorodność biologiczną i dziedzictwo. W sześciu programach są to m.in. zatrzymywanie wody opadowej, modernizacja wałów przeciwpowodziowych, odnowa Parku Skaryszewskiego i rozbudowa Parku Akcji „Burza" o zbiornik retencyjny. Dokument ma być „narzędziem, które będzie żyło razem z miastem".

FOT. DANUTA DECKERT, MICHAŁ SZLAGA, KRZYSZTOF BABICKI

eprasa.pl fa2954935c

z drugiej, jak w przypadku bobrów, kontrolujemy to, co się dzieje. Bobry robią dobrą robotę, zatrzymując wodę w krajobrazie, ale psują umocnienia brzegów, kopią nory i wycinają drzewa, których nie chcemy stracić. W mieście kontrola musi być.

Drugiego dnia konferencji duński architekt Tore Banke pokazywał, jak w Kopenhadze zatrzymuje się deszczówkę na miejscu: przyjmują ją płytki chodnikowe zamiast kanalizacji, a park w czasie ulewy może przyjąć 60 cm wody. Co się dzieje z wodą deszczową na warszawskich ulicach? Czy u nas to wciąż sfera planów?

– U nas to też się dzieje. Na przykład na Polu Mokotowskim wybetonowany i szczelny wielki staw rozkuliśmy i zbudowaliśmy system obiegu wody z podczyszczaniem chemicznym, ale również naturalnym, za pomocą roślin i kruszyw. Kiedyś, żeby fontanna działała, wlewano do niej tysiące litrów wody pitnej, a na koniec sezonu wszystko szło do kanalizacji. To marnotrawstwo, bo Polska ma ujemny bilans wodny i każda kropla jest cenna. W parkach stosujemy wodoprzepuszczalne nawierzchnie, a tam, gdzie potrzebna jest wytrzymałość, beton przepuszczalny albo mieszanki glebowo-kamienne, które pomagają wodzie wsiąkać.

A na ulicach?

– Podobne rzeczy robi Zarząd Dróg Miejskich. Część jego inwestycji, np. Zielona Marszałkowska, jest pochodną programu Zielone Ulice Warszawy, w którym ZZW analizował, jak zazielenić dziesiątki warszawskich ulic. W Nowym Centrum Warszawy, na Złotej i Zgodzie, w dawnym tunelu jest ogromny zbiornik na deszczówkę, z którego wodę można używać do podlewania.

Ale to nie tylko zbiorniki pod ziemią. Chodzi o to, żeby w czasie nawalnych deszczy zatrzymać na miejscu wodę, która szybko spływa po spieczonej ziemi do kanalizacji, dać jej wsiąknąć i odciążyć system, który nigdy nie był przewidziany na takie opady. Rozbetonowujemy przestrzenie przy ulicach i chodnikach w ramach budżetu obywatelskiego i własnych inwestycji.



Główny staw na Polu Mokotowskim został poddany naturalizacji – z dna usunięto beton, na brzegach pojawiła się naturalna roślinność.

ZDM zmniejsza szerokość jezdni i dodaje pasy zieleni.

Uczestnicy jubileuszowego spotkania ZZW nie dostali typowych upominków: długopisów, toreb ani notesów. Prowadząca mówiła nawet, że najlepszym ekologicznym gadżetem jest brak gadżetów.

– To decyzja podjęta jakiś czas temu. Sama mam szufladę pełną znaczków, długopisów i smyczy oraz mnóstwo ekologicznych toreb. Nie potrzebujemy więcej. Większość takich gadżetów produkuje się prawdopodobnie w Chinach, więc ślad węglowy związany z transportem też nie jest mały. Naszym głównym „gadżetem" konferencyjnym były wycieczki po warszawskich parkach: chcieliśmy pokazać przyrodę i opowiedzieć, dlaczego to miejsce wygląda tak, a nie inaczej.

Od 2018 r. ustawa nakazuje miastom takim jak Warszawa organizować budżet obywatelski i przeznaczać na niego co najmniej 0,5% wydatków. Stefan Bobrowski z ZZW mówił na konferencji, że ustawa nie pozwala zmieniać zasad tego konkursu, że angażuje się w niego coraz mniej mieszkańców, a wygrane projekty często psują przestrzeń publiczną. Co pani o tym sądzi?

– Jestem fanką budżetów obywatelskich. Pamiętam, jak Warszawa zaczynała tę drogę, ile było emocji i nadziei i jak wiele dobrych rzeczy udało się zrobić. Ale trochę zgadzam się ze Stefanem, że ustawa, która narzuciła wszystkim miastom jedną formułę tego budżetu, jakby cały ten proces „unieruchomiła". Procesy partycypacyjne, czyli takie, w których mieszkańcy współdecydują o mieście, muszą być żywe. Gdy regulujemy je ustawą i nakładamy na nie gorset, trochę zabijamy ich ideę. Dane o tym, ilu mieszkańców dziś w nich uczestniczy, wiele mówią. Mam nadzieję, że ktoś w Sejmie wyciągnie z tego wnioski.

W lipcu opracowaliście pierwszą strategię ZZW, która wyznacza kierunki do 2040 r.

– Wyznaczyliśmy w niej siedem kluczowych obszarów, z których wynikają programy operacyjne, a w nich zawierają się konkretne inwestycje. Strategia pokazuje przede wszystkim nasz sposób myślenia: jak inwestycje realizowane w różnym czasie i miejscach składają się w jeden obraz – dążenia do adaptacji miasta do zmian klimatu, do symbiozy i współistnienia z przyrodą.

Maciej Belowski

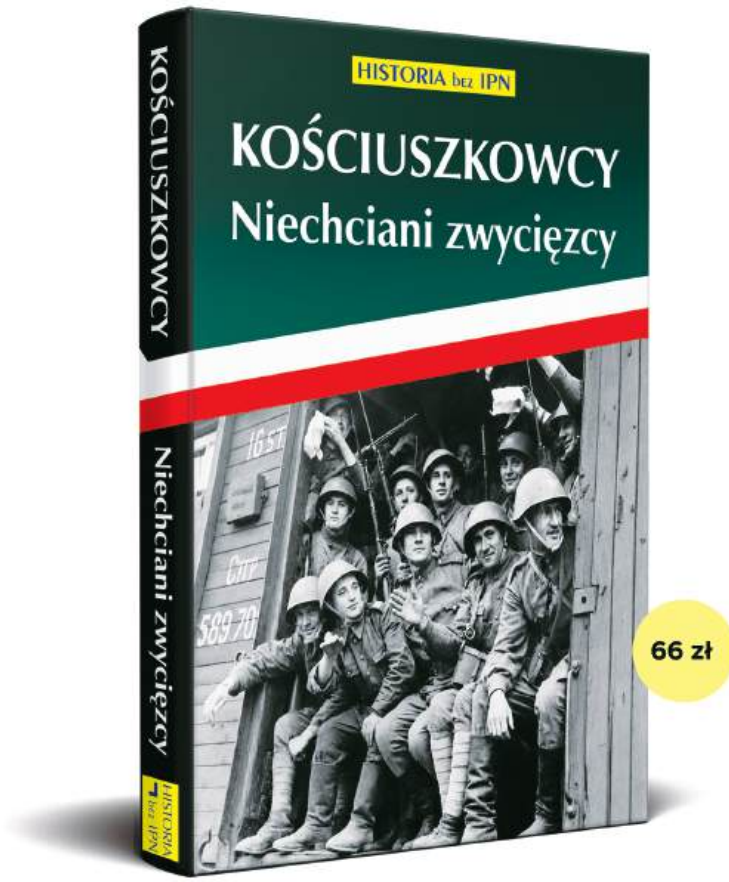
eprasa.pl fa2954935c

HISTORIA bez IPN

czyli protest przeciwko manipulacjom, kłamstwom i znieważaniu bohaterskich żołnierzy 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki

---

Fałszerze historii z IPN czarną farbą malują jedną z najpiękniejszych kart polskiego oręża



CHWAŁA BOHATERSKIM ZDOBYWCOM BERLINA

sklep.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl fa2954935c

troje na jedną

JEDNA:
JOANNA RAWIK

TROJE:
JOANNA HAŃDEREK
DOMINIKA RAFALSKA
PAWEŁ SĘKOWSKI

Jestem produktem Polski Ludowej

Fragmenty rozmowy, która ukazała się w najnowszym numerze „Zdania" (3/2026) – w wersji papierowej do nabycia w Empikach, w wersji elektronicznej na sklep.tygodnikprzeglad.pl.

PAWEŁ SĘKOWSKI: W III RP rozpoczynasz współpracę z jednoznacznie lewicowym i ambitnym tytułem, jakim było „Dziś" pod redakcją Mieczysława Rakowskiego. W warunkach Polski po 1989 r. była to z twojej strony odważna deklaracja ideowa.

JOANNA RAWIK: Ja chyba zawsze byłam po tej stronie. Z czasem zrodziła się we mnie taka myśl, że lewicowość to jest po prostu racjonalizm. Z kolei mój Wituś mówi: „Zobacz, czy na prawicy masz jakiegoś prawdziwego artystę?". No, owszem, był Salvador Dali, który fascynował się Hitlerem i kochał Franco, ale to wyjątek. Na ogół sztuka to jest lewica.

SĘKOWSKI: Zgodzę się z tobą (i z Witkiem), że wrażliwość ludzi kultury i sztuki prowadzi zdecydowaną większość z nich ku lewicy, jeśli nie politycznej, to na pewno światopoglądowej. A co masz na myśli, mówiąc, że lewicowość to racjonalizm?

RAWIK: Elity intelektualne są lewicowe. W przeszłości zdarzało się inaczej, bo np. Emil Cioran i elita intelektualna Rumunii była w pewnym momencie bardzo prawicowa. Dzisiaj zasadniczo jest jednak tak jak powiedziałam.

SĘKOWSKI: Jak twoim zdaniem wypada porównanie elit Polski Ludowej – ludzi, z którymi poznałaś się osobiście już w III RP, jak Wojciech Jaruzelski, Mieczysław Rakowski, Wiesław Górnicki i inni, z elitami solidarnościowymi?

RAWIK: Trudno porównywać ze sobą formaty różnych od siebie ludzi. Na pewno ludzie, inteligenci z wcześniejszych czasów mają w sobie charakterystyczny spokój i rozwagę, znajomość spraw, które ja słyszę w ich głosie. Są pod tym względem różni od młodszych. A te dawne elity, zarówno polityczne, jak artystyczne, były związane z Polską Ludową, inaczej być zresztą nie mogło.

> Z czasem zrodziła się we mnie myśl, że lewicowość to po prostu racjonalizm. Na ogół sztuka to jest lewica.

SĘKOWSKI: Słyszałaś ten spokój, tę rozwagę i znajomość spraw w głosie Jaruzelskiego?

RAWIK: Zdecydowanie tak. To tym bardziej symptomatyczne, że on – elita polityczna PRL – był kuzynem Zbyszka Cybulskiego, czyli elity artystycznej Polski Ludowej. Spędzili razem część dzieciństwa, w tym samym dworku. Jaruzelski to był bardzo mądry człowiek i polityk, a wobec kobiet szarmancki. Kiedyś w rocznicę wybuchu powstania warszawskiego – w którym zresztą Jaruzelski w pewnym sensie brał udział, tyle że jako żołnierz zwiadu armii Berlinga – przechodziliśmy obok kwatery, gdzie

eprasa.pl fa2954935c

pochowany jest Generał. I tam na nagrobku zawieszona była jakaś czerwona szmata z napisem „morderca". Podeszłam, zdjęłam tę szmatę i wyrzuciłam do śmietnika. Mój ówczesny partner powiedział wtedy, że jestem odważna. Ale to nie była żadna odwaga, tylko zwykła przyzwoitość! Jakże mogłabym nie zareagować na opluwanie tego wielkiego człowieka, któremu ten, kto tę szmatę zawiesił, do pięt nie dorasta. Jaruzelski to był mój bliski znajomy, byłam na jego ostatnich urodzinach…



DOMINIKA RAFALSKA: W 2020 r. nawiązuje pani trwającą do dzisiaj współpracę z prawicowym Radiem Wnet. Jak do tego doszło?

SĘKOWSKI: Na dodatek zaprzyjaźniasz się z Krzysztofem Skowrońskim, założycielem i szefem tego radia, za rządów PiS przewodniczącym Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, który skierował tę organizację na tory bliskiej komitywy z partią Jarosława Kaczyńskiego…

RAWIK: My się z Krzysztofem kochamy, uwielbiamy. On mnie bardzo ceni. Któregoś dnia zaprosił mnie do swojego radia, do Wnetu. Ja go już wtedy kojarzyłam jako piekielnie inteligentnego dziennikarza i nie wiązałam go z żadną formacją polityczną. Ucieszyłam się z tego zaproszenia i pojechałam do radia. Tam zaskoczyło mnie, że wywiad ze mną miała przeprowadzić inna osoba – Anna Popek, z którą zresztą znalazłam wspólny język, byłyśmy po imieniu. Wszystko poszło gładko. Zaraz potem wszedł Krzysztof i mówi: „Zapraszam panią do audycji u mnie – już od poniedziałku, o godzinie jedenastej". Oczywiście zgodziłam się. Szybko się polubiliśmy. Naszej współpracy nie przerwała nawet pandemia i związany z nią lockdown, który wprowadzono zaraz na początku mojej współpracy z Wnetem. Audycje były na żywo. Z czasem zaczęłam zapraszać gości. Od razu wymyśliłam tytuł cyklu: „Sztuka jest magią". W Radiu Wnet panuje bardzo miła atmosfera. (…)

RAFALSKA: Miała pani burzliwe życie osobiste, związki romantyczne z interesującymi ludźmi. Nie wiem, czy mogę o to zapytać…

SĘKOWSKI: Dominika ma na myśli to, że byłaś w relacjach z wieloma kobieciarzami.

(śmiech) **RAWIK**: Okropnie upraszczasz! (śmiech) Kochani, nie oszukujmy się! Ilu ludzi na świecie jest monogamistami? Ludzie są tacy, a nie inni. Mnie czasem trudno samą siebie zrozumieć. Przecież ja zostawiłam swojego pierwszego męża, Staszka Gronkowskiego, któremu zawdzięczałam moje świetne początki jako artystki, w luksusowych warunkach, w otoczeniu Starego Teatru, wśród tej pięknej bohemy. Porzuciłam go niecnie, właściwie zrobiłam mu straszną krzywdę. Dyrektor teatru, Zygmunt Hübner, nie kłaniał mi się potem przez jakiś czas…

SĘKOWSKI: Czyli to wyglądało tak, że w pewnym momencie chwytała cię fascynacja jakąś ciekawą osobowością i wtedy uznawałaś, że trzeba spróbować?

RAWIK: Nie pamiętam dokładnie, co i jak sobie myślałam. Staszek był ode mnie 12 lat starszy, otoczył mnie nadzwyczajną opieką i zapewnił luksusy. Byłam bardzo szczęśliwa. Po czym zakochałam się w banalnym aktorze ze Śląska, który dla mnie wziął rozwód, ale nie byłam z nim za długo.

SĘKOWSKI: Zostawiamy bez nazwiska?

RAWIK: Bez nazwiska, bo to nie ma większego znaczenia. Aż pojawił się Ignacy Gogolewski, z którym nigdy nie wzięliśmy ślubu. Kiedyś w trasie Kalina Jędrusik zapytała mnie, dlaczego my z Ignacym nie bierzemy ślubu. Odpowiedziałam, że coś chyba jest między nami nie tak, ale trudno mi to nazwać. Ja się długo przed tym uczuciem broniłam. Z początku nie chciałam go, bo nie był w moim typie. Nigdy mu tego nie powiedziałam, ale jak byliśmy ze szkołą Byrskich w Warszawie, a w Teatrze Polskim grali „Dziady", z podwójną rolą – Stanisława Jasiukiewicza i Ignacego

Kochani, nie oszukujmy się! Ilu ludzi na świecie jest monogamistami?

Gogolewskiego, to ja nawet stwierdziłam, że jeśli nie gra Jasiukiewicz, to nie idziemy. Nigdy się do tego Ignacemu nie przyznałam! Był to związek bardzo trudny, choć pod wieloma względami bardzo piękny. Ignacy pochodził z bardzo ubogiej rodziny, był nieślubnym synem jakiegoś hrabiego z Ciechanowa, który dał mu nazwisko dopiero w klasie maturalnej. Wychowywał się w Otwocku, dokąd jego ojciec wygnał mamę i babcię swojego syna. W związku z tym wszystkim Ignacy miał różne kompleksy.

SĘKOWSKI: Gogolewski miał reputację bon vivanta i łamacza kobiecych serc.

RAWIK: Rzeczywiście, kochały się w nim kobiety. On się ożenił jeszcze w czasie studiów z Kasią Łaniewską, raczej znaną aktorką. A potem wyprowadził się od niej dwie bramy dalej i zamieszkał z Ireną Dziedzic, z którą był chyba dwa lata. Następnie uciekł od Ireny Dziedzic, kupił sobie po kryjomu mieszkanie i miał bardzo poważny romans z Barbarą Pietkiewicz, późniejszą żoną Tadeusza

eprasa.pl fa2954935c



Od lewej: Dominika Rafalska, Paweł Sękowski, Joanna Rawik i Joanna Hańderek.

Kraśki i matką Piotra Kraśki. Aż wreszcie poderwał mnie, w czasie prób kabaretu „Pod Egidą" u Janka Pietrzaka...

SĘKOWSKI: A potem twoim drugim mężem został Marek Petrusewicz, sportowiec, olimpijczyk, przez pewien czas rekordzista świata w pływaniu na 100 m stylem klasycznym. To też był nie lada amant.

RAWIK: I działacz „Solidarności".

SĘKOWSKI: Kłóciliście się o tę „Solidarność"?

RAWIK: Nie, myśmy nie zdążyli się pokłócić, bo on to dopiero był dziwkarz! (śmiech) Nakryłam go kiedyś z inną kobietą w naszym łóżku, ale Mareczek nie chciał mi dać rozwodu. Chociaż prawdą jest, że ja też się specjalnie o ten rozwód nie starałam. Nie chciałam już potem wychodzić za mąż.

Nie ma prawdy absolutnej w życiu człowieka. Tę posiadły tylko zwierzęta.

SĘKOWSKI: Dzisiaj jesteś szczęśliwa u boku Witka Pilarowskiego…

RAWIK: Wituś jest dla mnie najbliższą osobą. Poza Markiem Petrusewiczem, którego zresztą znałam z lat szkolnych, wszyscy moi wcześniejsi partnerzy byli z branży: aktorzy lub dziennikarze. Ale z nikim nie miałam takiego porozumienia, prawdziwej bliskości. Zawsze czegoś mi brakowało, ale myślałam sobie, że może ja wybrzydzam, że może tak już być musi. Dopiero przy Witusiu odnalazłam tę bliskość, to porozumienie. On jest z ducha humanistą, ma kolosalną wyobraźnię, choć studiował na politechnice, a potem zajmował się biznesem. I ma kapitalne poczucie humoru, a to jest bardzo ważne! Jesteśmy już czwarty rok razem. Słuchajcie, ja nie zdawałam sobie sprawy, że może istnieć taka bliskość z drugim człowiekiem. (…)

RAFALSKA: Czy myśli pani, że gdyby zaczynała swoją pracę twórczą, swoją karierę dzisiaj, to byłoby pani łatwiej czy trudniej?

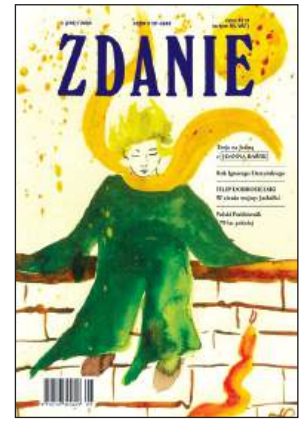
RAWIK: Za Boga bym nie chciała rozpoczynać kariery dzisiaj, tj. w dobie zaniku hierarchii na każdym szczeblu. Spotyka się dzisiaj w różnych instytucjach, firmach, wielkich i małych, ludzi tak niekompetentnych, tak niemających pojęcia o przedmiocie swojej pracy, że człowieka aż przerażenie ogarnia. Wiecie co? Kiedyś myślałam sobie, że szkoda, że nie urodziłam się XIX w. To było na początku mojej drogi artystycznej, gdy poznawałam polski romantyzm. A teraz mogę powiedzieć, że jestem szczęśliwa, iż urodziłam się w swoim czasie, a nie w jakimkolwiek innym.

RAFALSKA: Jakie osiągnięcie uważa pani za najważniejsze w karierze?

RAWIK: W dziedzinie pióra byłaby to moja książka o Édith Piaf – „Ptak smutnego stulecia"; to jest moje opus magnum, bo wszystko inne to są rzeczy raczej autobiograficzne. A w dziedzinie piosenki: „Nie chodź tą ulicą", oczywiście „Romantyczność", a także „Po co nam to było".

SĘKOWSKI: Powiedziałaś, Joasiu, że sztuka jest kłamstwem. Czy twoja twórczość też jest kłamstwem?

RAWIK: Każda twórczość jest specyficzną formą kłamstwa, moja też. Zresztą tak samo jest w życiu, np. gdy komuś czegoś nie mówimy, albo mówimy tak, żeby nie sprawić mu tym przykrości. Czyli z różnych powodów nie mówimy prawdy. Nie ma prawdy absolutnej w życiu człowieka. Tę posiadły tylko zwierzęta.



SĘKOWSKI: Dziękujemy za rozmowę.

Rozmawiali:
Joanna Hańderek,
Dominika Rafalska,
Paweł Sękowski

Warszawa, 17 lipca 2026 r.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (2)

eprasa.pl fa2954935c

Polski Październik 1956 z innej perspektywy

Roman Broszkiewicz



Mao Zedong i Nikita Chruszczow. Pekin, 1958 r.

Wedle starej zasady, że bliższa ciału koszula niż sukmana, widzimy zazwyczaj polski Październik w barwnych szatach naszych emocji, ale nie jest to jedyny sposób patrzenia – można go oglądać także w szarej odzieży polityki realnej.

Józef Stalin zmarł w 1953 r. w wieku 75 lat. Z wielkich przywódców II wojny światowej, którzy doczekali jej końca, żył najkrócej. Człowiek tego samego pokolenia, jego współkombatant i przeciwnik, Winston Churchill, nie tylko żył znacznie dłużej, ale na dodatek w wieku 76 lat ponownie został premierem. Młodsi – Japończyk Hirohito żył po wojnie jeszcze 44 lata, a Chińczyk Czang Kaj-szek 30 lat – rządzili do zgonu. Gdyby Stalin żył choćby tylko pięć lat dłużej, nie byłoby polskiego Października, choć musiałby nastąpić później, prawdopodobnie inaczej, bo pewne zjawiska są nieuchronne, często inicjowane przez mało znaczące wydarzenia.

Na tle walk w Budapeszcie Październik w Warszawie wypada blado.

Jak zatem wyglądały scenografia i rekwizyty tego, co w połowie XX w. nastąpiło na światowej scenie? Porządek jałtańsko-poczdamski panuje na świecie już od 10 lat. Sprawdził się, jak przewidział Orwell w epokowym „1984", i testowany był na peryferiach świata wielkich interesów. Dość miękkie próby naruszenia go w Europie – w Grecji i na Węgrzech – spotkały się ze zdecydowaną akcją militarną hegemona i jedynie hałasem medialnym kontestatora, który faktycznie ograniczył się do opieki nad uchodźcami.

W 1956 r. odbudowa zniszczeń wojennych była już właściwie ukończona, natomiast jej skutki niematerialne wyrażały się ciągle w skali przemian społeczno-politycznych.

Wojenne niepowodzenia mocarstw kolonialnych zintensyfikowały ruchy wyzwoleńcze, które w latach 1945-1956 objęły już całą Azję i zaczynały mieć znaczenie na innych kontynentach. Nowi kluczowi gracze, USA i ZSRR, nie patrzyli biernie na ten proces, lecz wspierali go na swoje sposoby. Rok 1956 przyniósł jasną odpowiedź na pytanie, kto rządzi światem, gdy kryzys sueski został rozwiązany już tylko werbalną interwencją nowych mocarstw, w stosunku do starych, które właśnie się dowiedziały, że już mocarstwami nie są. Te nowe nauczyły się przy tym sztuki, którą wkrótce miały sprawdzić w Afryce.

Świadomość supermocarstwowości inaczej manifestowała się w każdym z nich. W USA za pomocą sieci instytucji międzynarodowych i baz wojskowych. W ZSRR poprzez zrozumienie, że niezależnie od potrzeb propagandy nikt nie zagraża imperium.

Śmierć Stalina zdjęła z radzieckich/rosyjskich elit brzemię strachu. Stalin był chyba najskuteczniejszym w historii mistrzem samoochrony. Kiedy tylko zwyciężono przeciwników nowego ustroju, usunął rzeczywistych konkurentów do władzy, następnie zlikwidował konkurentów potencjalnych, by w czystkach lat 30. eliminować już tylko tych, którzy byli w sytuacji umożliwiającej im samą myśl o władzy. Wyraźnym tego dowodem był udokumentowany strach tych członków Biura Politycznego, którzy nie byli na celu tzw. spisku żydowskich lekarzy. Rozumieli, że za chwilę mogą być skazani jako jego inspiratorzy.

Potwierdza to także fakt, że kiedy Beria zlikwidował obozy, nie było żadnego sprzeciwu ze strony jego kolegów, mimo ogromnego szoku, jakim był referat Chruszczowa na XX zjeździe. Wszyscy wiedzieli, że władzy radzieckiej nic już nie zagraża i nie trzeba siedzieć na bagnetach. Jeszcze tylko trzeba było zlikwidować Berię – ostatnią ofiarę stalinizmu, by

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl fa2954935c

nadszedł czas na pokojową konsumpcję władzy. Zrozumienie tego nieco potrwało i dopiero w epoce Breżniewa było powszechne, ale rola pod nową politykę została już zaorana.

Sytuacja w europejskich krajach zależnych również była ustabilizowana. Elity władzy zostały ukształtowane, a wrogowie zniszczeni. Były wprawdzie jakieś ośrodki opozycyjne za granicą, ale nie miały większego znaczenia i, co najważniejsze, poparcia udzielały im właściwie wyłącznie ekspozytury wywiadowcze gospodarzy.

Pogodzono się z tym, że tam, gdzie nie ma radzieckich żołnierzy, możliwe są ustroje podobne do realnego socjalizmu, ale niezależne od Moskwy – jak w Jugosławii. W tej samej kategorii Chiny jawiły się jako potencjalny problem, który kiedyś może nabrać większego znaczenia.

Oczywiście szok potępienia Stalina i stalinizmu dotyczył nie tylko ZSRR, ale i krajów zależnych. W nich też w okresie odwilży strach stopniał, a władza przesunęła się od czynnika policyjnego ku politycznemu.

Ostatecznie czas polityki, w której ruch jest możliwy jedynie do przodu, zakończył się ze śmiercią Stalina i zaczął się, początkowo niezauważalny, odwrót. A każdy odwrót oznacza wejście w nową sytuację, w której naturalne stają się dalsze odwroty. Ten pierwszy to zarazem pierwszy krok w dół od apogeum. Zupełnie tak samo jak najdrobniejszy przeciek zmieniający charakter tamy.

W takim rozumowaniu jest jednak pewien brak. Chodzi o ukryte ambicje ludzi i państw, a właściwie o ambicje Mao Zedonga i Chin. Stalin, współpracownik Lenina i zwycięzca nad państwami osi, oraz ZSRR, któremu przewodził, byli liderami nie do zakwestionowania. Dodatkowym argumentem było posiadanie przez ZSRR broni atomowej i termojądrowej, a Chiny nawet tę pierwszą miały uzyskać dekadę później. Śmierć Stalina nie podważyła pozycji ZSRR, ale osobista pozycja najważniejszego człowieka w obozie socjalistycznym to już była zupełnie inna sprawa. Tu Mao nie chciał ustąpić nikomu. Bo kim był np. Chruszczow w porównaniu z człowiekiem, który na drodze walki zbrojnej pokonał rządy burżuazji i do obozu wprowadził jedno z największych państw, do tego najludniejsze! A jak czuły na punkcie swojej władzy i pozycji był Mao, przekonano się, gdy gotów był w ich imię zdestabilizować własny kraj w rewolucji kulturalnej.

Tu sprawy polska i węgierska spadły mu jak z nieba. Popierając pierwszą i potępiając drugą, bezkosztowo stawiał się na pożądanej pozycji. Był za suwerennością każdej partii i za zachowaniem obozu w jego dotychczasowej postaci. Zarazem stawiał się w roli arbitra. Tego nie można było zakwestionować, więc ZSRR i Chruszczow musieli to uznać. A to był właśnie odwrót, po którym mogły być już tylko następne, aż po rozwiązanie ZSRR.

Żadne znane mi źródło nie przedstawia Edwarda Ochaba jako ryzykanta czy hazardzisty, raczej przeciwnie. Z rozmowy, którą odbył z marszałkiem Zhu De 27 września na lotnisku w Pekinie, nie ma takiego stenogramu, jaki zrobił Jan Dzierżyński z październikowych rozmów polsko-radzieckich w Warszawie. Coś musi być w archiwach chińskich, ale nie przeniknęło do Polski. Rozmowa odbyła się z inicjatywy chińskiej, świadczy o tym rzekoma awaria samolotu Ochaba, którą mogły zadekretować wyłącznie służby chińskie. W każdym razie, cokolwiek tam powiedziano, musiało być nader kategoryczne. A potem był już tylko zwykły przepływ informacji ściśle tajnych. Wszystko więc przemawia za tym, że zarówno on, jak i Gomułka i Chruszczow znali stanowisko chińskie i po fajerwerkach gniewu mogli dojść do porozumienia, opłacalnego dla obu stron. W taki sposób polski Październik uruchomił serię wydarzeń o znaczeniu światowym, które doprowadziły do nieprzewidywalnego końca.

Bezkrwawe wydarzenia w Warszawie i krwawe w Budapeszcie łączy także to, że niemal wszystko odbywało się w stolicy, a udział prowincji był relatywnie skromny. Dzieli je natomiast ich ówczesna medialność. Na tle walk w Budapeszcie Październik w Warszawie wypada blado. W mediach góruje ciągle przekaz słowny – radiowy i prasowy. Obrazu telewizyjnego właściwie jeszcze nie ma, a kinowy dociera do widza z poważnym opóźnieniem. A o czym tu pisać z Warszawy? Za zamkniętymi drzwiami spotkało się kilku komunistów radzieckich z ich polskimi kolegami, podobno najpierw się pokłócili, a potem pogodzili. Żadnych walk, strzelaniny, szarż policji, ale też żadnych pochodów czy manifestacji. Sprawozdać można raptem spotkanie studentów na jednej uczelni: byli za zmianami, ale nie wyszli na ulicę. Takie stanowisko zajęli również robotnicy w jednej z fabryk.

Czyli może zdarzyć się coś bardzo ważnego dla świata, o czym trudno ten świat poinformować. Ale jeśli tak, to wypada powtórzyć pytanie, czy wydarzenia takie jak Październik nastąpiłyby w Polsce w innym czasie. Odpowiedź wydaje się prosta. Tak, bo musiało się to zdarzyć w którymś z krajów obozu radzieckiego, a w żadnym innym nie istniał taki zespół czynników społeczno-politycznych jak w Polsce – czynników obejmujących i partię, i ogół społeczeństwa. Podobnie usytuowanie geograficzne żadnego innego kraju nie miało tak kluczowego znaczenia strategicznego. A tempo wydarzeń na świecie było w 1956 r. takie, że ten inny czas nie mógłby być odległy.

Dzięki rozważnemu i ostrożnemu działaniu potrafimy sobie i światu dać dużo więcej niż na drodze wielkich zrywów.

Ostatecznie okazało się, że dzięki spokojnemu, rozważnemu i ostrożnemu działaniu potrafimy i sobie, i światu dać dużo więcej niż na drodze wielkich zrywów – nieskutecznych i kosztownych.

Prof. dr hab. Roman Broszkiewicz jest fizykochemikiem; pracował w Wojskowej Akademii Technicznej, Instytucie Badań Jądrowych i in. W październiku 1956 r. był członkiem Klubu Krzywego Koła oraz Sekretariatu Krajowego Ośrodka Współpracy Klubów Inteligencji.

eprasa.pl fa2954935c

Hiszpania traci cierpliwość do lewicy

Pedro Sánchez zapomniał, że wyborcy mają dobrą pamięć

Mateusz Mazzini
Korespondencja z Madrytu


Miasteczko namiotowe na Puerta del Sol w Madrycie.

Stałym obserwatorom hiszpańskiej polityki te obrazki muszą przywodzić na myśl konkretne, niepokojące skojarzenia. Miasteczko namiotowe zajmuje dzisiaj przestrzeń Puerta del Sol, bijącego serca Madrytu, placu w centrum stolicy. Brezentowe płachty rozwieszone pomiędzy kablami telekomunikacyjnymi i liniami wysokiego napięcia tworzą błękitną kopułę wyglądającą z daleka jak instalacja artystyczna. Wyrastająca na środku stacja metra przypomina teraz zejście do tajemnego podziemia, innej przestrzeni społecznej. I nie ma w tym przesady, bo to, co dzieje się na Puerta del Sol, pod wieloma względami jest światem równoległym do reszty hiszpańskiej stolicy.

Kto nie płaci, wylatuje

Pod brezentową kopułą ustawione są gęsto namioty z dyskontów sportowych. A na nich – tekturowe transparenty z hasłami politycznymi, łatwymi do zrozumienia w całej Europie. Wyrysowane symbole uniesionej zaciśniętej pięści, sporadyczny sierp i młot obok naklejek z flagą Palestyny. Nawiązania do walki klasowej, ale przede wszystkim elegie ku czci 87-letniej Maricarmen, która zmarła tydzień temu w stołecznym szpitalu, kilkanaście dni po eksmisji z mieszkania, w którym spędziła siedem dekad.

Historia nie była specjalnie skomplikowana, takich eksmisji jest w Europie Zachodniej mnóstwo, bo wynikają z obecnej dynamiki rynku mieszkaniowego. Maricarmen umowę najmu odziedziczyła po rodzicach i żyła w przekonaniu, że zapisany w niej czynsz nie zostanie zwiększony. W międzyczasie jednak kamienica, w której mieszkała, zmieniła właściciela, budynek przejęła korporacja i zarządzanie nim oddała innej prywatnej firmie. Nowy właściciel zaproponował kobiecie wykupienie nieruchomości za 247 tys. euro, co było dla niej ceną zaporową. Ponieważ nie skorzystała, podniesiono jej czynsz, a że takiej kwoty nie mogła płacić – wyeksmitowano ją.

Teoretycznie wszystko odbyło się zgodnie z prawem. Transakcja kupna i sprzedaży, oferta wykupu, brak porozumienia, wyższy czynsz – który przecież nie jest regulowany prawnie – i eksmisja. Kto nie płaci, wylatuje na bruk. Tyle że w tym przypadku litera prawa nie pokrywa się z jego duchem i nie trzeba być latynoskim zdeklarowanym socjalistą, żeby dojść do takiego wniosku.

Eksmisja i śmierć Maricarmen stały się katalizatorem olbrzymich protestów, których widomym rezultatem jest okupacja Puerta del Sol. A efektem politycznym – decyzja premiera Pedra Sáncheza o rozwiązaniu parlamentu i rozpisaniu na 29 listopada wyborów, już piątych w ciągu zaledwie dekady. I choć Sánchez uchodzi za polityka z teflonu, odpornego na skandale i przede wszystkim bardzo utalentowanego, zwłaszcza kampanijnie, jego kolejny zakład z rzeczywistością najpewniej zostanie przegrany, jeśli wierzyć sondażom.

Od ponad półtora roku nieprzerwanie prowadzi w sondażach centroprawicowa Partia Ludowa (PP), na którą w tej chwili chce głosować 32,3% wyborców – tak wynika z uśrednionych danych

FOT.HANS LUCAS/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl fa2954935c

publikowanych przez platformę PolitPro. Inne sondaże, np. narzędzie wyborcze Poll of Polls serwisu Politico, podają zbliżony rezultat ludowców. Zwycięstwo jest raczej niezagrożone, choć nie dawałoby ono PP samodzielnej większości. Naturalnym koalicjantem wydaje się więc coraz bardziej radykalne Vox, oscylujące w granicach 17-18% poparcia. Partia Socjalistyczna (PSOE) mogłaby liczyć na 26,5%, czyli aż o 5,2 pkt proc. mniej niż w poprzednim głosowaniu, z lipca 2023 r. 11% to z kolei poparcie dla Sumar, szerokiej koalicji ugrupowań lewicowych, ruchów miejskich i kolektywów aktywistycznych. W jej skład nie wchodzi już jednak Podemos, czyli formacja będąca echem poprzedniego hiszpańskiego kryzysu społecznego.

Historia się powtarza, ale nie zawsze

To, co dzieje się na Puerta del Sol, jest bowiem niebezpieczną kopią wydarzeń sprzed 15 lat. Wtedy Hiszpania znajdowała się w epicentrum eurokryzysu finansowego. Bruksela i Berlin dociskały rząd w Madrycie, by ograniczał wydatki publiczne, a kraj stał się kompletnie niestabilny. Bezrobocie wśród młodych poniżej 30. roku życia wynosiło ponad 40%. Po raz pierwszy od II wojny światowej więcej osób opuściło wtedy Hiszpanię na stałe, niż się w niej osiedliło. Eksmisje były na porządku dziennym. Sfrustrowana, pozbawiona perspektyw, przekonana o homogeniczności swoich elit politycznych młodzież zajęła wtedy madrycki plac po raz pierwszy, próbując wcielić w czyn hasło znane również z polskiej sceny – że inna polityka jest możliwa.

O Podemos napisano już opasłe tomy, wszak był to pierwszy europejski eksperyment lewicowego populizmu, nawet wyrazistszy niż Occupy Wall Street w Stanach Zjednoczonych. Kolektywne ciało przywódcze, zaangażowanie miejskich aktywistów, ponowny nacisk na materialne warunki życia. Pablo Iglesias Turrión, młody wówczas aktywista i wykładowca stołecznego uniwersytetu Complutense, potem przebojem wszedł do zawodowej polityki, niewiele jednak w niej zmieniając. A nad nim znajdował się intelektualny guru hiszpańskiej lewicy, socjolog Manuel Castells, twórca koncepcji społeczeństwa sieciowego i wielkich planów reform instytucji demokracji liberalnej. Przyszłość miała należeć do nich, w końcu „podemos" po hiszpańsku znaczy „możemy".

Dzisiaj już chyba nikt nie wierzy w to hasło. Podemos nadal istnieje, ale wyłamało się z szerokiego lewicowego frontu, a jego poparcie oscyluje między 1,3% a 3,6%. To wynik niższy niż rezultaty niektórych partii regionalnych, na które głosują tylko ludzie w Barcelonie, Kraju Basków czy na Wyspach Kanaryjskich. Progresywne postulaty nie są w modzie, w Hiszpanii nastąpiło podobne odbicie kulturowe jak w innych zachodnich demokracjach.

Twarzą kontrrewolucji jest Santiago Abascal, lider i założyciel Vox, członek międzynarodówki reakcyjnej prawicy. Sojusznik Javiera Mileia, Marine Le Pen, Georgii Meloni czy Mateusza Morawieckiego. Człowiek, który w szeregach swojej partii toleruje europosłów powielających narrację Kremla w wielu kwestiach, nie tylko na temat wojny w Ukrainie. I który publicznie deklaruje, że dla jego ugrupowania są trzy nieprzekraczalne czerwone linie: integralność terytorialna Hiszpanii, dominacja języka kastylijskiego nad innymi formami komunikacji oraz przewodnia rola tradycyjnej rodziny w kształtowaniu hiszpańskiego społeczeństwa.

Już trzy lata temu wszystko wskazywało na prawicowe odbicie w Hiszpanii, ale Sánchez jeszcze wtedy uciekł spod topora. Rozpisał wybory na lipiec i Hiszpanie po raz pierwszy w historii głosowali w czasie wakacji. Obawy o frekwencję nie potwierdziły się, bo zagłosowało ponad 69% uprawnionych. Premier, który już wtedy był niepopularny – bardziej niż własna partia, co samo w sobie jest ciekawym zjawiskiem – zagrał va banque i wygrał. Prawica nie miała większości, nawet po zsumowaniu mandatów Vox i PP. Wiadomo było, że coraz bardziej separatystyczne partie regionalne nie poprą takiej koalicji, więc król Filip pałeczkę w procesie formowania rządu przekazał socjalistom. Jak się szybko okazało, byli oni gotowi zaprzedać duszę diabłu, nawet zaoferować katalońskim separatystom, kuszonym przez Kreml, amnestię w zamian za poparcie w głosowaniu nad votum zaufania.

Teraz trudno wyobrazić sobie podobny scenariusz. I to mimo że 14 października instytut badania opinii publicznej CIS, odpowiednik CBOS, opublikował szokujący sondaż. Przy dość wysokiej próbie, wynoszącej 5025 respondentów, socjaliści w badaniu wygrali z 34% poparcia przy zaledwie 22% dla PP. Vox dostał 17%, a Sumar 6,1%. Nie jest to wierne odzwierciedlenie nastrojów społecznych, nie do końca wiadomo bowiem, co nagle miałoby odwrócić trendy utrzymujące się od wielu miesięcy.

Badanie przeprowadzono już po śmierci Maricarmen, a 59% respon-

Progresywne postulaty nie są w modzie, w Hiszpanii nastąpiło podobne odbicie kulturowe jak w innych zachodnich demokracjach.

Trzy lata temu premier obiecywał, że rząd zbuduje 144 tys. tanich mieszkań na wynajem. W pierwszym roku pojawiło się ich na rynku 12 tys. Potem sprawa ucichła.

eprasa.pl fa2954935c

dentów wskazało kryzys mieszkaniowy jako główne źródło ich niepokoju i najważniejszy temat w kampanii. Aż 39% wskazuje także Sáncheza jako najlepszego kandydata na szefa rządu. 24,6% widzi w tej roli lidera PP Alberta Núñeza Feijóo, dla 14,7% najlepszym premierem byłby Santiago Abascal. Gdyby taki przebieg miały listopadowe wybory, byłaby to niespodzianka, ale też dowód na to, że dzisiejsza polityka oparta jest bardziej na lęku i gniewie niż na inteligentnym odczycie rzeczywistości i oczekiwaniach wobec rządzących.

Nomadzi windują ceny

Jeśli bowiem Hiszpanie naprawdę najbardziej martwią się kryzysem mieszkaniowym, to Sánchez nie jest najwłaściwszą osobą do rozwiązania tego problemu. Trzy lata temu obiecywał, że jego rząd zbuduje 144 tys. tanich mieszkań na wynajem. W pierwszym roku pojawiło się ich na rynku 12 tys. Potem władze przestały publikować statystyki dotyczące postępów w tej kwestii. Prawdopodobnie dlatego, że ich po prostu nie ma.

Nie ma również jednej przyczyny kryzysu, tak samo jak nie jest prawdą, że wygląda on identycznie w całej Hiszpanii. Prowincja masowo się wyludnia, a często opisywane przez zagraniczną prasę powroty na wieś młodych ludzi to raczej przypadki niż statystycznie znaczące zjawisko. W dużych miastach problemem jest też wynajmowanie mieszkań w trybie krótkoterminowym i pojawienie się cyfrowych nomadów, czyli zagranicznych najemców, którzy nie zapuszczają korzeni w lokalnej społeczności, natomiast windują czynsze i ceny kupowanych nieruchomości. W Madrycie obecność obcokrajowców jest ważnym czynnikiem wpływającym na koszt mieszkań, podobnie jak w Barcelonie. Ale już w Andaluzji czy w Galicji po prostu buduje się tych mieszkań za mało. A Hiszpanie nie zarabiają wystarczająco dużo w stosunku do tego, ile muszą płacić za lokum.

Według ostatnich badań cytowanych przez portal Euronews średnia pensja osoby poniżej 30. roku życia wynosi 1270 euro, przy średnim czynszu za całą nieruchomość 1211 euro. Przeciętny młody Hiszpan praktycznie nie ma szans na samodzielne wynajęcie mieszkania. To dane uśrednione, wielu młodych ma współlokatorów, a w parach i rodzinach czynsz rozkłada się na dwie osoby. Nie zmienia to jednak faktu, że udział czynszu w miesięcznych wydatkach gospodarstw domowych jest bardzo wysoki. Dochodzi nawet do poziomu prowadzącego do społecznego przesilenia.

Problem w tym, że takich obszarów polityki jest więcej. Młodzi ludzie z Puerta del Sol piszą na tekturze, że chcą walczyć z klasą posiadającą i rentierami. Jednocześnie aż 75% Hiszpanów, jak podaje portal Politico, uważa, że zagrożona jest suwerenność terytorialna kraju. Wszystko z powodu napięć w relacjach z Marokiem, podkręconych niedawnym kryzysem w Ceucie. Król, który przyjechał do hiszpańskiej enklawy w Afryce, zapewnił mieszkańców, że Madryt nigdy ich nie opuści i nikomu nie przekaże kontroli nad tą ziemią.

A przecież temat migracji miał zapewnić poparcie Sánchezowi. Tutaj premier także próbował uciec do przodu, oferując szybką ścieżkę legalizacji pobytu półmilionowej grupie głównie latynoskich imigrantów przebywających w Hiszpanii. Sánchez czuł się bardzo pewny siebie, o czym świadczy jego artykuł opublikowany w dziale opinii „New York Timesa". Premierowi niespecjalnie przeszkadzało też, że w kwestii migracji idzie pod prąd głównego nurtu Unii Europejskiej. Ale próba stworzenia pozytywnego przekazu na temat imigrantów nie powiodła się, Sánchezowi słupki nie urosły.

Tym samym być może upadnie ostatni progresywny rząd w zachodniej Europie, co będzie miało zapewne konsekwencje dla układu sił na całym kontynencie. Kiedy wiosną w Barcelonie PSOE organizowała pierwszy zjazd nowej światowej lewicy, z udziałem Niemców z SPD czy Luli z Brazylii, wielu upatrywało w Sánchezie lidera kontrofensywy przeciwko narodowemu populizmowi. Od tego czasu minęło zaledwie pół roku i lada moment wszyscy możemy znaleźć się w rzeczywistości, w której ani Sánchez, ani Lula nie mają już nic do powiedzenia. Ich miejsce zajmą politycy mniej lub bardziej radykalni, nieprzychylni zmianom społecznym ani międzynarodowym sojuszom liberalnych demokracji. Okazuje się bowiem, że do przodu uciekać można tylko do pewnego momentu. Prędzej czy później uderzy się z hukiem w ścianę.

Mateusz Mazzini



eprasa.pl fa2954935c



FRANCJA SIĘ NAWRA

Leon XIV podczas wizyty nad Sekwaną bronił obecności chrześcijan w życiu publicznym

Sarah Bomba
Korespondencja z Francji



Pierwsza wizyta Leona XIV we Francji, odbywająca się między 25 a 28 września 2026 r., była wydarzeniem wykraczającym daleko poza wymiar religijny. Papież w przemówieniach skupiał się na tematach multilateralizmu, pokoju i rekoncyliacji, mocno przy tym akcentując zdobycze cywilizacyjne m.in. francuskiego humanizmu, mimo coraz częściej ujawniających się w kraju fundamentalizmów i skrajności.

Wybór miejsc wizyty: Paryża, Lourdes i Metzu, miał wymiar symboliczny – przypomniał, że kraj uchodzący za europejski wzorzec laickości pozostaje w wyobraźni tutejszych katolików „najstarszą córą Kościoła". Wizyta zaś przypadła na moment szczególny – Francja mierzy się obecnie z głębokim kryzysem społecznym, targają nią pytania o tożsamość, a Kościół katolicki, choć działa w coraz bardziej zsekularyzowanym społeczeństwie, na nowo próbuje zaznaczyć swoją obecność w debacie publicznej.

Na wizytę zrzucili się wierni

Ze względu na obowiązujący we Francji rozdział Kościoła od państwa finansowanie wizyty spoczęło przede wszystkim na stronie kościelnej – wyjątkiem była ochrona papieża Leona XIV, za którą odpowiadało państwo. A nie są to małe wydatki. Początkowo szacowano je na niższą kwotę, jednak wraz ze zbliżającym się terminem wydarzenia prognozy rosły, głównie ze względu na znacznie większą od przewidywanej liczbę uczestników. Ostatecznie Kościół ocenił koszt całej wizyty na ok. 27 mln euro. Środki na jej organizację pochodziły z darowizn wiernych.

Na początku września, tuż przed wizytą papieża, Kościół prowadził ogólnokrajową zbiórkę – do 8 września udało się zebrać ok. 5,5 mln euro. Po zakończeniu wizyty archidiecezja paryska ponownie zwróciła się do wiernych o datki, prosząc o 10 mln euro i argumentując, że przedsięwzięcie stanowiło wyjątkowe obciążenie finansowe. Kościół zapewniał, że zebrane środki pozwolą pokryć koszty wizyty bez uszczuplania bieżącego budżetu przeznaczonego na codzienną działalność. Skala wydatków pokazuje więc, że papieska podróż była nie tylko wydarzeniem religijnym, lecz także ogromnym przedsięwzięciem finansowym i organizacyjnym (Vatican News, „French Bishops: There is a spiritual thirst in the country as it awaits the Pope", 9 września 2026).

Faktem jest, że bogaty i widowiskowy program wizyty papieskiej przyciągnął tłumy. Ogromnym zainteresowaniem cieszyło się czuwanie z młodzieżą 25 września na Stade de France (80 tys. miejsc) w Saint-Denis pod Paryżem – bilety na to wydarzenie zostały całkowicie wyprzedane wiele tygodni przed spotkaniem.

Jeszcze większym zainteresowaniem cieszyła się msza na Place de la Concorde, najważniejszym

eprasa.pl fa2954935c



Papież Leon XIV na Place de la Concorde w Paryżu, 26 września 2026 r.

CA. I RADYKALIZUJE



placu Paryża znajdującym się naprzeciwko Pól Elizejskich, na którą przybyło 400 tys. osób. Podobnie było w przypadku nabożeństwa odbywającego się 27 września na łące w Lourdes, sanktuarium maryjnym nazywanym francuską Częstochową. Dużą frekwencją cieszył się także apel o pokój, który 28 września został wygłoszony przez Leona XIV w obecności licznych przywódców europejskich z centrum kongresowego w Metzu.

Aby zrealizować tak ambitny program, Konferencja Episkopatu Francji we współpracy z lokalnymi diecezjami zwróciła się o wsparcie do dwóch dużych firm: GL Events, która odpowiadała za całościową organizację wydarzenia, oraz Publicis Groupe, której powierzono komunikację.

Leon XIV przekonywał, że „właściwie pojmowana laickość" nie powinna wykluczać religii z przestrzeni publicznej ani z edukacji.

Gdzie są granice *laïcité*?

Francja bardzo poważnie traktuje rozdział Kościoła od państwa, dlatego oficjalna obecność urzędującego prezydenta na uroczystościach religijnych od lat budzi kontrowersje. Choć od czasów gen. de Gaulle'a prezydenci Republiki mogą uczestniczyć w nabożeństwach, zachowując neutralność religijną (nie przyjmując komunii), każda taka obecność powoduje we Francji wzmożenie publiczne. Przykładem była chociażby msza papieża Franciszka odprawiona w Marsylii w 2023 r. z udziałem Emmanuela Macrona, co spotkało się z zarzutem naruszenia laickości państwa. Podobnie było i w tym roku.

Najgorętszy spór o granice francuskiej *laïcité* wywołały jednak przemówienia papieża. W Pałacu Elizejskim 25 września Leon XIV powiedział wprost: „Właściwie pojmowana laickość nie polega (…) na wykluczaniu religii z przestrzeni publicznej czy z edukacji i wychowania". Stwierdził też, że państwo i instytucje religijne powinny „prowadzić dialog i łączyć siły w służbie dobru wspólnemu". Bronił obecności chrześcijan w życiu publicznym, twierdząc, że osoby kierujące się wiarą nie powinny być traktowane jako zagrożenie dla jedności państwa.

Leon XIV podjął również kwestie związane z bioetyką, nawiązując m.in. do ostatnich zmian w prawie francuskim dotyczących tzw. pomocy w umieraniu, którą określił jako „możliwość zaplanowania własnej śmierci", co wzbudziło sporą konsternację najwyższych przedstawicieli Republiki. Echem odbiła się także wypowiedź papieża w Lourdes, gdzie mówił z kolei francuskim biskupom o konieczności obrony prawa Kościoła do ewangelizacji, edukacji czy publicznego kultu.

Podczas lotu powrotnego do Rzymu francuski dziennikarz wprost zapytał Leona XIV, czy te jego wypowiedzi podczas wizyty nie przekroczyły granicy wyznaczonej przez *laïcité*. Papież odpowiedział, że nie; w jego rozumieniu Kościół, zabierając głos w sprawach społecznych i broniąc życia, nie angażuje się w politykę, tylko stosuje Ewangelię w życiu społecznym. Przyznał zarazem: „Jeśli uważa się to za politykę, to tak, zrobiłem to", zastrzegając, że chodziło mu nie o ingerencję we francuską politykę, lecz o głoszenie nauczania Kościoła.

FOT. ABACA/EAST NEWS

eprasa.pl fa2954935c

Choć papież Leon XIV jawi się jako umiarkowany konserwatysta, jego poglądy oraz wyniosła postawa prezentowana nad Sekwaną wzbudziły spore poruszenie. Radio France tę postawę skomentowało w następujący sposób: „Papież w Pałacu Elizejskim okazał się politykiem w imię religii, wieczorem w Notre Dame – misjonarzem, natomiast po południu w UNESCO – międzynarodowcem, gdzie bronił multilateralizmu".

Radykalni neofici

Spór o granice *laïcité* nie jest jednak wyłącznie sporem o miejsce Kościoła w przestrzeni publicznej. Kontrowersje i medialny szum po wizycie Leona XIV mają też nieco inne podłoże. Jest nim postępująca polaryzacja francuskiego społeczeństwa, z jednej strony naznaczona radykalizmem islamskim, z drugiej zaś – radykalizmem katolickim, którego znaczenie rośnie zwłaszcza w ostatnich latach.

Według danych opublikowanych 24 marca br. przez Konferencję Episkopatu Francji chrzest podczas tegorocznych świąt wielkanocnych przyjęło ponad 13 tys. dorosłych (o 28% więcej niż w 2025 r.) oraz 8 tys. nastolatków (wzrost o 10%). Zainteresowanie chrztem jest więc wyraźnie widoczne, lecz skala tego zjawiska pozostaje niewielka w porównaniu z wieloletnim spadkiem liczby chrztów dzieci. Bo choć coraz więcej dorosłych Francuzów decyduje się na przyjęcie chrztu, nie zmienia to zasadniczego obrazu francuskiego katolicyzmu – z roku na rok maleje liczba dzieci wychowywanych w wierze katolickiej. Wystarczy porównać dane z początku wieku z obecnymi: w 2000 r. we Francji chrzczono ok. 380 tys. dzieci, a w 2024 r. było ich już tylko ok. 150 tys.

Za zjawiskiem „nawracania się" dorosłych stoi jednak inny problem – rozpowszechnianie się katolickiego fundamentalizmu, który podobnie jak islamizm jest odpowiedzią na radykalny laicyzm Republiki, o którym mówił papież. Liczby te często są przywoływane w dyskusji o „powrocie do korzeni" francuskiego narodu.

Ale w rzeczywistości neofici stanowią najgroźniejsze ogniwo radykalizmu – zafascynowani nowym mają o wiele większe skłonności do popadania w skrajność niż reszta wierzących. Naśladując rówieśników wyznających islam, a także chcąc podkreślić własną tożsamość, młodzi ludzie proszący o chrzest często poszukują ściśle określonych ram dla swojej praktyki religijnej i codziennego życia. Widząc w szkole czy na uniwersytecie rówieśników, którzy konsekwentnie przestrzegają ramadanu i otwarcie manifestują przynależność religijną, część młodych Francuzów zaczyna intensywnie poszukiwać własnych punktów odniesienia. W społeczeństwie, w którym religia przez dekady była stopniowo wypierana ze sfery publicznej, a kwestie moralne pozostawiano indywidualnemu wyborowi, rodzi się potrzeba wyraźniejszego określenia tożsamości, wartości i zasad. Dla części młodych ludzi odpowiedzią na tę potrzebę okazuje się ponowne odkrywanie chrześcijaństwa i związanych z nim norm.

Papież jawi się jako umiarkowany konserwatysta, ale jego poglądy i wyniosła postawa prezentowana nad Sekwaną wywołały spore poruszenie.

Francja jest krajem, w którym tradycyjne normy obyczajowe i religijne mają coraz mniejsze znaczenie w życiu społecznym. Indywidualizacja stylu życia i stopniowe osłabianie dawnych instytucji kształtujących system wartości doprowadziły do głębokich przemian społecznych. Dla części Francuzów oznacza to większą swobodę w kształtowaniu własnej ścieżki życiowej, dla innych zaś – poszukiwanie nowych źródeł sensu i drogowskazów moralnych.

W tyglu tych przemian pojawiło się wiele niepokojących zjawisk. Warto wskazać choćby nasilające się problemy psychiczne młodzieży. Według danych Santé publique France za 2024 r. 15% uczniów szkół gimnazjalnych i 20% uczniów liceów deklaruje odczuwanie samotności, co wiąże się ze zwiększonym ryzykiem depresji: już 19% licealistów jest obciążonych wysokim ryzykiem depresji (wobec 15% w 2022 r.). Wskaźniki dotyczące samobójstw również potwierdzają powagę sytuacji. Wśród licealistów 20% deklaruje, że w ciągu ostatnich 12 miesięcy miało myśli samobójcze. To co prawda spadek o 4 pkt proc. w porównaniu z 2022 r., ale w tym samym czasie o 2 pkt proc. wzrósł odsetek nastolatków podejmujących próbę samobójczą: 15% licealistów deklaruje, że przynajmniej raz w życiu podjęło taką próbę.

W tych warunkach każda ideologia pada na bardzo żyzny grunt. Francuski katolicyzm staje się dla części młodych ludzi przestrzenią poszukiwania tożsamości i wyraźnych norm. Jak zauważa katolicki dziennik „La Croix", część osób wywodzących się ze środowisk prawicowych, które były do tej pory w większości zlaicyzowane, przechodzi na katolicyzm. Wzrost religijności niejednokrotnie wiąże się z poszukiwaniem bardziej wymagającej, „ofensywnej" formy chrześcijaństwa, opartej na jasno określonych zasadach. Katolicyzm staje się w ten sposób nie tylko religią, ale też narzędziem kulturowej i politycznej identyfikacji, co jeszcze bardziej pogarsza panujące nad Sekwaną nastroje społeczne.

Nie oznacza to jednak, że Francja masowo zwraca się dziś ku religijnemu radykalizmowi. Bardziej trafne byłoby raczej stwierdzenie, że w społeczeństwie, które przez dekady coraz mocniej indywidualizowało kwestie wiary i moralności, ponownie pojawia się potrzeba wspólnoty i pewnego rodzaju kolektywnej afirmacji. I właśnie ten paradoks polegający na współistnieniu głębokiej sekularyzacji z nowym zainteresowaniem religią wydaje się jednym z ciekawszych, ale i bardziej niebezpiecznych zjawisk we współczesnej Francji.

Sarah Bomba

eprasa.pl fa2954935c



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

„Naza” – ballada o ludobójstwie

Film dokumentalny „Naza” zrealizowany przez dwójkę izraelskich twórców, Juwala Abrahama i Rachel Szor, dostał na festiwalu w Wenecji nagrodę specjalną jury, a publiczność zgotowała mu 25-minutową owację, najdłuższą w historii festiwalu.

Produkcja ma bardzo ascetyczną formę – Abraham na dachach izraelskich domów rozmawia z 24 żołnierzami i oficerami osławionej jednostki 8200 – wywiadu elektronicznego i inwigilacji. Rozmówcy są zamaskowani i mają zmieniony głos. Są świadomi tego, że za swoje wypowiedzi mogą być ścigani przez izraelskie prawo i wojsko. Premier Netanjahu, jak napisał dziennik „Ha-Arec”, wydał „wojsku, służbie Szin Bet oraz prokuratorowi generalnemu” polecenie ustalenia ich tożsamości. Szef rządu domaga się postawienia im zarzutów dotyczących poważnych przestępstw przeciwko bezpieczeństwu informacji, zniesławienia oraz działania na szkodę interesów dyplomatycznych i bezpieczeństwa państwa.

Wygłaszanych z namysłem, spokojnym tonem wypowiedzi żołnierzy słuchamy, podążając za okiem kamery, która zagląda w oświetlone okna budynków w Tel Awiwie i dokumentuje najzwyklejsze sceny z życia domowego. Widząc niczym niezakłócone, normalne życie Izraelczyków, absorbujemy równocześnie opowieść ludzi biorących w ostatnich trzech latach udział w ludobójstwie dokonywanym na mieszkańcach Gazy po ataku Hamasu z 7 października 2023 r.

Dla osób śledzących operacje armii izraelskiej jest to potwierdzenie ich najgorszych przypuszczeń. Gaza została planowo wymazana z powierzchni ziemi. Ludność cywilna od samego początku została uznana za „koszt uboczny” tej operacji. Tytułowy termin naza to skrót od hebrajskiego *nezek agawi*, straty uboczne. W znaczeniu wojskowym – cywile, którzy zginą podczas bombardowania domu czy ataku dronów na jeden z celów wytropionych przez wywiad, a właściwie algorytmy analizujące „zachowania” i kontakty posiadacza telefonu i typujące go jako bojownika Hamasu lub jego współpracownika.

W pobliżu mieszkania jednego z bojowników Hamasu funkcjonowała piekarnia. Zgodnie z izraelskim modus operandi została zbombardowana, a wszyscy jej pracownicy i klienci zginęli. Wywiad izraelski ma zmapowaną całą Gazę – każdy budynek dostał numer identyfikacyjny, inwigilacja odbywa się poprzez śledzenie telefonów, zarówno przez tradycyjne podsłuchy, jak i analizę tzw. metadanych. Znany jest rozkład mieszkań na każdym piętrze oraz lista zamieszkujących je osób. Naza 20 oznacza, że przy próbie zabicia jednego wyznaczonego celu (potencjalnie bojownika Hamasu) zginie 20 osób cywilnych – bez rozróżnienia na wiek i płeć. Atak przy naza 20 nie wymaga żadnej akceptacji przełożonych. Jeden z żołnierzy opowiada w filmie, że największa liczba naza, z którą miał do czynienia, wynosiła 500. Czyli 500 cywilów zginęło, żeby zabić jedną osobę.

Żołnierze tej jednostki byli świadkami ostatnich chwil życia wielu palestyńskich rodzin, ich rozmów, płaczu dziecka. Dla niektórych rozmówców Abrahama i Szor stało się to w jakimś momencie problemem, szczególnie kiedy docierało do nich, że zginęli tylko cywile – oprócz „celu”. Niektórzy próbowali się tłumaczyć, że byli tylko trybikiem w machinie, że oni wykonywali tylko funkcje techniczne, a zabijali ci, którzy zrzucali bomby. Metodycznie burzono i palono całe kwartały domów, w końcu zburzono całą Gazę. Strzelano do ludzi stojących w kolejce po żywność.

Nikt nie protestował. Ktoś określił swoich kolegów z jednostki jako młodych ludzi z wyższej klasy średniej z Tel Awiwu, często pochodzących z rodzin o przekonaniach liberalno-lewicowych. Wątpliwości pojawiały się rzadko i u niewielu. Trzeba zaufać systemowi – słyszeli. I przyznawali: tak, brałem udział w ludobójstwie i zbrodniach wojennych. Wykonywaliśmy tylko rozkazy. Jeden z żołnierzy wspomniał, że jako uczeń liceum był w Polsce, odwiedzał Auschwitz i nie mógł zrozumieć, jak hitlerowcy mogli dokonać takiej zbrodni. Teraz, po Gazie, już rozumiem – dodał.

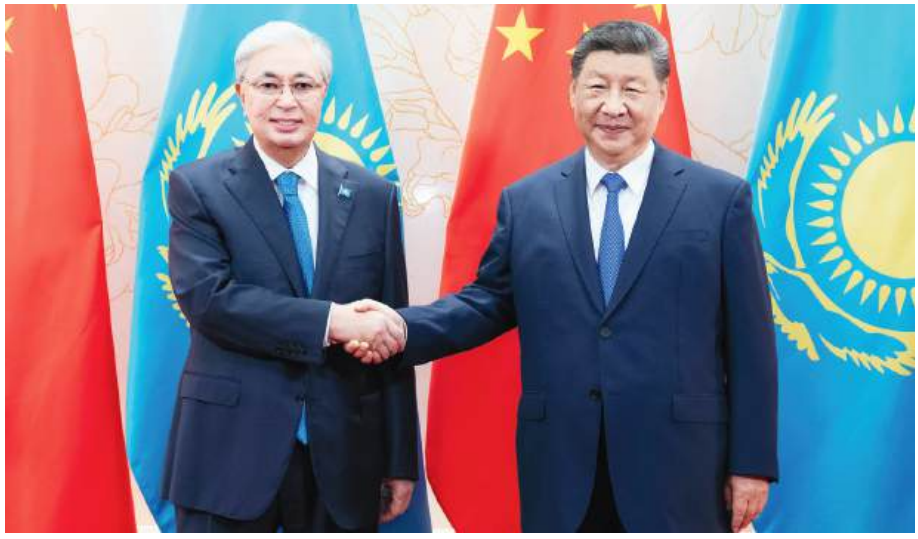
W Strefie Gazy nie ma niewinnych ludzi – ten slogan izraelskich polityków był powszechnym przekonaniem służących w armii; świadome zabijanie cywilów stało się obowiązkiem i nakazem. W kilku wypowiedziach pojawił się wątek poczucia odrealnienia – żołnierze uczestniczący w masakrach czuli się, jakby grali w grę komputerową.

Film poraża, dawno nie słyszałem takiej ciszy w kinie jak podczas pokazu w warszawskiej Kinotece. Oglądamy rozmowy ze sprawcami ludobójstwa, które trwa i którego reguły są – wydawałoby się – nie do wyobrażenia.

Nie sposób uciec od myśli, że słyszymy, parafrazując tytuł słynnej książki Daniela Jonaha Goldhagena „Gorliwi kaci Hitlera. Zwyczajni Niemcy i Holocaust”, gorliwych katów Netanjahu, zwykłych Izraelczyków podczas zagłady Gazy. Kiedyś zostanie napisana fundamentalna historia tej Zagłady. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl fa2954935c





Szanyrak nad stepem

Kazachstan pozostaje blisko Rosji, ale przestał zachowywać się jak jej prowincja

Waldemar Karpa

Omsk, 25 lipca 2026 r. Przed kamerami siedzą obok siebie dwaj prezydenci. Kasym-Żomart Tokajew zwraca się do Władimira Putina z kurtuazją, której nie powstydziłby się królewski szambelan. Chwali jego dyplomatyczną elastyczność i „pokornie" dzieli się własnym zdaniem. Owo zdanie z pokorą nie ma jednak nic wspólnego: być może nadszedł czas, aby zamrozić wojnę w Ukrainie i wrócić do stołu rokowań. Kreml zbywa propozycję niemal natychmiast.

Można by machnąć ręką na ten dyplomatyczny epizod, lecz byłby to błąd. Przywódca państwa, które przez dwa stulecia było dla Moskwy zapleczem, podwórkiem i rezerwuarem surowców, publicznie kwestionuje sens dalszego prowadzenia wojny. I robi to na rosyjskiej ziemi. Kazachstan pozostaje blisko Rosji, ale przestał zachowywać się jak jej prowincja.

Jak do tego doszło? I czy ta niezależność jest tak solidna, jak wygląda w obiektywach kamer?

Dach jurty

W godle Kazachstanu widnieje szanyrak, drewniany krąg zwieńczający kopułę jurty. To serce koczowniczego domu. Przechodzi z ojca na syna jako symbol ciągłości rodu i bezpiecznego ogniska. Szanyrak nie wisi jednak w powietrzu. Podtrzymują go dziesiątki żerdzi, rozkładając ciężar dachu na wszystkie elementy konstrukcji. Całość pozostaje trwała tak długo, jak długo żadna z podpór nie zawiedzie, żadna siła nie przejmie nad nią pełnej kontroli.

Trudno o celniejszy obraz kazachskiej polityki zagranicznej. Astana nazywa ją „wielowektorową". Jej zręby stworzył Nursułtan Nazarbajew już w pierwszych miesiącach po rozpadzie ZSRR, a Tokajew, jego następca, precyzyjnie dopracował. Zasada brzmi prosto, a jej wykonanie przypomina dyplomatyczny szpagat: nie oddawać żadnemu mocarstwu całego pola. Bezpieczeństwo załatwia się z Rosją, infrastrukturę z Chinami, inwestycje z Unią Europejską, współpracę obronną z Turcją, a technologie ze Stanami Zjednoczonymi. Każdy dostaje swój kawałek. Całości – nikt.

By zrozumieć, jak trudna jest ta gra, wystarczy spojrzeć na mapę i na karty historii. Mapa to koszmar każdego stratega. Na północy ciągnie się ponad 7,5 tys. km granicy z Rosją, na wschodzie niemal 1,8 tys. km granicy z Chinami. Kazachstan jest wciśnięty między Niedźwiedzia i Smoka. I odcięty od oceanu.

Historia mówi jeszcze więcej. Kazachstan nie był klasyczną kolonią, z której wywożono bogactwa do odległej metropolii. Był organem jednego ciała, którego serce biło w Moskwie. U schyłku Związku Radzieckiego niemal cały handel odbywał się wewnątrz wspólnego państwa. Rurociągi, tory i linie energetyczne biegły na północ jak naczynia krwionośne. W 1989 r. etniczni Kazachowie stanowili zaledwie 40% mieszkańców republiki, a Rosjanie 38%. Językiem urzędów, szkół i wielkich miast był rosyjski.

Ta historyczna spuścizna ciąży do dziś. Surowce energetyczne to wciąż ponad połowa kazachskiego eksportu. Większość ropy płynie w świat systemem rurociągowym liczącym ok. 1,5 tys. km, prowadzącym przez Rosję do terminalu w Noworosyjsku

eprasa.pl fa2954935c





Pekin, Waszyngton, Moskwa. Trzy stolice, które rywalizują niemal o wszystko. I Kasym-Żomart Tokajew – w każdej witany z honorami.

nad Morzem Czarnym. Mówiąc krótko, kazachska kura znosząca złote jaja mieszka w cudzym kurniku.

Nic dziwnego, że w latach 90. wielowektorowość była bardziej deklaracją niż rzeczywistością. Prawdziwe wychodzenie spod wpływu rosyjskiej grawitacji zaczęło się dopiero wtedy, gdy wysokie ceny ropy dały Astanie pieniądze i pewność siebie. Kamieniem milowym stało się powstanie rurociągu do Chin, budowanego etapami w pierwszej dekadzie XXI w. – pierwsza wielka trasa eksportowa omijająca Rosję. Moskwa protestowała, ale nie potrafiła zatrzymać tego procesu. Chińskie koncerny przejęły z czasem znaczącą część kazachskiego wydobycia ropy. W 2013 r. Xi Jinping ogłosił Nowy Jedwabny Szlak nieprzypadkowo właśnie w Astanie. Kazachstan miał się stać klamrą spinającą Chiny z Europą.

Rok później – pierwszy zimny prysznic. Rosja zajęła Krym pod hasłem obrony ludności rosyjskojęzycznej, a na północy Kazachstanu, gdzie Rosjan mieszka wielu, słuchano tego z narastającym niepokojem. Astana zaczęła po cichu budować własną tożsamość: przygotowywać przejście z cyrylicy na alfabet łaciński i przywracać pamięć o dziejach sprzed carskiego panowania.

Rok podwójnego wstrząsu

Prawdziwa próba ognia miała jednak miejsce w 2022 r. Najpierw zatrzęsło się od środka. W styczniu protesty przeciw podwyżkom cen paliwa przerodziły się w najkrwawszy kryzys w dziejach niepodległego Kazachstanu. Według oficjalnych danych zginęło ponad 200 osób. Za kulisami, jak uważa wielu, stronnicy Nazarbajewa próbowali odzyskać władzę. Tokajew wezwał na pomoc Organizację Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym (ODKB), sojusz wojskowy zdominowany przez Moskwę. Kontyngent, którego główną część stanowili Rosjanie, zabezpieczył kluczowe obiekty i pozwolił kazachskim służbom skoncentrować się na opanowaniu kryzysu. Wszyscy zakładali, że Astana spłaci ten dług bezwarunkową lojalnością.

Miesiąc później problemy nadeszły z zewnątrz: Rosja zaatakowała Ukrainę. I wtedy dłużnik zaskoczył wierzyciela. W czerwcu 2022 r. na forum ekonomicznym w Petersburgu Tokajew w obecności Putina odmówił uznania samozwańczych republik Donbasu i nazwał je tworami quasi-państwowymi. Jesienią Kazachstan odrzucił pseudoreferenda na okupowanych ziemiach i nie poparł aneksji na forum ONZ. Do zachodnich sankcji formalnie się nie przyłączył, ale zaostrzył kontrole reeksportu towarów objętych ograniczeniami, zwłaszcza produktów tzw. podwójnego zastosowania (takich jak mikroprocesory, drony czy zaawansowana elektronika – przyp. red.).

Przyszedł też czas na gesty. W listopadzie 2023 r. podczas wizyty Putina w Astanie Tokajew zaczął przemówienie po kazachsku. Rosyjska delegacja, z Siergiejem Ławrowem i Dmitrijem Pieskowem na czele, w popłochu szukała słuchawek z głosem tłumacza. Wcześniej rozmowy obu państw toczyły się niemal wyłącznie po rosyjsku. Teraz to Moskwa musiała się dostosować.

Za gestami podążyły decyzje gospodarcze. Astana coraz energiczniej szukała nowych partnerów i nowych dróg na świat. Przyśpieszono rozwój Korytarza Transkaspijskiego, szlaku z Chin do Europy przez Morze Kaspijskie, Kaukaz i Turcję zaprojektowanego tak, by Rosję ominąć szerokim łukiem.

Jest w tym gorzki paradoks: wszak drzwi do większej samodzielności otworzyła Kazachstanowi sama Rosja. Wojna zmieniła ją z gwaranta stabilności w źródło ryzyka i tak bardzo wciągnęła, że zabrakło sił, by zatrzymać odchodzącego sąsiada.

Trzy stolice w pięć miesięcy

Aby zrozumieć kazachską strategię, warto zajrzeć do kalendarza prezydenta. 16 czerwca 2025 r. Tokajew podejmuje w Astanie Xi Jinpinga i podpisuje z nim pakiet umów o energetyce, infrastrukturze, rolnictwie, technologiach i logistyce. Pod koniec sierpnia spotyka go ponownie, na szczycie Szanghajskiej Organizacji Współpracy w Chinach. 6 listopada jest już w Waszyngtonie, przy stole z Donaldem Trumpem. Tu zapowiedziane zostają inwestycje sięgające prawie 17 mld dol., dotyczące

FOT. IMAGO/EAST NEWS (2), XINHUA NEWS/EAST NEWS

eprasa.pl fa2954935c

m.in. surowców krytycznych, transportu i technologii. Kilka dni później ląduje w Moskwie z wizytą państwową i podpisuje kolejne dokumenty o strategicznym partnerstwie.

Pekin, Waszyngton, Moskwa. Trzy stolice, które rywalizują niemal o wszystko. I jeden gość – w każdej witany z honorami. To podręcznikowy pokaz tego, jak państwo średniej wielkości może zmusić gigantów, by patrzyli sobie na ręce. Od 2024 r. Tokajew określa swój kraj mianem „średniej potęgi". Kazachstan nie ma armii zdolnej zmieniać mapę świata, ale ma ropę, gaz, uran i surowce krytyczne, położenie na skrzyżowaniu kontynentów oraz rzadki talent do rozmawiania ze wszystkimi naraz. Nie potrafi unieważnić zależności, za to umie tak je rozłożyć, by żadna nie stała się pułapką.

Tu jednak trzeba ostudzić entuzjazm. Byłoby skrajną naiwnością patrzeć na kazachską emancypację przez różowe okulary. Kazachstan tkwi w Eurazjatyckiej Unii Gospodarczej i w ODKB. Wymiana handlowa z Rosją mimo okresowych spadków pozostaje na wysokim poziomie. Pierwszą kazachską elektrownię jądrową zbuduje konsorcjum pod wodzą Rosatomu. Sankcje wręcz podniosły wartość Kazachstanu w oczach rosyjskich firm, które traktują go jako rynek, pośrednika i bramę zapasową. Gdy ukraińskie ataki lub awarie zakłócają pracę infrastruktury nad Morzem Czarnym, cudza wojna wprost uderza w kazachski budżet. Apel z Omska był więc nie tylko gestem humanitarnym, ale i twardą obroną własnej kieszeni.

Co więcej, po 2022 r. rosyjskie podmioty zachowały, a w niektórych sektorach umocniły swoją pozycję w kazachskiej gospodarce i energetyce. W sferze bezpieczeństwa Moskwa nadal rozdaje karty. Chiny i Turcja, które miały ją równoważyć, nie urosły do rangi pełnych przeciwwag. Pekin może budować drogi, kupować ropę i udzielać kredytów, ale nie zastąpi rosyjskiego systemu bezpieczeństwa. Ankara może się odwoływać do wspólnoty języka i kultury, ale nie przeniesie Kazachstanu znad Morza Kaspijskiego nad Bosfor.

Rozczarował też front wewnętrzny. Tokajew osłabił dawną elitę, ale nie oddał steru społeczeństwu.

Kazachstan jest więc coraz bardziej samodzielny za granicą, nie stając się przez to bardziej wolny u siebie.

Chód bez rytmu

Co najciekawsze, wielowektorowość nie jest kaprysem gabinetów. To stan ducha całego społeczeństwa. Dowodzi tego sondaż niemieckiej Fundacji Friedricha Eberta przeprowadzony jesienią 2024 r. Aż 70% badanych chce zrównoważonych relacji jednocześnie z Zachodem, Rosją i Chinami. Za wyborem tylko jednej strony opowiada się zaledwie 6%. Jednocześnie znaczna część społeczeństwa uważa, że kraj może być narażony na rosyjski atak. Sympatia do północnego sąsiada i lęk przed nim współistnieją w tych samych umysłach.

Kazachstan bezpieczeństwo załatwia z Rosją, infrastrukturę z Chinami, inwestycje z Unią Europejską, współpracę obronną z Turcją, a technologie z USA.

Odpowiedzialność za wojnę w Ukrainie rozkłada się w ocenach społecznych między Rosję, Ukrainę i Zachód w sposób, który pokazuje trwałość i skuteczność rosyjskiej przestrzeni informacyjnej. To żniwo dekad obecności rosyjskich mediów i ostrożnej neutralności władz.

Zdecydowana większość badanych sprzeciwia się zarazem broni jądrowej. To pamięć o sowieckim poligonie w Semipałatyńsku i o decyzji z początku lat 90., gdy Kazachstan dobrowolnie oddał odziedziczony po ZSRR arsenał atomowy.

Najciekawsze jest jednak spojrzenie młodych. Pokolenie wychowane już w niepodległym państwie patrzy na Rosję wyraźnie krytyczniej, z większą ciekawością spoglądając ku Europie i Stanom Zjednoczonym. Jest gotowe zapłacić za mniejszą zależność od Moskwy i Pekinu nawet niższym poziomem życia.

Kazachstan nie jest skazany na sukces. Może pójść drogą stopniowych reform i spokojnego przekazania władzy, pod życzliwym okiem Zachodu i przy niechętnej akceptacji sąsiadów. Może też wybrać dobrobyt kosztem wolności i pogodzić się z rolą cichego satelity Chin. W najczarniejszym scenariuszu pęknie od wewnętrznych napięć albo stanie się obiektem rosyjskiej presji, gdy Moskwa uzna, że sąsiad odpłynął za daleko. Styczeń 2022 r. pokazał, że nie jest to tylko teoria.

W „Diunie" Franka Herberta przetrwanie na pustyni planety Arrakis zależało od jednej umiejętności: chodzenia bez rytmu. Równy, przewidywalny krok wysyłał w piasek wibracje, które przywoływały czerwie pustyni – potwory zdolne połknąć każdego wędrowca. Fremeni przeżyli, bo ich marsz był rwany, zmienny i trudny do przewidzenia.

Kazachska dyplomacja przypomina taki marsz: czerwiec w Astanie z Pekinem, listopad w Waszyngtonie, kilka dni później Moskwa, a latem apel do Putina wypowiedziany na jego własnym terytorium. Nie chodzi o to, że imperia nie widzą słabych punktów Kazachstanu. Widzą je aż nazbyt dobrze. Rzecz w tym, że każde musi się liczyć z pozostałymi, a próba podporządkowania Astany naruszyłaby interesy wszystkich rywali naraz.

Ta sztuka ma jednak swoją cenę. Tokajew może zaproponować zamrożenie wojny, ale nie może go narzucić. Jego kraj wciąż zależy od rosyjskich rur i wciąż czuje na karku oddech chińskiego kapitału. Może rozszerzać pole manewru, lecz nie może przesunąć granic ani zmienić biegu rzek.

Rzeczywisty sprawdzian nadejdzie nie wtedy, gdy mocarstwa będą zabiegały o Astanę, lecz wtedy, gdy jedno z nich zażąda wyłączności. Wówczas okaże się, czy szanyrak jest trwałą konstrukcją kazachskiej suwerenności, czy tylko kunsztownym elementem podtrzymującym dach nad stepem do czasu pierwszej naprawdę wielkiej burzy.

Prof. Waldemar Karpa – ekonomista, kierownik Katedry Ekonomii w Akademii Leona Koźmińskiego w Warszawie

eprasa.pl fa2954935c

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Mali władcy świata

Uczeń, który zaatakował nożem kolegów i nauczycieli w zawodówce w Ostrołęce, wpisuje się w obłąkane zbrodnie tak popularne w amerykańskich szkołach. Stają się one teraz modne w Europie, przyszły do nas, bo się amerykanizujemy. Przyczyna nie jest jedna, jestem pewien, że te dzieciaki były bite w domu, ale poza tym jakaś choroba drąży naszą cywilizację. Na pewno lekarstwem nie jest modlitwa ani powrót do wychowywania dzieci paskiem i rózgą, co sugeruje nasza prawica. Zaraz potem w szkole podstawowej w Leszczydole-Nowinach są ranni i mord. 15-letni zabójca nosił kask z kamerką, to miał być spektakl dla wielkiej publiczności. Dyrektor obezwładnił napastnika, chłopiec nagle zmienił zachowanie, uspokoił się i powiedział: „Ja już nie chcę tego robić, nie chcę już tego robić", i poprosił, by go przytulić. To bardziej jest ofiara niż oprawca. Pierwszy uczeń w Ostrołęce zaatakował w dniu swoich urodzin, chciał być sławny. W innym miasteczku niemal równolegle złapano niedoszłego szkolnego zabójcę, miał przygotowane noże. Też chciał zaistnieć, to nie do zniesienia być nikim.

Te okrwawione noże doprowadziły do wielkiego wzmożenia w internecie, dzieci są bardziej podniecone niż przerażone. Jakże znamienne, że w Ostrołęce w związku z krążącymi plotkami wydano oświadczenie, że napastnik był Polakiem. Powinno się uzupełnić: był Polakiem, a nie Ukraińcem. Widać, jak daleko zaszło szczucie na Ukraińców. Co złego, to oni. Albo Tusk. Czytam paski w Republice: „Coraz bardziej niebezpiecznie pod rządami Tuska" albo „Tusk zamiast psychiatrii dzisiaj firmuje nędzną propagandę i lewacką edukację w szkołach". W więzieniach są grypsujący, w naszej polityce złorzeczący. A Ukraińcy coraz powszechniej giną za nas. Nadal patrzymy na to jak w kinie na film. Tylko czasami jakimś cudem zbłąkany dron omyłkowo przedrze się przez ekran.

Na naszych oczach wojna zmienia swoje odwieczne oblicze. To wojna drapieżnych dronów, wojna maszyn, ale giną ludzie. Zbrodniarz Putin chce skorzystać z zimy, a Trump postanowił Putinowi pomóc, będzie na wielką skalę kupować olej napędowy od Rosji, więc amerykańscy kierowcy będą finansować rzeź Ukraińców. Na razie Putin chce zniszczyć ukraińską infrastrukturę i zabić jak najwięcej cywilów, dorosłych, dzieci, więc substancję żywą. Odwieczny rosyjski humanizm, tak ceniony przez Brauna i miliony Polaków, którzy są jego wyznawcami.

A dzieci – no właśnie, od dawna piszę, że permisywne wychowanie, bez ograniczeń, zmieni radykalnie świat. Teraz ta radykalna zmiana będzie miała wielką konkurencję w AI. Tak, nie wolno bić dzieci, jestem za wychowaniem w duchu miłości i przyzwolenia, ale z wyraźnymi granicami, dramat, że bardzo trudno wiedzieć, gdzie należy stawiać te granice. Małe dziecko nieustannie sprawdza, jak daleko może się posunąć, a chce wszystkiego, rodzice powinni je uczyć: ono jest bardzo ważne, ale są ograniczenia. Teraz tego nie uczą. Dziecko ma być władcą świata. Przy okazji dzieci przejęły władzę nad rodzicami. Wtedy dziecko traci poczucie bezpieczeństwa. Jak mogą dać mu poczucie bezpieczeństwa rodzice, nad którymi ma władzę? A przy okazji, paradoksalnie, rodzice nie mają teraz czasu dla swoich władców. I jest epidemia chorób psychicznych dzieci, plus ADHD itp.

> Na naszych oczach wojna zmienia swoje odwieczne oblicze.

Nauczycielka angielskiego, moja bliska znajoma z Siedlec, prowadzi kursy dla małych, pytana przeze mnie o uczniów, też w kontekście nożowników, pisze: „Dzieje się coś bardzo niepokojącego. To wyraźnie widać wśród najmłodszych. Na mojej lekcji siedmiolatka zaczęła krzyczeć, wrzeszczeć i bić inne dzieci, rzucać krzesłami. Nie dało się do niej podejść, musiałabym użyć siły. Wówczas odebrano by mi prawo wykonywania zawodu. Z klasy wyprowadzić nie można, bo nie wolno innych zostawić bez opieki. Też dlatego nie ma jak wyjść, żeby wezwać pomoc. Rodziców nie wolno denerwować, jeszcze oskarżą, że »sobie nie radzisz« albo »nie masz kompetencji«. Jak wróciłam wtedy z pracy do domu, zaczęłam liczyć. Odkryłam, że na 11 dzieci tylko dwoje zachowuje się normalnie. Reszta dziwnie. Wszystko powinno być »zaraz i teraz«, zgodnie z życzeniem dziecka. Dzieci nie mają możliwości przewidywania konsekwencji swojego »chcę« albo »nie chcę«. Szkoła jest dnem. Rodzice przejęli władzę nad nauczycielami, a dzieci nad rodzicami. Zaklęty trójkąt. Uczniowie nie mają obowiązków, same prawa. Nauczyciele mają same obowiązki, zero praw".

Ja tu dodam, że do permisywności bez granic dochodzi internet bez granic. Tam również wszystko jest możliwe.

■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl fa2954935c

FACET Z POGRANICZA

Żeby osiągnąć coś metafizycznego w teatrze czy w filmie, podstawą musi być absolutne rzemiosło



Rozmawia Jan Tracz

Zanim włączyłem dyktafon, powiedziałeś, że lubisz „Hot Spot", twój najnowszy film nakręcony przez Agnieszkę Smoczyńską, nie tylko ze względów prywatnych. Dlaczego?

– Fascynują mnie baśnie. A w tej konkretnej podoba mi się psychodeliczność i halucynogenność, które udało nam się wspólnymi siłami uzyskać. Dziś żyjemy w świecie baniek. Przy dostępie do internetu nie przerabiamy tego całego przypływu informacji – i dlatego uciekamy do naszych mikrokosmosów. O jednym z nich jest właśnie „Hot Spot". Mój bohater sobie w takiej bańce – kontrolowanej przez AI – pomieszkuje. I nagle okazuje się, że albo będzie musiał o coś zawalczyć, albo na zawsze pozostanie we własnej strefie komfortu, która tak naprawdę jest jedną wielką ułudą. A tobie podobała się ta opowieść?

Jeszcze we mnie kiełkuje – spotykamy się godzinę po premierze filmu na Festiwalu Dwa Brzegi w Kazimierzu Dolnym.

– Kiedyś w teatrze był taki zwyczaj, że na daną sztukę chodziło się dwa razy. Wiem, że to inne medium, a każdy spektakl będzie się różnił. Ale chyba coś w tym jest, prawda? Że dziś aż za bardzo pędzimy do przodu i trochę brakuje nam chwili na refleksję. Czasem trzeba dać filmowi odleżeć, na spokojnie go sobie ułożyć. A jeśli zdamy sobie sprawę, że nie wszystkie klocki się poukładały, wtedy raz jeszcze musimy wybrać się do kina. Tylko kto może sobie na

ANDRZEJ KONOPKA – aktor filmowy, teatralny i telewizyjny. Laureat nagrody w Gdyni za drugoplanową rolę męską w filmie „LARP. Miłość, trolle i inne questy". Na koncie ma role m.in. w „Znakach", „Belfrze", „Chrzcinach" i „Zimie pod znakiem Wrony". Prywatnie mąż reżyserki Agnieszki Smoczyńskiej. Ich wspólny film „Hot Spot" niedawno wszedł do kin.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl fa2954935c

to pozwolić przy tym natłoku premier? Jeśli obudzę się na drugi dzień i mam wciąż obrazy, migawki z danego filmu pod powiekami, to znaczy, że film zadziałał.

W takim razie jaka jest twoja ulubiona migawka z „Hot Spot”?

– Jest taka scena, w której mój bohater konfrontuje się z atakiem paniki. Ten obrazek został ze mną do dziś, wrócił nawet do mnie w trakcie naszej rozmowy.

W filmie często pojawia się na twarzy twojego bohatera tajemniczy uśmiech. Jakby było w tym doświadczeniu coś masochistycznego. Jak na to wpadłeś?

– Trudno mi powiedzieć, bo nie jestem aktorem, który buduje postacie od fizycznego detalu typu ta mina właśnie. Ona konsekwentnie staje się pochodną tego, co akurat dzieje się w mózgu. Najpierw muszę sobie zrozumieć te wszystkie motywacje bohatera, dopiero potem mogę na tym rzeźbić. W takich sytuacjach aktor musi zawsze wiedzieć, jak będzie wyglądało filmowanie tego typu sceny (czy też całego filmu), by móc odpowiednio dobierać środki. Komunikacja w takich sytuacjach to podstawa. Wtedy łatwiej osiągnąć zamierzony efekt i nie musimy robić kolejnych dubli. Co do samego uśmiechu, to on bierze się pewnie z dobrego samopoczucia mojego bohatera.

Ono jest udawane? Czy faktycznie dobrze mu w przedstawionej przez was utopii?

– Postać, w którą się wcielam, jest beneficjentem tego systemu, więc wydaje mi się, że nie ma tu podstaw, by było inaczej. Jako funkcjonariusz o dosyć wysokiej randze ma całkiem komfortowe życie. A przynajmniej lepsze niż większość otaczających go ludzi, co zresztą w filmie widz będzie miał szansę zobaczyć. Nie zapominajmy, że on żyje w bańce, w jakimś matriksie, w który pragnie wierzyć. Nie zauważa, że źle się dzieje w jego własnym prywatnym państwie. W pewnym momencie, kiedy pojawia się realne zagrożenie, zaczyna uciekać od prawdy. Udaje przed samym sobą, że ma wszystko pod kontrolą, choć jest tylko gorzej. Dziś ludzie funkcjonują w podobny sposób. Wydaje im się, że wystarczy posłuchać coachów internetowych i myśleć pozytywnie, a nagle wszystko się ułoży i staną się szczęśliwi. W taki sposób nie da się uformować swojego życia.

A ty jak żyjesz w czasach, w których najczęściej musimy sobie wmawiać, że jesteśmy szczęśliwi?

– Mam swoje strategie wobec zaistniałej sytuacji (śmiech). Przede wszystkim jestem facetem żyjącym gdzieś na pograniczu dwóch światów. Całe moje pokolenie zdaje się być w podobnej sytuacji, bo dorastaliśmy i żyliśmy gdzieś na pograniczu komunizmu, a następnie raczkującego neoliberalizmu. Do tego dopadł nas rozwój technologiczny: jedni próbują się w tym połapać, drudzy już nawet nie udają, że jeszcze rozumieją. Będę szczery – należę do tej drugiej grupy i nawet się z tym nie kryję. I robię to trochę świadomie, stosuję taktykę uniku, nie zajmuję sobie tym głowy.

Ale konto na Instagramie masz.

– Zgadza się, ale zaglądam tam rzadko. W dodatku prowadzi je moja córka. Mam, bo w dzisiejszych czasach podobno wypada. Nie potrafię wyobrazić sobie życia, w którym codziennie dbam o przyrost followersów, wrzucam nowe treści i tylko odświeżam konto, by zerkać, czy liczby idą w górę. Mam dość stresu na co dzień, aby dorzucać sobie kolejne aktywności tego typu. Odpowiadając jeszcze na twoje pytanie – staram się nie udawać. Staram się być jak najbliżej siebie.

Tylko że ty możesz sobie na to pozwolić, przez lata wyrobiłeś sobie konkretną markę. Młody aktor będzie szukał punktu zaczepienia w każdym możliwym miejscu. W tym zawodzie bardzo trudno się przebić.

– W moim przypadku to są lata pracy, zaczynałem jeszcze przed trzydziestką. Czasy też były inne: zachowania na planie i kontaktu z mediami uczyłeś się klasyczną metodą prób i błędów. Szedłeś na żywioł i liczyłeś na trochę szczęścia w życiu. I to jest trochę ten paradoks: możesz się obronić bez social mediów w czasach, gdy to one wiodą prym, ale trzeba wstrzelić się w dobry moment i poniekąd bardzo długo robić swoje.

Czyli nie interesujesz się tym, jak w sieci postrzegają cię inni?

– Na to wygląda.

W takim razie jak dziś sam spoglądasz na siebie?

– Zależy mi na tym, by być człowiekiem uczciwej pracy. To znaczy, buduję moją wartość przez pracę, role, wybory artystyczne i te bardziej zarobkowe, bo – nie oszukujmy się – są rzeczy, które robię wyłącznie dla pieniędzy. Jednak staram się pracować nad marką, a nie nad takim internetowym awatarem, który pokazuje, jak mieszka, czym jeździ i gdzie jeździ na wakacje. Zależy mi na tym, aby oddzielić sferę prywatną od zawodowej. Dodam jeszcze, że nie wartościuję swoich ról ze względu na objętość. Tak samo sobie cenię wartościowy epizod, jak i pierwszoplanowego bohatera.

Możesz się obronić bez social mediów w czasach, gdy to one wiodą prym. Ale trzeba wstrzelić się w dobry moment i długo robić swoje.

Czyli Andrzej Konopka, z którym dziś rozmawiam, nie odsłania się w stu procentach.

– Nie ma co ukrywać, że spotykamy się jednak w sytuacji festiwalowej, czyli takiej służbowo-zawodowej. Nie jesteśmy przyjaciółmi, ale staram się pogadać w pełni szczerze. W takich momentach oczekuję tego samego od drugiej osoby.

Podobno zazwyczaj wolisz rozmawiać o czymś, promując np. projekt, niż umawiać się na wywiad bez żadnego pretekstu.

– Zgadza się. Rozmawiajmy o nowym projekcie, z jakim się identyfikuję, o postaci, w którą właśnie się wcieliłem. Dla mnie to będzie o wiele bardziej interesujące.

Czyli raczej nie zdecydowałbyś się na wywiad rzekę?

eprasa.pl fa2954935c

– Nie wiem, bo to bardzo zdradliwa konwencja. Wszyscy zakładamy, że od pierwszej do ostatniej strony pozostajesz w pełni szczery, że nie boisz się zdradzać swoich największych tajemnic. Czasami ludzie nie są szczerzy sami ze sobą, a co dopiero mówić o uczestnictwie w czymś tak intymnym. Dla mnie wywiad rzeka ma w sobie coś z ekshibicjonizmu. Obnażasz się, ale na swoich warunkach.

To znaczy?

– Ostatecznie i tak czytelnik miałby do czynienia ze swoistą manipulacją. Przecież redagowałbym tekst, część rzeczy poskreślał, a do tego coś podadawał. A ja nie przepadam za tego typu pomnikowymi działaniami. Jeśli jesteś aktorem, to twoja praca sama powinna się obronić. Nie raz i nie dwa pojawiały się tego rodzaju propozycje, ale zawsze odmawiałem.

Pędzimy i brakuje nam czasu na refleksję, a czasem trzeba dać filmowi odleżeć, na spokojnie go sobie ułożyć.

Z taką narracją mamy teraz do czynienia w branży dziennikarskiej. O aktorach i twórcach należy mówić pozytywnie albo wcale. Inaczej nici z rozmowy. Panuje pełna kontrola tego, co się mówi, a głos dziennikarzy schodzi na drugi, może nawet trzeci plan.

– To znowu zależy od pokolenia: to młodsze, do którego należysz ty i moje młode córki, jest wobec siebie o wiele bardziej wyrozumiałe, akceptując swoje niedoskonałości. Stąd też to twoje pytanie, ono z tego właśnie się bierze, z ciekawości i akceptacji zarazem. Kiedy obserwuję moje dzieci, widzę, że one czują w sobie sprawczość. Mają poczucie, że są silne, pomimo wszelkich wad i trudnych cech, nad którymi pracują. Natomiast moje pokolenie stosuje tzw. poprawność polityczną jakoś tak kwadratowo, w zależności od tego, jak im akurat pasuje i co będzie na rękę. Do tego ta cała kontrola w branży bierze się z nowego rodzaju krytyki, który pojawił się wraz z narodzinami internetu. Teraz każdy może się wypowiedzieć. Wystarczy, że pokażesz swój pierwszy film w kinie, i chwilę później już znajdziesz komentarze na ten temat. A te zazwyczaj są negatywne. Tam sprzedają się krótkie komunikaty, najczęściej zjadliwe, dosłownie w kilku słowach. Dziś na spotkaniu po filmie jeden z widzów rzucił nam, że zamiast wybrać się na seans, mógł „pójść nad Wisłę".

I ta osoba jest z siebie zadowolona, czuje się lepsza, bo akurat wpadła na tak „błyskotliwy" komentarz. W sieci taka uwaga zdobyłaby pewnie sporo reakcji.

– A dlaczego tak naprawdę mu się nie podobało? Łatwo coś powiedzieć, posłać w eter, ale później trudno to jeszcze uargumentować. Może dlatego ludzie z branży nie chcą uczestniczyć w tym cyrku? Sam przecież lubię udzielać wywiadów, jeśli te zamieniają się w rozmowę i są o czymś. Ale też nie zależy mi, by po raz setny powtarzać te same historie o moich początkach i o tym, jak wówczas było mi trudno.

Wróćmy jeszcze do filmu. Jaką reżyserką jest twoja żona?

– Na pewno ma w sobie coś wspierającego, ogólnie jest wrażliwa na aktora. Jeśli widzi, że masz jakąś koncepcję na swoją postać i coś już sobie wymyśliłeś, wtedy cię puszcza.

Nie ogranicza cię?

– Wręcz przeciwnie, pozwala proponować, stać się integralną częścią projektu. To nie może być tak, że reżyser ci wszystko z góry narzuca. Inaczej taki twórca prędko straci w tobie współkreatora danej sytuacji. Agnieszka dawała nam wiele przestrzeni, dzięki czemu nadawaliśmy na tych samych falach.

A jak będzie z zaufaniem?

– Ono istnieje, ba, musi istnieć od samego początku. Jeśli mówisz komuś „tak", to znaczy, że decydujesz się tej osobie zaufać, czujesz jej wrażliwość i rozumiesz, z kim tak naprawdę masz do czynienia. Jeśli na starcie łapie cię myśl, że coś tu nie gra, to praca na planie będzie męką. Dlaczego? Bo jesteś w ciągłej niepewności. A przecież to, co robisz, ma jakąś wartość. W takich przypadkach zawsze potrzebne będzie to trzecie oko. I to jest chyba całe nieszczęście tego zawodu, które polega na tym, że potrzebujesz tego człowieka, by cię oglądał, oceniał, modyfikował. Ty coś robisz, wydaje ci się, że wyszło w porządku, a nagle słyszysz, że jednak niekoniecznie. Praca z reżyserami, takimi jak np. Agnieszka, daje spokój ducha. A ten wpływa na swobodę bycia przed kamerą, nad którą pracuje się latami. To trochę jak z jazdą samochodem: przychodzi taki moment, kiedy wreszcie zaczynasz się czuć w nim bezpiecznie. Jeżeli czujesz, że reżyserka ci ufa, możesz dzięki temu pokazać najlepsze strony twojego aktorskiego rzemiosła.

Nazywanie aktora rzemieślnikiem to komplement?

– Jak najbardziej. Dla mnie to jest komplement, bo jeśli istnieje obiektywne coś, co się nazywa „sztuką", to pojawia się moim zdaniem bardzo rzadko – czy to w teatrze, czy w filmie, czy jeszcze gdzieś indziej. Żeby osiągnąć coś metafizycznego w każdym z tych mediów, podstawą musi być absolutne rzemiosło. Tylko tyle i aż tyle.

W filmie Konopka rzemieślnik gra po angielsku. Czy wtedy czułeś się trochę inną wersją siebie?

– To jest chyba coś takiego, że jak już zaczynasz mówić w innym języku, z automatu przestajesz być sobą. Nie ukrywam, że na samym planie nie było mi łatwo komunikować się z Noomi Rapace i Reiką Kirishimą. Ale jakoś to szło. Nie używaliśmy zbyt skomplikowanych fraz, by przedyskutować nasze wspólne sceny, ale kiedy z Reiką patrzyliśmy sobie w oczy, to rozumieliśmy się bez słów. Jest w aktorstwie jakaś magia, która cię pochłania i sprawia, że zostajesz wprowadzony w pewien stan nie do opisania. W danej chwili oboje czujecie, że wspólnymi siłami potraficie wejść na jeszcze wyższy poziom.

I co się wówczas dzieje?

– Wtedy język nie ma nic do rzeczy. Liczy się tu i teraz. Efektem tych wspólnych spojrzeń są nasze sceny w „Hot Spot".

Jan Tracz

eprasa.pl fa2954935c

Szukalski w Chicago

Jego sztuki i poglądów nie rozumiano ani w Polsce, ani w USA

Leszek Konarski

16 października w Muzeum Polskim przy Milwaukee Avenue w Chicago otwarto wystawę „Szukalski. Rzeźbiarz mitu" („Szukalski. The Mythshaper") przygotowaną we współpracy z Narodowym Instytutem Polskiego Dziedzictwa Kulturowego za Granicą Polonica w Warszawie. Na wystawie znalazło się kilka rzeźb Szukalskiego ze zbiorów własnych muzeum, jak i wypożyczonych z Archives Szukalski w Los Angeles oraz od amerykańskich kolekcjonerów.

Muzeum Polskie w Chicago przypomina Stanisława Szukalskiego ps. Stach z Warty po 40 latach od jego samotnej śmierci na przedmieściach Los Angeles, gdzie po wojnie żył w biedzie, utrzymując się z zasiłku przyznanego przez miasto. Kilkadziesiąt razy zmieniał mieszkania, bo nie było go stać na czynsz, nie miał warunków do rzeźbienia, do wykonywania odlewów, praktycznie nic nie sprzedawał. Galerie wystawianiem jego rzeźb nie były zainteresowane, ich właściciele odpowiadali, że takiej twórczości nikt w Stanach nie kupi. W ostatnich latach życzliwej pomocy doświadczył tylko od młodego miejscowego kolekcjonera Glenna Braya, który w tej chwili opiekuje się tym, co po artyście pozostało.


Cecora, 1927

A Chicago to bardzo ważne miasto w życiu Szukalskiego. W 1903 r. przybył tu jego ojciec Dyonizy, kowal spod Sieradza, i sprowadził całą rodzinę. W szkole Stach zachwycił nauczycieli umiejętnością rzeźbienia w drzewie, więc ojciec zapisał go na sobotnie zajęcia w Art Institute of Chicago. Tam też nie szczędzono mu pochwał, jedna z gazet napisała: „Geniusz, syn polskiego kowala". Wtedy ojciec wysłał go z 200 dol. na studia do krakowskiej ASP. Pod Wawelem Stach też błyszczał, zdobywał dyplomy i nagrody, nie mógł tylko podporządkować się poleceniom profesorów. Przerwał więc naukę i wrócił do USA. Po śmierci ojca w 1914 r. Stach pozostał praktycznie bez środków do życia.

Wszystko zmieniło się, gdy poznał pierwszą żonę, malarkę Helen Walker, która pomogła mu finansowo. W 1923 r. w Chicago ukazała się pierwsza monografia jego twórczości „The Work of Szukalski", potem kolejne albumy i wydawnictwa. Artysta stał się sławny w świecie. Dziennik „The New York Tribune" donosił, że jest geniuszem równym Rodinowi. Swoich prac Szukalski nie sprzedawał, bo uważał je za własność narodu polskiego i marzył o powrocie do kraju. Zresztą kilka razy ze wszystkimi rzeźbami jechał do Polski i przywoził je z powrotem. Uciekając w 1939 r. z bombardowanej Warszawy, przedostał się na Zachód dzięki paszportowi amerykańskiemu, ale rzeźby musiał zostawić w Polsce. Niestety, zostały zniszczone przez hitlerowców lub rozkradzione. Szukalski osiedlił się w Kalifornii, do końca życia będąc już artystą zapomnianym i przez Amerykę, i przez Polskę.

Amerykanie i mieszkający w USA Polacy mogą więc w Chicago zobaczyć niezbyt wiele prac i trochę dokumentów dotyczących tego genialnego samouka. Szukalski narażał się wszystkim bez wyjątku, patrząc Polakom prosto w oczy i pokazując odważnie wady naszego społeczeństwa, co uważał za swój obowiązek jako artysty. Wiedział, że za swoją odwagę umrze „sam ze sobą", bo tylko tchórze mają huczne pogrzeby. Jego prochy zostały rozrzucone na Wyspie Wielkanocnej, tysiące kilometrów od ludzkich skupisk.

Aby poznać całokształt twórczości Stacha z Warty, trzeba odwiedzić otwarte we wrześniu 2025 r. Muzeum Szukalskiego w Gdyni. W wielkim pawilonie przy Orłowskiej 53 na dwóch poziomach jest prezentowanych ponad 60 rzeźb Szukalskiego, jego rysunki, medale, archiwalne zdjęcia i listy, unikatowe publikacje, kolekcja narzędzi rzeźbiarskich, którymi się posługiwał. Muzeum powstało nie w Krakowie, Warszawie, Katowicach czy Kazimierzu Dolnym, gdzie Szukalski miał pracownie, ale w mieście o znaczeniu dla niego symbolicznym. Trzy razy dobijał tu Batorym i za każdym razem przypuszczał, że wreszcie zamieszka w Polsce. Trzy razy ze Skweru Kościuszki powracał do Stanów z całym majątkiem. Jednak bardzo ciągnęło go do Polski, do której nigdy na stałe nie wrócił. ■


Portret Dyonizego Szukalskiego, 1914

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl fa2954935c

Sto lat Kubusia Puchatka

Znośna lekkość bytu w Stumilowym Lesie

Rafał Pikuła

Kubuś Puchatek ma sto lat, ale my tego niedźwiadka, a dokładniej niedźwiedzicę, wciąż kochamy. Dlaczego po stu latach wciąż szukamy schronienia u Misia o Bardzo Małym Rozumku?

W świecie, w którym efektywność stała się nadrzędną miarą ludzkiej wartości, gest wrzucenia patyczka do rzeki po jednej stronie mostka i śpiesznego przejścia na drugą stronę, by patrzeć, jak drewienko wolno wypływa pośród nurtu, urasta niemal do manifestu politycznego. A jednak to właśnie ten spokojny rytm zdefiniował jedno z najważniejszych dzieł literatury XX w. Sto lat temu, w październiku 1926 r., Alan Alexander Milne wydał niepozorną książkę o przygodach swojego syna i jego pluszowych zabawek. Nie wiedział jeszcze, że tworzy nie tyle czytankę dla dzieci, ile jeden z najbardziej przejmujących traktatów o ludzkiej kondycji, czułości i sztuce bycia tu i teraz.



Podobnie jak wiele innych postaci z książek Milne'a Kubuś Puchatek dostał imię jednej z zabawek Christophera Robina Milne'a, syna pisarza, kupionej w Harrodsie, luksusowym domu towarowym przy Brompton Road w londyńskiej dzielnicy Knightsbridge. Christopher swojego pluszaka nazwał Winnie, od imienia niedźwiedzicy Winnipeg będącej żywą maskotką kanadyjskich żołnierzy z Korpusu Weterynaryjnego.

Warto wyjaśnić, że pierwsza tłumaczka Milne'a, Irena Tuwim, uznając, że nie da się przełożyć imienia Winnie the Pooh tak, by sprawa jego pochodzenia była jasna dla polskiego czytelnika, ochrzciła misia imieniem Kubuś. A wzorowany na synu autora Christopher to po prostu Krzyś.

Świątynia nieociosanego klocka

Sto lat później mały, pluszowy niedźwiedź z Harrodsa nie spoczywa na półce w angielskim dworku, lecz mieszka po drugiej stronie oceanu – w szklanej gablocie Nowojorskiej Biblioteki Publicznej. Odwiedzają go tysiące ludzi rocznie: dzieci, dla których jest po prostu Misiem, oraz dorośli, którzy w jego szklanych oczach szukają śladu utraconego spokoju.

Co sprawia, że opowieść o gromadce zwierząt oparła się próbie czasu i wciąż przemawia do naszej wrażliwości z tą samą siłą?

Kubuś Puchatek bywa często traktowany jako alegoria prostoty, ale nie jest to prostota naiwna. Brytyjski pisarz, czerpiąc z pacyfistycznego przerażenia I wojną światową, w której sam brał udział jako żołnierz, stworzył przestrzeń całkowicie pozbawioną przemocy, intrygi i zawiści. Stumilowy Las nie zna pojęcia wyścigu. Nie ma w nim struktury władzy, nie ma klasowych uprzedzeń, a jedyną hierarchią – jeśli w ogóle o takiej mowa – jest ta wynikająca z czystej wrażliwości i empatii.

Puchatek przypomina taoistycznego mistrza, który nie próbuje naginać świata do własnych wyobrażeń. Jego kultowa „małorozumność" to nic innego jak brak zanieczyszczonego pozą intelektualizmu. Podczas gdy Sowa Przemądrzała buduje autorytet na zawiłych formułkach, których sama do końca nie rozumie, Królik próbuje podporządkować rzeczywistość swoim wiecznym planom i harmonogramom, to Puchatek trafia w sedno spraw. Wie, że najważniejsze rzeczy wypowiada się prostymi słowami, a największe mądrości kryją się w ciszy przed porannym „małym co nieco".

W tym sensie Stumilowy Las stał się uniwersalnym rezerwatem uważności (mindfulness), na długo zanim pojęcie to trafiło do poradników psychologicznych i na warsztaty dla korporacji. Puchatek nie analizuje przeszłości ani nie zamęcza się przyszłością. Gdy spaceruje po lesie, spaceruje po lesie. Gdy je miód, doświadcza miodu. Jest całością w każdej sekundzie swojego trwania.

Melancholia, lęk i akceptacja różnorodności

Tym, co czyni uniwersum Milne'a nieśmiertelnym, jest także niezwykła

eprasa.pl fa2954935c



dojrzałość psychologiczna w portretowaniu ludzkich słabości. Stumilowy Las nie jest cukierkową krainą nieustającej radości. To mikrokosmos społeczny, w którym każdy nosi swój własny, cichy ciężar.

Kłapouchy jest wcieleniem klinicznej wręcz melancholii. Jego świat spowija mgła wiecznego pesymizmu, a jednak – i jest to jedno z najpiękniejszych przesłań tej literatury – nikt w lesie nie próbuje Kłapouchego „naprawiać". Przyjaciele nie zmuszają go do sztucznego uśmiechu, nie serwują mu powierzchownych frazesów, że „jutro będzie lepszy dzień". Przyjmują jego smutek z pełną życzliwością. Kiedy Kłapouchy gubi ogon, Puchatek po prostu idzie go szukać. Kiedy jego chatka z patyków się rozpada, budują mu nową. Ta bezwarunkowa akceptacja odmienności i prawa do trudnych emocji sprawia, że opowieść Milne'a staje się lekcją dojrzałej wspólnotowości.

Z kolei Prosiaczek reprezentuje wieczny lęk i wrażliwość, ale choć boi się własnego cienia, potrafi się zdobyć na heroizm w momentach próby. Tygrys to nieposkromiona hiperaktywność, Królik – pragmatyczny pracoholizm, a Sowa – iluzja wiedzy.

Sercem tej opowieści jest konkretny punkt na mapie świata: Ashdown Forest w hrabstwie Sussex. To tam, na 6,5 tys. akrów wrzosowisk i rzadkich lasów, mały Christopher Robin spacerował z ojcem. Właśnie ta autentyczność krajobrazu nadała książce tak głęboki wymiar zmysłowy.

Odwiedzając dzisiaj Ashdown Forest, można odnieść wrażenie, że czas się zatrzymał. Trasa prowadząca do słynnego mostku Poohsticks Bridge, ścieżki pośród wrzosów czy piaszczysta dolinka Maleństwa wciąż wyglądają niemal identycznie jak na minimalistycznych, mistrzowskich ilustracjach E.H. Sheparda. Shepard, podobnie jak Milne, unikał przeładowania – jego kreska jest lekka, pozostawia miejsce dla wyobraźni czytelnika, jakby sam obraz również potrzebował oddechu.

Co ciekawe, ta literacka opowieść stała się po latach terytorium realnej walki ekologicznej. Rzadki ekosystem wrzosowiskowy High Weald potrzebuje ciągłej ochrony i nakładów finansowych. To właśnie legendarna marka Puchatka przyciągająca miłośników literatury z całego świata pozwala dziś pozyskiwać środki na ratowanie przyrody. Dziecięca fikcja stała się tarczą chroniącą realną naturę przed naporem cywilizacji.

Mądrość pożegnania

Najbardziej dojmującym wątkiem dzieła Milne'a pozostaje jednak kwestia przemijania. Dzieciństwo w Stumilowym Lesie nie jest wieczne – i autor ma odwagę to nazwać. Finałowe rozdziały „Chatki Puchatka" przynoszą subtelną, ale nieuchronną zapowiedź dorastania Krzysia. Chłopiec musi iść do szkoły, wejść w świat pojęć trudnych, obwarowanych regułami, zegarkami i obowiązkami. To nie kraina Piotrusia Pana, to rzeczywistość, która ma elementy magii.

Ostatnia rozmowa Puchatka i Krzysia w Zaczarowanym Miejscu na szczycie lasu należy do najpiękniejszych stron w historii literatury światowej. Chłopiec prosi Misia, by nigdy o nim nie zapomniał, nawet gdy Krzyś już przestanie „nic nie robić". To rozdzierająca, lecz wolna od patosu metafora opuszczania raju dzieciństwa.

Wyjątkowość tej opowieści polega na tym, że nie pozostawia nas w rozpaczy. Daje nam obietnicę, że cokolwiek się wydarzy w dorosłym, skomplikowanym świecie, istnieje w nas przestrzeń, do której zawsze możemy powrócić. Miejsce na szczycie lasu, gdzie mały chłopiec i jego poczciwy Miś będą zawsze bawić się razem.

A.A. Milne nie wiedział, że tworzy nie tyle czytankę dla dzieci, ile przejmujący traktat o ludzkiej kondycji, czułości i sztuce bycia tu i teraz.

Dzisiaj, sto lat od chwili, gdy po raz pierwszy wydrukowano przygody Puchatka, potrzebujemy Stumilowego Lasu chyba bardziej niż kiedykolwiek. Nie po to, by uciekać od rzeczywistości, ale by przypomnieć sobie o rzeczach fundamentalnych: o cenie czułości, wartości niewymuszonego czasu i o tym, że niekiedy najbardziej owocną rzeczą, jaką możemy zrobić w ciągu dnia, jest po prostu pójście na spacer i popatrzenie na rzekę. ■

FOT. SHUTTERSTOCK AI (2)

eprasa.pl fa2954935c

MIĘDZY OKŁADKAMI

Paweł Jaszczuk

Grobla. Powieść kryminalna

Szara Godzina, Katowice 2026

Paweł Jaszczuk jako autor książek obyczajowych, kryminalnych i sensacyjnych może się poszczycić Nagrodą Wielkiego Kalibru za powieść „Foresta Umbra", pierwszą z serii z dziennikarzem śledczym Jakubem Sternem, osadzoną w przedwojennym polskim Lwowie. Sam pisarz związany jest jednak z Olsztynem. I to w Olsztynie mieści się agencja detektywistyczna Edwarda Mozy, której właściciel zostaje wciągnięty w śledztwo związane z rytualnymi zabójstwami młodych dziewcząt. Przy okazji wychodzi na jaw mroczna prawda o jego współpracownikach. W tle pojawia się, chwilowo zaginiony, lokalny akordeonista. Oraz wiele szczegółów kojarzących się ze stolicą regionu warmińsko-mazurskiego, w tym smaczne kopytka w barze U sióstr, które regularnie konsumuje narrator. Dzięki zgrabnej fabule i swobodnemu stylowi czytelnik ma wrażenie, że akcję ogląda na ekranie, i zastanawia się, czy nie można by powieści przełożyć na język filmowy.



Marek Książek

NA EKRANACH



Everytime,

reż. Sandra Wollner, prod. Austria, Niemcy, w kinach od 23 października

Objawienie tegorocznego festiwalu w Cannes wreszcie trafi do polskich kin. Najnowszy dramat Sandry Wollner opowiada o rodzinie, która w obliczu niespodziewanej tragedii próbuje na nowo odnaleźć siebie. W tym celu wyrusza na wczasy, realizując pokrzyżowane nieszczęściem plany. Czy nowe miejsce pozwoli ranom się zasklepić? Czy inne powietrze da bohaterom szansę złapać w końcu oddech? „Everytime" zdaje się być trochę w dialogu z McEwanem, Barnesem, Austerem i wieloma innymi twórcami zainteresowanymi siłą pamięci oraz tym, co zostaje z nami po latach. Podkreślić trzeba znakomity montaż, tak naprawdę każda scena coś wnosi. I choć tempo pozostaje niby senne, film znienacka potrafi zadać cios. Przy okazji zręcznie łączy różne rodzaje nastrojowości – raz będzie cieplej, a raz chłodniej. Koniec końców „Everytime" przypomina, że życie składa się z małych rzeczy, może i banałów, ale o to chyba w tym wszystkim chodzi. Jeśli rozmawiać o stracie, żałobie i przebaczeniu, to wyłącznie w ten sposób.

Jan Tracz

KURTYNA W GÓRĘ



Pułapka w nas samych

Sztuka białoruskiego dramaturga Konstantina Stieszyka to prawdziwe wyzwanie dla teatru, który podejmuje się jej wystawienia. Odważył się Sylwester Biraga i wyruszył w trudną podróż jako kapitan międzynarodowej załogi: polsko-białorusko-ukraińsko-rosyjskiej, bo z tych krajów pochodzą aktorzy. Sztuka opowiada o pułapce, która jest w nas samych (analizował to m.in. Kafka, a za nim Różewicz) i o szansie wymknięcia się z potrzasku, a mówi o tym językiem z pogranicza snu, groteski i realistycznego szczegółu.

Zaczyna się sekwencją pantomimiczną. Może się wydawać, że to lokatorzy komunałki wywieszają pranie na rozciągniętym w poprzek sceny sznurze. Jednak zawieszają nie tylko części garderoby, ale także rekwizyty wykorzystywane w poszczególnych epizodach – okazuje się, że to prowizoryczna garderoba dla aktorów. Konstrukcja dramatu przypomina „Kartotekę" Tadeusza Różewicza. Bohater wyleguje się w łóżku, które w toku akcji będzie zmieniało przeznaczenie (stanie się nawet biurem). Ciąg obrazów scenicznych układa się w korowód życia Miszy, zaskakiwanego obrotem spraw. Oto bowiem partnerka zamierza go opuścić, syn wcale nie jest jego synem, a i on sam nie jest dzieckiem swoich rodziców, ale przygarniętą sierotą, a na koniec traci pracę za sprawą intryg najbliższego kolegi. Trudno o bardziej pechowy zbieg okoliczności. Świat po prostu wykreśla go z katalogu. Bohater próbuje uczepić się jakiejś nadziei, ale jego egzystencja wisi na włosku. To każe mu na nowo spojrzeć na siebie, na wszystkie doświadczenia, zamiary i plany. W dodatku mimo prób wymknięcia się z pułapki pętla zaciska się na jego szyi niczym garota.

Paweł Haradnitski, który zainteresował Biragę tym dramatem, gra rolę, która idealnie przylega do jego osobowości zagubionego młodego człowieka, rozpaczliwie rozglądającego się za ratunkiem. Jest w nim wewnętrzny smutek doznanego zawodu, ale wciąż nie zgasła iskra nadziei, wiara, że warto o siebie walczyć, choćby ta walka wydawała się przegrana.

Tomasz Miłkowski

Konstantin Stieszyk, „Pułapka na ptaki", tłumaczenie Marina Bolewska, reżyseria i scenografia Sylwester Biraga, Teatr Druga Strefa, prapremiera polska 12 września 2026

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. KARPATI/ZAREWICZ, MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl fa2954935c



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Sztuczni inteligenci, prawdziwe bęcwały

Andrzej Wajda 11 lat temu, gdy elektorat PiS okazał się najliczniejszy i postawił na rządy kaczystowskie, zanotował na planie „Powidoków": „Zapytałem naszego lekarza ekipy, czy nie ma pigułki dzień po – wyborach?". Przeżył tylko pierwszy rok z dwóch kadencji prawicy, ale te ostatnie zapiski z Niedorzecza Wisły (tak Polskę otępiale głosującą na psychopatriotyczną prawicę określał Stanisław Tym) są najsmutniejsze spośród czterech tomów „Notesów".

Czy za rok ten koszmar się powtórzy? Zakazane gęby „obrońców" Trybunału Konstytucyjnego okażą się twarzami prawdziwych Polaków? Wąsacze mentalni z klubów „Gazety Polskiej" wespół z paciorkowcami odmawiającymi paciorki na modłę toruńskiego katabasa okażą się tą siłą narodu, do której odwołaniem się grozi niejaki Alfons Batyr? Zajadła dzieciarnia razemków przyklaśnie zaś temu w samobójczej ekstazie, bo najważniejsze to obalić libków? I pełnię władzy nad krajem obejmie katotaliban pod ramię z faszystami i anarchokapitalistami? W takim razie, gdy ostatnie sondaże nie pozostawią już złudzeń, trzeba będzie się wystarać jednak o pigułkę „dzień przed" albo dać sobie raz na zawsze spokój z Polską – tak czy owak, w takim kraju żyć już nie zdołam.

Owóż, jeśli został nam rok, szkoda go marnować na sprawy plugawe, nie ma sensu emocjonować się przemocową retoryką mediów, które interesuje już tylko to, kto komu „wbił szpilę", wymierzył „mocny cios" albo wprost „znokautował". Tyle że napastliwość wkroczyła już wszędzie, dziennikarze nękają w podobny sposób polityków, sportowców, a także ludzi kultury. Jakiś pętak, chcąc się przypodobać redakcji, wysłał poprzez wydawnictwo zaczepny zestaw pytań do Olgi Tokarczuk i został zignorowany. Całkiem słusznie, bo rozmowa z noblistką o jej nowej książce to jednak przywilej dziennikarzy i krytyków o sprawdzonych kompetencjach.

W poprzednim życiu, gdy byłem autorem poczytnym, też blokowałem zapędy smarkatych prowokatorów, bo na rozmowy z pętakami czasu i nerwów szkoda, musieli zatem poprzestawać na złośliwych recenzjach. Zanim więc jeszcze pojawiła się powieść o obiecująco brzmiącym tytule „Świata jest za dużo", okazało się, kolejny raz, że nade wszystko za dużo jest młodych spłyciarzy, zatrudnianych przez periodyki, które coraz rzadziej stać na opłacanie piór rzetelnych i cenionych.

Z drugiej jednak strony Olga nie ucieknie od odpowiedzi na pytania o rolę sztucznej inteligencji w procesie twórczym, skoro sama wyjawiła niedawno, że z niej korzysta. Spośród sztubackich i nieelegancko sformułowanych dociekań sfochowanego młodzieńca akurat temat AI jest nieunikniony – nie tyle kwestia, czy noblistce wypada się wysługiwać modelami językowymi, bo w etos i obowiązki moralne pisarzy nie wierzę, ile to, czy sztucznie wykreowana fraza Tokarczuk jest już na tyle dobra, by autorka była w stanie się nią zachwycić, a nawet wpaść w rodzaj narcystycznej ekstazy.

Niegdyś Dymitr Szostakowicz wyznawał w liście do przyjaciela, że popłakał się ze wzruszenia nad własnym kwartetem smyczkowym, bo czuł, jakby wtargnął w niego geniusz przerastający skalę jego talentu. Czy współcześni twórcy już przeżywają podobne stany dzięki AI?

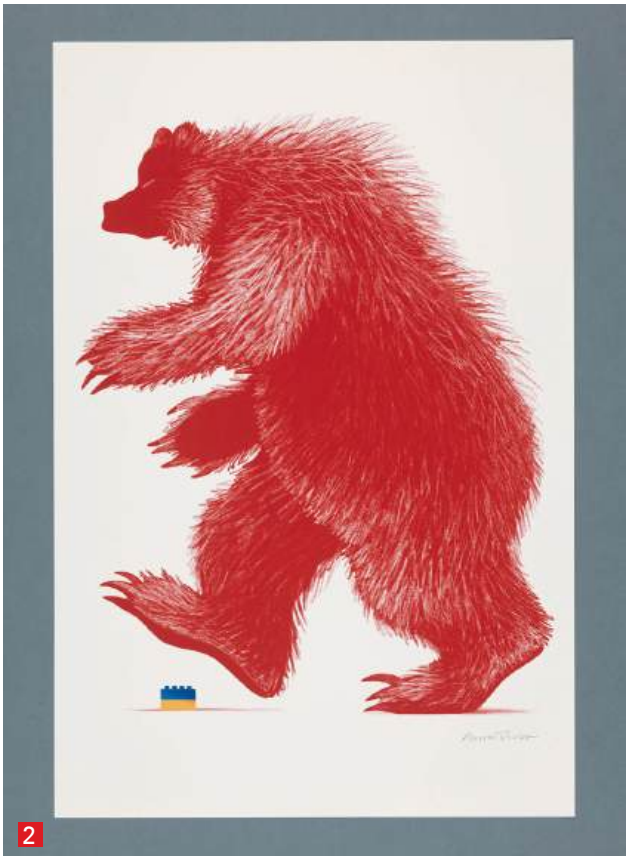
Jechałem kilka dni temu na grzyby z przyjacielem, człekiem szlachetnym i prostodusznym, który puścił mi piosenkę, co to mu wpadła w ucho i nie może wypaść. Dało się tego słuchać bezboleśnie, ale kiedy zapytałem, kto jest autorem, okazało się że dla niego to nie ma żadnego znaczenia. „Prawdopodobnie AI", odpowiedział. Od razu sobie pomyślałem: jak długo będę bezpieczny w swojej niszy „poważkowej"? Cóż z tego, że autorstwo i wykonawstwo ma dla mnie znaczenie nadrzędne i pewnie nie zachwyciłbym się ostatnio cyklem pieśni Kevina Putsa, gdyby nie powstały do słów Emily Dickinson i nie były wyśpiewane przez Joyce DiDonato w asyście rewelacyjnego smyczkowego Time for Three? A jeśli AI dokomponuje i upubliczni przerwany śmiercią Bacha Contrapunctus XIX, czy nie zechcę tego posłuchać z czystej ciekawości? A jeśli ten fragment okaże się lepszy i – co gorsza – bardziej bachowski od całej „Die Kunst der Fuge"? Surkonwencjonalizm Pawła Szymańskiego, który potrafił komponować doskonałe „fałszerstwa" barokowe (nie zawsze je potem dekonstruując), za chwilę nie będzie już żadnym wyzwaniem. A jeśli AI „odnajdzie" zaginioną powieść „Mesjasz" i okaże się to arcydziełem, kwintesencją schulzowskiego języka? Czy będziemy mieli siłę ignorować takie symulakra?

A gdyby tak sztuczna inteligencja zastąpiła polityków? I uniemożliwiła ludowi wybór idiotów i fanatyków? Rządziłaby nami tak, aby wedle swoich obliczeń ocalić ludzkość przed zagładą? Lepsza wszak sztuczna inteligencja niż brak tej naturalnej, który cechuje rozliczne indywidua chronione immunitetem poselskim. ■

eprasa.pl fa2954935c



1


2

Trzecia odsłona wystawy

W Muzeum Plakatu w Wilanowie można obejrzeć nową odsłonę wystawy stałej „Plakat polski. Kolekcja". Na zwiedzających czekają ikoniczne prace najważniejszych polskich artystów, które opowiadają historię ostatnich 130 lat codziennego życia Polaków. Na wystawie zobaczymy plakaty takich twórców jak: Karol Frycz, Wojciech Jastrzębowski, Tadeusz Gronowski, Stefan Norblin, Stanisława Sandecka, Antoni Wajwód, Tadeusz Trepkowski, Teresa Byszewska, Józef Mroszczak, Henryk Tomaszewski, Wojciech Fangor, Jan Lenica, Roman Cieślewicz, Waldemar Świerzy czy Franciszek Starowieyski.

Muzeum Plakatu w Wilanowie
Warszawa, ul. Stanisława Kostki Potockiego 10/16

1. Aleksandra Jasionowska, Strajk kobiet, 2016
2. Paweł Jońca, Russian Bear, 2022
3. Marian Adamczewski, Cukier krzepi. Smażcie owoce, 1931
4. Bolesław Surałło, Sporty wodne to radość życia!, 1933
5. Tadeusz Trepkowski, Grunwald 1410. Berlin 1945, 1960
6. Leszek Żebrowski, Bluesada. IX Festiwal Muzyki Bluesowej. Dom Kultury Słowianin, 2001
7. Janusz Maria Brzeski „Oracz", Nad Odrę po ziemię ojców i dobrobyt, 1945



5

eprasa.pl/a2954935c

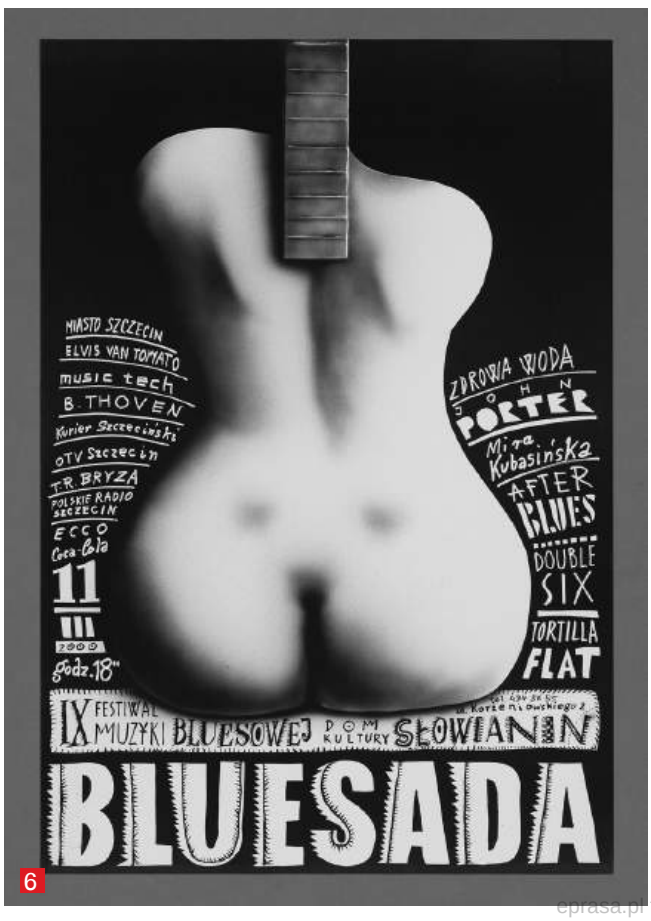


3



4

w Muzeum Plakatu



6



7

eprasa.pl/fa2954935c



Mecz Jagiellonii z Araratem. Białystok, 15 października 2026 r.

SŁABI, SŁABSI, LECH

Liga Europy nas weryfikuje

Wojciech Kuczok

Jakie szczęście, że nas nie ma w Lidze Mistrzów – dość spojrzeć, jak sobie w niej radzą kluby „z naszej półki", które się tam zabłąkały, bo miały więcej szczęścia od Polaków (skądinąd wszyscy mają więcej szczęścia od Polaków: jeden awans 30 lat po Legii i Widzewie wykracza poza rachunek prawdopodobieństwa, to nie jest tylko wina systemu, który od zawsze hołubił najbogatszych kosztem słabszych, to już jest klątwa prawdziwa).

Jak ćmy do światła zlatują się do tej Champions League rozmaite Slovany, Kajraty czy Young Boysy, po to by zarobić kokosy i łudzić się, że dzięki nim odskoczą i rozgoszczą się w elicie na stałe, ale przegrywają wszystko jak leci. Piłkarze być może – a włodarze klubowi na pewno – woleliby nadstawiać gołą dupę pod bat za wielki hajs, niż walczyć z równymi sobie o kasę nieporównywalnie mniejszą, ale dla kibica rachunek jest prosty – oklaskuje gole strzelane, a nie stracone, nie czuje dumy, że jego ulubieńcom spuszcza manto wielka firma z Niemiec czy z Anglii. Woli oglądać zwycięskie mecze z wicemistrzem Laponii, zdobywcą pucharu Grenlandii czy walijskimi wieśniakami z Llanfairpwllgwyngyllgogerychwyrndrobwllllantysiliogogogoch (notabene to nie tylko najdłuższa, ale i najbardziej malownicza nazwa europejskiej miejscowości, w przekładzie na polski chodzi o Kościół św. Marii nad stawem wśród białych leszczyn niedaleko wodnego wiru pod czerwoną pieczarą przy Kościele św. Tysilia). Dobrze zatem, że nie musimy oglądać seryjnych klęsk naszych drużyn w najbogatszej lidze świata, ale niespodziewanie dzieje się tak z naszym udziałem również w Lidze Europy.

Tego, że mistrz Polski będzie zbierał aż takie baty, spodziewać się nie mogli nawet najwięksi pesymiści, do których należę. Myślałem realnie o nikłej porażce w Londynie i remisie z Bayerem w Poznaniu – tymczasem w obu meczach Lech został zdemolowany, ośmieszony, znokautowany. Najlepiej oddają to gorzkie słowa komentatora po jednej z nielicznych prób szarpnięcia się Lechitów – nasz zawodnik przebiegł chyżo kilkanaście metrów, ale piłkę

eprasa.pl fa2954935c

stracił w zdumiewająco łatwy sposób na pierwszej przeszkodzie – rywal „po prostu zabrał mu zabawki".

To była różnica kilku klas, przez 90 minut mistrzowie Polski ani przez chwilę nie byli w stanie pokazać, że nad Wisłą też swój piłkarski język mają. Idąc tropem językowym, to nawet nie był bełkot, to było zaledwie niemowlęce gaworzenie, zawodnicy Lecha tak się podniecali faktem, że czasem potrafią wymienić między sobą trzy podania, że czwarte posyłali w najlepszym razie w aut lub zgoła niepełnosprytnie pod nogi przeciwników.

W Londynie i w Poznaniu Lech został zdemolowany, ośmieszony, znokautowany.

Po klęsce z Crystal Palace nawet trener Lechitów wyrażał moją nadzieję, że jego piłkarze „wyciągną wnioski" i nie będą już robić prezentów rywalom, ograniczą niewymuszone błędy, zwłaszcza że rywal z Bundesligi jest wystarczająco silny i potrafi się obsłużyć sam.

Zamiast wyciągnąć wnioski, Lechici wyciągnęli nogi, wyzionęli boiskowego ducha, znowu oddali mecz bez walki, ba – wyglądali na spanikowanych faktem, że przyjechali do nich w odwiedziny tak zacni goście, i kompletnie zgłupieli. Do remisu potrzebowaliby fury szczęścia, tymczasem ono tradycyjnie sprzyjać Polakom nie miało zamiaru. Może jednak ma rację Jerzy Brzęczek, który sprowadził okoliczności awansu młodzieżówki na Euro do postanowień piłkarskiego Boga, może faktycznie nasi za dużo trenują, co i tak zda się na nic wobec braku talentu, a nie dość żarliwie się modlą o litość niebios?

Już po kwadransie młody filar poznańskiej obrony Wojciech Mońka musiał zejść z boiska wskutek mięśniowej kontuzji. Zastąpił go Terry Yegbe, ten sam, który w Londynie bawił się w św. Mikołaja, prezentując graczom Crystal Palace pierwszego gola po absurdalnym wyrzucie z autu, a potem kiksując raz za razem. W Poznaniu wytrzymał bez wtopy niewiele ponad 10 minut, nie schował na czas łapki w polu karnym, sparował dłonią strzał i Patrik Schick po raz pierwszy mógł przymierzyć z 11 m.

Drugi gol to już zbiorowa błazenada poznańskiej obrony, nieudolne, slapstickowe wprost próby wybicia piłki – i Malik Tillman niemal wjechał z nią do bramki. Trzeci gol i kolejny prezent – Mateusz Skrzypczak zapatrzył się na stopera kadry narodowej i w stylu Bednarka powalił rywala, a druga próba Schicka z wapna także okazała się skuteczna. Czwarty gol, celny strzał Algierczyka Ibrahima Mazy, był zakończeniem wielopodaniowej akcji, której Lechici asystowali z dziecięcą bezradnością.

Tego meczu nie można nawet nazwać lekcją futbolu, bo gracze Kolejorza nie wyglądali na uczniów, którzy byliby w stanie cokolwiek pojąć. Bayer podniósł sobie trzy punkty z murawy, jakby nikogo na niej nie było.

Byliśmy w ostatnich latach łudzeni opowieściami o progresie Ekstraklasy, w której jest coraz więcej pieniędzy i zdolnych zawodników. Tymczasem Lech przed 16 laty potrafił w Lidze Europy wygrać z Manchesterem City, dwukrotnie zremisować z Juventusem i dwakroć pokonać Salzburg. Dziś trudno sobie wyobrazić, by Kolejorz potrafił w takiej grupie powalczyć chociaż o jedno zwycięstwo. Ja tu widzę raczej kolosalny regres.

Trener Jagi ligowe mecze ogląda sobie teraz z trybun, bo musi odsiedzieć swoje za aferę SMS-ową, ale zawieszenie nie obejmuje rozgrywek europejskich.

Natomiast Jagiellonia wygrała, czyli po prostu zrobiła swoje, pewnie pokonując w Białymstoku mistrza Armenii, zdecydowanie najsłabszą ekipę, z którą przyjdzie się zmierzyć polskim zespołom. To był jedyny z 16 meczów, w którym nasz klub mógł wystąpić w roli faworyta – pozostaje żywić nadzieję, że nie będzie to nasze jedyne zwycięstwo tej jesieni. Nie przyszło ono zresztą Pszczółkom łatwo, bo pierwsi stracili gola, na szczęście błyskawicznie udało się wyrównać za sprawą Kamila Jóźwiaka, napastnika, który trafił do bramki po raz pierwszy od… trzech i pół roku. Ponad 50 spotkań bez gola i wreszcie przełamanie w kluczowym momencie – takich gagatków sprowadza Adrian Siemieniec, aby pod jego opieką mogli się odbudować.

Trener Jagi ligowe mecze ogląda sobie teraz z trybun, bo musi odsiedzieć swoje za aferę SMS-ową, ale zawieszenie nie obejmuje rozgrywek europejskich. Skądinąd wymiar takiej kary zawsze był dla mnie wątpliwy – wszak z wysokości trybun widać więcej i lepiej niż z poziomu murawy, a każdy trener odesłany karnie z ławki może instruować swojego zastępcę przez telefon.

O zwycięstwie nad Araratem Armenią zdecydowały bezlitosne reakcje Białostoczan na błędy rywali – swoje gole dołożyli jeszcze Rodrigo Conceição, syn słynnego Sérgia i brat Francisca, jedyny z piłkarskiego klanu występujący w Polsce, a także Ousmane Sow, niegdyś gwiazda Górnika Zabrze, odbudowująca się na Podlasiu po nieudanym sezonie w Brøndby.

W najbliższy czwartek poziom trudności wzrośnie, bo do Białegostoku przyjeżdża brukselski Anderlecht, z którym żaden polski klub jeszcze nigdy nie wygrał, a obrywały boleśnie Wisła, Widzew i Górnik. Belgowie rozgrywki zaczęli od dwóch porażek, więc na Jagę wyjdą zmobilizowani, remis w tym meczu byłby dla drużyny Siemieńca sukcesem. Lech z kolei tak polosował, że będzie dostawał łupnia co tydzień, w czwartek przyjeżdża do Poznania Sunderland i nie widzę powodów, by drużynę Granita Xhaki, Thomasa Meuniera czy Briana Brobbeya postrzegać jako słabszą od tych, które dotąd Lecha lały.

Reprezentacje zawodzą, pocieszenia w pucharach nie znajdujemy – ta jesień dla piłkarskich kibiców w Polsce nie będzie złota. ■

FOT. WOJCIECH WOJTKIELEWICZ/KURIER PORANNY GAZETA WSPÓŁCZESNA/POLSKA PRESS/EAST NEWS

eprasa.pl fa2954935c

NOBEL Z MEDYCYNY

Co wspólnego ma jednokomórkowa zielona alga z ludzkim mózgiem?

Weronika Walenciak

Nobel za badania nad algą, z którą sama pracowałam? Ta wiadomość była ekscytująca.

Alga, czyli *Chlamydomonas reinhardtii*, nie ma mózgu, układu nerwowego ani oczu. A jednak potrafi rozpoznać, skąd pada światło, i popłynąć w odpowiednim kierunku. Przez lata naukowcy próbowali zrozumieć, jak organizm złożony tylko z jednej komórki potrafi zrobić coś takiego. Odpowiedź znaleźli m.in. w światłoczułym białku znajdującym się w jej błonie, rodopsynie kanałowej.

Wtedy nikt nie badał algi po to, żeby sterować ludzkim mózgiem. A jednak kilkadziesiąt lat później odkryty u niej mechanizm pozwolił naukowcom robić coś, co brzmi niemal jak science fiction. Wpływać na aktywność wybranych neuronów za pomocą światła!

W tym roku odkrycia, które doprowadziły do powstania optogenetyki, zostały uhonorowane Nagrodą Nobla z dziedziny medycyny i fizjologii. Peter Hegemann i Georg Nagel odkryli i opisali światłoczułe białka występujące naturalnie w algach – reagujące na światło i kontrolujące przepływ jonów. A Karl Deisseroth przekształcił te białka w precyzyjny przełącznik, sterowany światłem, dla komórek nerwowych. Proste?

Jak od pytania o to, skąd alga wie, gdzie jest światło, doszliśmy do kontrolowania aktywności neuronów?

Chlamydomonas reinhardtii porusza się za pomocą dwóch wici, trochę jak pływak napędzany ruchem ramion. Światło jest dla niej ważne, bo pozwala przeprowadzać fotosyntezę. A więc wytwarzać substancje niezbędne do życia. Istotne jest nie tylko to, czy światło dociera do komórki, ale również z której strony pada. Rozpoznając jego kierunek, alga może odpowiednio zmienić sposób poruszania się.

Pomaga jej w tym plamka oczna, eyespot. Nazwa może być trochę myląca, nie jest to oko i alga niczego nie „widzi". To raczej mikroskopijny czujnik kierunku światła.

Jak wyjaśnia dr Friedrich Kleiner, biolog molekularny badający *Chlamydomonas* i mój opiekun naukowy na TU Delft, jest to znacznie bardziej złożona konstrukcja, niż mogłoby się wydawać. Warstwy pigmentu pochłaniają i odbijają światło, dzięki czemu komórka może rozpoznać, z której strony ono dociera. Kleiner nazywa tę strukturę wręcz „maleńkim urządzeniem optycznym" zbudowanym w nanoskali. I właśnie tutaj pojawiają się rodopsyny kanałowe. Najłatwiej wyobrazić je sobie jako maleńkie bramki w błonie komórki, otwierane światłem.

Po obu stronach błony, wewnątrz komórki i w jej otoczeniu, znajdują się naładowane elektrycznie cząstki, jony. Sama błona nie pozwala im swobodnie przepływać. Rodopsyna tworzy dla nich przejście, kanał jonowy. Kiedy pada na nią światło, bramka się otwiera i jony przepływają przez błonę. Kiedy światła nie ma, bramka pozostaje zamknięta. Ten przepływ zmienia stan elektryczny komórki i uruchamia kolejne reakcje, które ostatecznie wpływają na pracę wici. Światło zostaje więc zamienione w sygnał elektryczny, a sygnał – w ruch.

I tu pojawił się pomysł, który zmienił znaczenie całego odkrycia. Neurony, czyli komórki nerwowe tworzące m.in. nasz mózg, również wykorzystują przepływ jonów przez błonę do generowania sygnałów elektrycznych. Co więc, jeśli sprawimy, że światłoczuła bramka algi pojawi się też w neuronach?

Za pomocą inżynierii genetycznej naukowcy mogą sprawić, że rodopsyny będą produkowane przez wybrane grupy neuronów. Kiedy padnie na nie światło, kanały będą się otwierać, zmieniając aktywność tych komórek. Innymi słowy, światło stanie się czymś w rodzaju precyzyjnego pilota do kontrolowania wybranych neuronów. Na tej zasadzie działa optogenetyka.

Światło staje się czymś w rodzaju precyzyjnego pilota do kontrolowania wybranych neuronów.

Ale dlaczego było to aż tak przełomowe? Wcześniejsze metody stawiały naukowcom pewne ograniczenia. Mogli tylko obserwować aktywność mózgu albo wpływać na nią mniej selektywnie. Optogenetyka połączyła dwie możliwości: precyzyjne wybranie, które komórki mają reagować, oraz określenie, kiedy mają zareagować.

Dzięki temu można nie tylko zauważyć, że określona grupa neuronów jest aktywna podczas danego zachowania. Można celowo wpłynąć na jej aktywność i sprawdzić, co się stanie. To różnica między pytaniem, które neurony są aktywne, a sprawdzaniem, czy aktywność właśnie

eprasa.pl fa2954935c



Karl Deisseroth, Peter Hegemann i Georg Nagel – laureaci Nagrody Nobla w dziedzinie fizjologii i medycyny. Sztokholm, 5 października 2026 r.

tych neuronów wpływa na to, co obserwujemy.

Już nie tylko obserwujemy mózg, badamy nie tyle korelacje, ile związek przyczynowo-skutkowy. Dziś ta droga może się wydawać niemal oczywista. Dla naukowców, którzy śledzili jej początki, wcale taka nie była.

Kiedy Friedrich Kleiner zaczął uczestniczyć w konferencjach poświęconych *Chlamydomonas*, Peter Hegemann miał już w środowisku wyrobioną reputację. Kleiner zapamiętał go jako jednego z „major channelrhodopsin guys" – czołowych badaczy rodopsyn kanałowych. Był głównym prelegentem, ale jednocześnie jednym z wielu naukowców na konferencji pełnej, jak żartobliwie określa ich Kleiner, „algae nerds". Kleiner przyznaje, że sam nie zdawał sobie wtedy sprawy, jak daleko badania nad rodopsynami kanałowymi wyjdą poza świat alg. Dopiero później zobaczył skalę ich zastosowania w neurobiologii.

Skoro nawet naukowcy pracujący z *Chlamydomonas* nie mogli przewidzieć, dokąd zaprowadzą te badania... Czy więc jesteśmy w stanie z góry ocenić, które pytania okażą się kiedyś „użyteczne"?

Część badań zaczyna się od konkretnego problemu: chcemy opracować skuteczniejszy lek, znaleźć biomarker choroby albo ulepszyć istniejącą technologię. Badania fundamentalne mogą się zaczynać od czegoś znacznie prostszego – od ciekawości.

Jak jednokomórkowy organizm rozpoznaje kierunek światła? Jakie białko za to odpowiada? W jaki sposób światło zmienia jego aktywność? Żadne z tych pytań nie musi początkowo zawierać obietnicy nowej terapii. Ich celem jest przede wszystkim zrozumienie mechanizmu.

Nie oznacza to, że badania aplikacyjne są mniej wartościowe. Przeciwnie. Historia optogenetyki pokazuje zależność między jednym a drugim. Zanim ktoś zapyta, jak możemy to wykorzystać, ktoś wcześniej musi zapytać: jak to właściwie działa?

Dla Friedricha Kleinera to jest jedna z najważniejszych lekcji tegorocznego Nobla. „To niesamowite, ile czasu potrzeba, żeby pytanie wynikające z czystej ciekawości przekształciło się w coś, czego nikt się nie spodziewał", mówi. Jak dodaje, historia rodopsyn kanałowych pokazuje, że „nauka uprawiana dla samego poznania może mieć swoją wartość".

Ja jednak przekonałam się, że ten proces wygląda znacznie mniej elegancko, kiedy obserwuje się go od środka.

Pracowałam nad projektem badawczym dotyczącym *Chlamydomonas* reinhardtii w laboratorium dr Marie-Eve Aubin-Tam na Bionanosciences TU Delft. Nie badałam reakcji algi na światło. Szukałam najskuteczniejszego sposobu na wprowadzenie do jej komórek obcego DNA, tak aby zaczęły produkować nowe białko. To zasada podobna do tej wykorzystanej przez Karla Deisserotha, który za pomocą inżynierii genetycznej sprawił, że neurony zaczęły wytwarzać światłoczułe rodopsyny kanałowe.

Z zewnątrz badania naukowe łatwo sobie wyobrazić jako serię eksperymentów prowadzących do odkrycia. W praktyce jedno z najczęstszych pytań w naszym laboratorium było znacznie mniej spektakularne: dlaczego tym razem nie wyszło?

Żeby wprowadzić obce DNA do komórek algi, poddawałam je krótkim impulsom elektrycznym, które chwilowo zwiększały przepuszczalność ich

eprasa.pl fa2954935c

błony. Potem sprawdzałam, ile komórek udało się w ten sposób zmodyfikować. Czasem wyrastały mi setki kolonii, innym razem, przy pozornie podobnym eksperymencie, zaledwie kilka. Dlaczego? Czy zadecydowała siła impulsu? Jego przebieg? Ilość podanego DNA? A może kondycja komórek tego dnia? Wynik nie był końcem eksperymentu, lecz początkiem kolejnego pytania.

Jeden z eksperymentów wydawał się szczególnie prosty do oceny. Wprowadzałam do alg gen z instrukcją produkcji czerwonego białka fluorescencyjnego mRuby2. Jeśli wszystko zadziała, zmodyfikowane komórki powinny dawać czerwony sygnał pod mikroskopem fluorescencyjnym.



Algi, od których wszystko się zaczęło.

Kolonie wyrosły. PCR potwierdził, że wprowadzone DNA rzeczywiście znalazło się w genomie algi. Pozostawało spojrzeć, co będzie pod mikroskopem. Według protokołu miałam zobaczyć czerwony sygnał. Tyle że go nie było.

Na papierze wszystko się zgadzało. Pod mikroskopem – nie. Tu zaczyna się właściwa zagadka. Gen dostał się do genomu, ale spodziewanego efektu nie było. Dlaczego? Czy komórka wyciszyła obcy gen? Czy DNA trafiło w takie miejsce genomu, że nie mogło zostać prawidłowo odczytane? A może białko jednak powstało, tylko sprzęt, którym dysponowaliśmy, nie pozwalał nam zobaczyć zbyt słabego sygnału?

To ostatnie także jest częścią codziennej nauki. Laboratoria nie dysponują każdym możliwym urządzeniem, a eksperyment trzeba często zaprojektować wokół sprzętu i metod, do których rzeczywiście ma się dostęp.

Czy więc eksperyment się nie udał? Nie do końca. Nie dostaliśmy odpowiedzi, której oczekiwaliśmy, ale dowiedzieliśmy się czegoś nowego: DNA mogło się znaleźć w genomie, a mimo to nie prowadzić do wykrywalnej produkcji białka. Zamiast zamknąć pytanie, wynik stworzył kilka następnych. W nauce „nie wyszło" nie zawsze oznacza porażkę.

Z czasem zrozumiałam jeszcze coś, co początkowo było dla mnie zaskakujące: mój opiekun również nie zawsze znał odpowiedź. Kleiner pracował z *Chlamydomonas* znacznie dłużej ode mnie. Kiedy jednak przynosiłam mu nietypowy wynik, czasami słyszałam po prostu: „Nie wiem". I wtedy zaczynała się właściwa praca naukowa.

Szukaliśmy publikacji, wracaliśmy do wcześniejszych eksperymentów, porównywaliśmy wyniki i zastanawialiśmy się, który szczegół mógł mieć znaczenie. Jeśli odpowiedzi nie było w literaturze, można było napisać do naukowca z drugiego końca świata, który pracował nad podobnym problemem. Potem wybieraliśmy najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie i projektowaliśmy kolejny eksperyment, żeby je zweryfikować.

Czasem to ja znajdowałam publikację, na którą Friedrich wcześniej nie trafił. I wtedy zaczęłam rozumieć, że laboratorium w niczym nie przypomina szkolnej klasy. Opiekun nie ma klucza z poprawnymi odpowiedziami, a student nie próbuje ich odgadnąć. Oboje próbują rozwiązać problem, którego być może nikt wcześniej nie rozwiązał. Dlatego duża część nauki dzieje się poza stołem laboratoryjnym – podczas czytania, dyskusji i prób zrozumienia, co właściwie pokazał eksperyment. Ekspertyza naukowca polega nie na znajomości wszystkich odpowiedzi, lecz na umiejętności ich szukania. A czasem najważniejszym wynikiem eksperymentu nie jest odpowiedź, tylko lepsze pytanie.

Tak jak trudno wskazać jeden moment, w którym rodzi się odpowiedź, tak trudno przypisać wielkie odkrycie do jednego eksperymentu. Droga prowadząca do Nobla może obejmować dekady pracy naukowców na różnych etapach kariery, z wielu laboratoriów i dziedzin.

W gotowej publikacji tego procesu zazwyczaj nie widać. Zostaje uporządkowana historia: pytanie, eksperyment, wynik, wniosek. Znikają nieudane próby, zmieniane po drodze parametry, dyskusje i pytania, które prowadziły do kolejnego eksperymentu.

Podobnie jest z historią rodopsyn kanałowych. Dzisiaj możemy narysować prostą strzałkę: alga, światłoczułe białko, neuron, optogenetyka, Nobel. Tyle że ta strzałka wydaje się prosta dopiero wtedy, kiedy znamy zakończenie historii.

Pomiędzy tymi etapami były lata eksperymentów, nieoczekiwanych wyników, których początkowo nie dało się wyjaśnić. Tegoroczny Nobel przypomina zatem, że nauka nie zawsze zaczyna się od wielkiego problemu, który chcemy rozwiązać, ale od znacznie prostszego pytania: jak to właściwie działa? Kilkadziesiąt lat temu jednym z takich pytań było: skąd jednokomórkowa alga wie, gdzie jest światło? Odpowiedź zaprowadziła naukowców aż do ludzkiego mózgu.

Być może więc nauka rozwija się nie dlatego, że naukowcy znają odpowiedzi, ale dlatego, że wciąż znajdują nowe pytania, które warto zadać.

Weronika Walenciak

FOT. AP/EAST NEWS, ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl fa2954935c



Do wzrostu napięcia na linii Ateny-Ankara przyczyniło się m.in. utworzenie przez Grecję latem 2025 r. parku morskiego w rejonie wyspy Milos (Değirmenlik).

Erozja grecko-tureckiego dialogu

Parki morskie to zasłona dymna dla egzekwowania własnej polityki przez Ateny i Ankarę

Chrystian Ślusarczyk

Wystarczy rzut oka na mapę wschodniej części Morza Egejskiego. Większość wysp, mimo że znajdują się bliżej Izmiru niż Aten, należy do Grecji. Jedynie dwie zamieszkane, Bozcaada – wyspa sztuki i wina – oraz Imroz (Gökçeada), należą do Turcji. Greckie wyspy rozrzucone są wzdłuż tureckiego wybrzeża na obszarze ciągnącym się na setki kilometrów. W greckich rękach znajduje się wszystko: począwszy od szczytu Fengari na północy aż po popularną Rodos na południu. Dokładna liczba wszystkich greckich wysp i wysepek jest trudna do podania. Różne źródła bowiem różnie je klasyfikują.

Wysepka Kastellorizo (Meis), mająca mniej niż 500 mieszkańców, oddalona jest od tureckiego brzegu (w rejonie miasteczka Kaş) o zaledwie ok. 2 km! Greckie gospodynie mogłyby przez lornetkę podglądać, co na obiad przygotowują tureckie…

Wyspy te to jeden z ważniejszych powodów oziębłych lub bardzo złych stosunków grecko-tureckich. Ale nie tylko przez nie relacje dwóch należących do NATO krajów od lat są dalekie od wzorcowych. W Europie budzi to zdumienie, jednak w wymiarze historycznym dla Grecji pozostają problemem cztery wieki tureckiego jarzma oraz pamięć prawie 200 lat konfliktów i czystek etnicznych na obszarach zamieszkiwanych przez obie nacje. A przegrana przez Ateny wojna grecko-turecka z lat 1919-1922 mocno osłabiła Helladę i stała się mitem założycielskim nowoczesnej Republiki Tureckiej.

Od lata 2025 r. konflikt ten przybrał nowy wymiar. Powodem najnowszego sporu jest utworzenie parków morskich. Choć na papierze inicjatywy te przedstawiane są w kontekście ekologicznym – mówi się o ochronie środowiska i zrównoważonym rozwoju ekosystemów morskich – obie strony praktycznie od początku oceniają je zupełnie inaczej.

Parki kontra parki

Do wzrostu napięcia na linii Ateny-Ankara przyczyniło się utworzenie przez Grecję latem 2025 r. dwóch parków na dużym obszarze morskim w rejonie wysp Milos (Değirmenlik) i Levitha (Koçbaba). Ateny uzasadniały decyzję ochroną ekosystemów i potrzebą wprowadzenia zakazu

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl fa2954935c

połowów włokami dennymi (ciągnięcia ciężkich sieci po dnie morskim – przyp. red.). Jednak według Ankary inicjatywa wykracza poza cele środowiskowe i stanowi strategiczne posunięcie mające na celu rozszerzenie greckiej strefy wpływów na Morzu Egejskim i wschodniej części Morza Śródziemnego.

W odpowiedzi na decyzję Grecji o utworzeniu parków morskich tureckie MSZ podkreśliło, że należy unikać jednostronnych działań na morzach półzamkniętych, takich jak Egejskie i Śródziemne – priorytetem powinna być współpraca między państwami nadbrzeżnymi. Argumentowano jednocześnie, że ochrona środowiska nie powinna być wykorzystywana do zmiany status quo przez jedną stronę. Turcja zwróciła uwagę na fakt, że parki mogą mieć negatywne konsekwencje dla wolności żeglugi, dostępu do pełnego morza oraz działań tureckich statków rybackich. Podkreślono, że Turcja nie sprzeciwia się ochronie środowiska i jest gotowa współpracować z Grecją w tych kwestiach. Ankara dała jednak do zrozumienia, że sprzeciwia się instrumentalizacji ochrony środowiska w ramach działań jednostronnych.

Zamiast ograniczyć się do protestów dyplomatycznych, decyzją prezydenta z 16 sierpnia 2026 r. Turcja utworzyła dwa własne morskie parki narodowe – jeden w północnej części Morza Egejskiego, a drugi wzdłuż korytarza Fethiye-Kaş (o powierzchni ponad 21 tys. km kw.). Spowodowało to natychmiastowy sprzeciw greckiego MSZ – uznano decyzję Turcji za nielegalną.

Ten ruch Ankary oficjalnie łączy ekologię z twardą polityką morską regionu w ramach doktryny „Błękitna Ojczyzna". Narodowy Park Morski Fethiye-Kaş ma strategiczne znaczenie dla bezpieczeństwa energetycznego Turcji ze względu na rozwijanie energetyki wiatrowej, a także zasoby gazohydratów.

Utworzenie na mocy decyzji tureckiego prezydenta parków morskich znacząco ograniczyło Grekom pole manewru na Morzu Egejskim i we wschodniej części Morza Śródziemnego. Pokrywają się one bowiem z obszarami, do których Grecja jednostronnie rości sobie prawo w ramach szelfu kontynentalnego. A wyznaczenie parku Fethiye-Kaş wokół Kastellorizo sprawia, że greckie roszczenia do szelfu kontynentalnego o powierzchni 40 tys. km kw. wokół wyspy praktycznie tracą znaczenie. Z kolei park utworzony na północy Morza Egejskiego obejmuje przejścia morskie między wyspami Samotraka i Lemnos i staje się tym samym przeciwwagą dla greckiej strategii kontrolowania akwenu Morza Egejskiego poprzez posiadane wyspy.

Grecję niepokoją działania tureckich jednostek morskich w zakresie egzekwowania przepisów środowiskowych, ograniczenia nakładane na greckie kutry rybackie, ciągły dozór prowadzony przy użyciu bezzałogowych statków powietrznych oraz ponowne wprowadzenie na forum międzynarodowym kwestii tzw. szarych stref, których status pozostaje niejasny.

Zdaniem tureckiego dziennika „Daily Sabah" inicjatywa utworzenia parków morskich zapewniła Turcji wyraźną przewagę dyplomatyczną, a nawet psychologiczną. „Wykorzystując ten sam instrument środowiskowy, Turcja obnażyła ekspansjonistyczną strategię geopolityczną Grecji, realizowaną pod płaszczykiem »ochrony środowiska«, pozbawiając Ateny tego atutu dyplomatycznego – czytamy. – Co więcej, Turcja wyszła poza dotychczasową politykę, opartą wyłącznie na notach dyplomatycznych, i udowodniła, że potrafi sprawnie podejmować konkretne kroki w terenie".

W Turcji panuje przekonanie, że wsparcie procesu tworzenia parków mapą morskiego planowania przestrzennego, zarejestrowaną w Międzyrządowej Komisji Oceanograficznej (IOC), zapewnia roszczeniom solidniejsze podstawy prawne i wzmacnia pozycję kraju w negocjacjach dyplomatycznych.

Strona turecka uważa, że biorąc pod uwagę zarówno stabilność w regionie, jak i własne interesy, korzystniejsze dla Aten byłoby wypracowanie z Ankarą mechanizmów regularnych konsultacji i wspólnego zarządzania akwenami niż podejmowanie jednostronnych inicjatyw.

Doskonale jednak widać, że w przypadku obu państw ochrona środowiska na Morzu Egejskim pełni w dużej mierze funkcję politycznej zasłony dymnej.

Zdaniem tureckiego dziennika „Daily Sabah" inicjatywa utworzenia parków morskich zapewniła Turcji wyraźną przewagę dyplomatyczną, a nawet psychologiczną.

Greckie Ministerstwo Obrony planuje utworzenie nad Morzem Egejskim tarczy przeciwlotniczej wzorowanej częściowo na izraelskiej Żelaznej Kopule.

„Tarcza Achillesa" i konfliktogenny kabel

Grecja, mając na uwadze stosunki z Ankarą, rozwija współpracę strategiczną z Izraelem. Mimo wzmożonej krytyki, także w samej Grecji, a wynikającej z sytuacji w Strefie Gazy, premier Kiriakos Mitsotakis utrzymuje bliskie kontakty z izraelskim premierem Beniaminem Netanjahu. Greckie Ministerstwo Obrony planuje utworzenie nad Morzem Egejskim tarczy przeciwlotniczej wzorowanej częściowo na izraelskiej Żelaznej

eprasa.pl fa2954935c

Kopule. Projekt nazwany „Tarcza Achillesa" ma zapewnić ochronę przed potencjalnymi zagrożeniami, w tym ze strony sąsiadów (Turcji?). Pełną gotowość operacyjną systemu przewidziano na rok 2029. „Tarcza Achillesa" to jeden z największych programów modernizacji greckich sił zbrojnych. Na zakup nowego uzbrojenia Ateny przeznaczą 4,2 mld euro. Z tej kwoty aż 3,1 mld pochłonie wspomniana tarcza.

Prawdopodobnie wiosną 2027 r. odbędą się w Grecji wybory parlamentarne. W miarę zbliżania się tego terminu premier Mitsotakis może się znaleźć pod rosnącą presją społeczną. I nie mając wyboru, będzie musiał przyjąć bardziej zdecydowane, nacjonalistyczne stanowisko. Jeszcze zanim powstały oba tureckie parki morskie, Syriza, partia radykalnie lewicowa, stwierdziła, że „tureckie prowokacje nie mają końca".

Czy pojawi się nadzieja na załagodzenie sporów i niekończących się napięć wokół przygranicznych wysp? Na razie trudno o pozytywną odpowiedź. Spór może się raczej nasilać – z zupełnie innego, także bardzo konfliktogennego powodu. Grecja planuje budowę wielkiego podwodnego połączenia energetycznego, linii kablowej prądu stałego (HVDC), najpierw z Kretą, potem z Cyprem, a docelowo z Izraelem. Inwestycja ma kluczowe znaczenie dla Cypru, ponieważ zakończy jego izolację energetyczną i zintegruje wyspę z systemem unijnym.

Kabel ma zostać położony wyjątkowo głęboko. W niektórych miejscach Morza Śródziemnego nawet 3 tys. m poniżej tafli wody! Będzie to jeden z najbardziej skomplikowanych technicznie projektów tego typu na świecie.

Ankara jakiś czas temu ostrzegła Greków, że bez uzyskania jej zgody planowany kabel nie może przebiegać pod wodami, które Turcja uznaje za swój szelf kontynentalny.

Stosunki na linii Ateny-Ankara przypominają sinusoidę. Gdy w lutym 2023 r. Turcję nawiedziło niszczycielskie trzęsienie ziemi, Grecja udzieliła jej znacznej pomocy i obydwa państwa bardzo się do siebie zbliżyły. W grudniu 2023 r. podpisały deklarację ateńską o „dobrosąsiedzkich stosunkach", co mogło stanowić kolejny krok do poprawy relacji. „Ocieplenie zapoczątkowane w 2023 r. nie rozwiązało zasadniczych sporów, lecz przede wszystkim ograniczyło ryzyko niekontrolowanego kryzysu – podkreślił we wrześniowym wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" Adam Michalski, ekspert Ośrodka Studiów Wschodnich. – Przywrócono regularny dialog, rozwijano kontakty gospodarcze i turystyczne, a jeszcze w lutym 2026 r. Erdoğan i Mitsotakis spotkali się w Ankarze". Michalski trafnie jednak ocenia, że „dziś możemy mówić o wyraźnej erozji pozytywnego grecko-tureckiego dialogu i powrocie do ostrzejszej rywalizacji".

Na razie napięcia na linii Ateny-Ankara nie osiągnęły jeszcze poziomu eskalacji z lat 2020-2021. Może spór o parki morskie powstałe na styku Grecji i Turcji uda się jakoś zażegnać. Dla dobra Aten, Ankary i milionów turystów.

Chrystian Ślusarczyk



eprasa.pl fa2954935c

POLOWANIE ZA POMOCĄ

Yossi Yovel



Gacek brunatny (wielkouch; *Plecotus auritus*) w trakcie polowania.

Nocek amerykański waży mniej niż 10 gramów i spodziewano się, że po niecałej półgodzinie polowania zawartość jego żołądka będzie ważyć mniej niż jeden gram.

Nocki amerykańskie łapią owady z prędkością około jednego grama na godzinę (...), co prowadziło badaczy do wniosku, że nietoperze łapią w godzinę ok. 100-500 owadów, mniej więcej jednego na 10 sekund. Powietrze o zmierzchu jest pełne owadów, zwłaszcza muszek – maleńkich muchówek przypominających komary.

W Ameryce Północnej i Europie w letnie wieczory można zobaczyć chmary takich muszek, które gromadzą się, by znaleźć partnerów. Rojowiska zwykle składają się z samców, które unoszą się w miejscu w wielkim napięciu. Gdy w chmarę wleci samica, kilka samców rzuca się ku niej, próbując kopulować. Samce rozpoznają samicę po nieco innym brzęczeniu jej skrzydeł. Kopulacja, nawiasem mówiąc, odbywa się w powietrzu.

Nietoperze wykorzystują tę owadzią żądzę. Jedna z głównych teorii ewolucyjnych dotyczących umiejętności lotu i echolokacji u nietoperzy sugeruje, że zdolności te rozwinęły się właśnie dzięki obfitości latającego białka dostępnego wczesnym wieczorem. Choć o zmierzchu maleńkich muszek właściwie nie da się zobaczyć gołym okiem, to echolokacja pozwala nietoperzom wykrywać je za pomocą fal dźwiękowych.

Edwin Gould odkrył, że w zaledwie godzinę nietoperze zwiększają masę ciała nawet o 20%. Wyobraź sobie, że tyjesz o 20% w godzinę, by nazajutrz o tyle samo schudnąć, a wieczorem znów przytyć – i tak bez końca.

Gdy byłem początkującym badaczem, to szybkie tycie zwiodło mnie na manowce. Pewnego wieczoru zastawiliśmy sieć chiropterologiczną przy wejściu do jaskini zamieszkiwanej przez kilka tysięcy brodawkonosów dużych. Był to pierwszy gatunek, któremu założyliśmy nadajniki GPS.

Brodawkonosy wylatywały z jaskini ogromną falą i w ciągu 20 minut po całej kolonii nie było ani śladu. Zanim ostatnie osobniki zdążyły się wydostać, złapaliśmy w sieć kilka ciężarnych samic – bardzo „pękatych", jak je określiliśmy. Zaskoczyło mnie to. Myśleliśmy, że w jaskini są tylko samce. Stałem osłupiały wraz z moimi studentami, dopóki dokładniejsze przyjrzenie się ich narządom płciowym nie ujawniło, że... to samce. Samce w zaawansowanej ciąży?

Dopiero po kilku sekundach dotarło do mnie, że złapaliśmy nietoperze, które jako pierwsze wróciły z żerowania. Oznaczało to, że zdążyły napełnić brzuchy owadami w niecałe pół godziny, a do jaskini wróciły „pękając w szwach". Albo były to najskuteczniejsi łowcy w kolonii, albo po prostu najwięksi szczęściarze. Trudno to ocenić.

Gould i Griffin po raz pierwszy dokładnie oszacowali tempo polowania nietoperzy, ale wielu badaczy nadal sceptycznie odnosiło się do nietoperzowej zdolności wykrywania maleńkich (mających 1-2 mm) owadów za pomocą echolokacji.

Dwaj badacze udowodnili, że nietoperze używają ultradźwięków, by unikać wpadania na ściany laboratorium – ale czy mogły używać ich do polowania na drobniutkie owady w locie? Większość biologów w to wątpiła, twierdząc, że ewolucja nie byłaby w stanie wykształcić układu słuchowego o takiej czułości. Badania Alana Grinnella nad nietoperzowym mózgiem – które wykazały, że jednak była w stanie – miały zostać opublikowane dopiero dekadę później.

Sceptycy nie mogli zaprzeczyć temu, że nietoperze polują na komary i inne maleńkie owady, bo dobrze to udokumentowano dzięki analizom zawartości ich żołądków.

Sugerowali więc inne wyjaśnienia wykrywania owadów. Niektórzy przypuszczali, że nietoperze słyszą

eprasa.pl fa2954935c



ULTRADŹWIĘKÓW

PODCZAS ATAKU NA ZDOBYCZ NIETOPERZE ZWIĘKSZAJĄ TEMPO ECHOLOKACJI NAWET DZIESIĘCIOKROTNIE

dźwięki wydawane przez same owady – np. brzęczenie ich skrzydeł, tak jak samce muszek. Inni twierdzili, że nietoperze stosują metodę „przesiewania": lecą z otwartymi pyskami przez chmarę muszek i łapią je „na chybił trafił".

Griffin był zdeterminowany, by poznać prawdę. W latach po odkryciu echolokacji nieustannie pracował nad nagrywaniem nietoperzy w ich naturalnym środowisku, gdzie polują na owady. Wymagało to korzystania z najnowocześniejszych technologii rejestracji i wizualizacji dźwięku. W tym samym roku, w którym Gould ganiał za nietoperzami ze strzelbą o kalibrze 12 mm, Griffin opublikował pierwszą pracę naukową przedstawiającą wiarygodny dowód na to, że nietoperze polują na maleńkie owady za pomocą fal ultradźwiękowych.

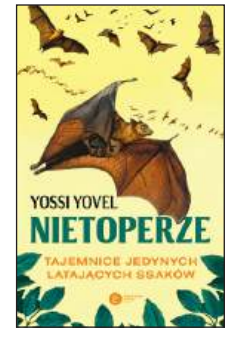
Zauważył, że za każdym razem, gdy nietoperz nurkuje w kierunku owada, zwiększa tempo emisji sygnałów echolokacyjnych. Dziś wiemy, że podczas ataku na zdobycz nietoperze zwiększają tempo echolokacji nawet dziesięciokrotnie – do ponad 12 sygnałów na sekundę.

Wiemy też, że mięśnie krtani, które im to umożliwiają, należą do najszybszych w świecie zwierząt. Żeby wyobrazić sobie ich szybkość, spróbuj wykonać w sekundę 200 ruchów językiem. Współcześnie możemy nieprzerwanie nagrywać echolokację przez wiele godzin, ale Griffin nie miał tej możliwości. Aby oszacować tempo sygnałów nietoperzy, musiał wyświetlać nagrania na ekranie starego oscyloskopu i fotografować je aparatem. Co gorsza, mógł nagrywać tylko krótkie sekwencje kilku sygnałów naraz.

Fakt, że nietoperze zmieniają tempo emisji podczas ataku na owada, silnie przemawiał za tym, iż używają echolokacji właśnie do polowania. Dziś wiadomo już, że ta zdolność regulowania tempa zbierania informacji jest jednym z narzędzi, które czynią je tak skutecznymi łowcami. Umożliwia bowiem dostosowanie szybkości pozyskiwania informacji do wykonywanego zadania. Gdy zbliżasz się do małego owada, chcesz wiedzieć dokładnie, gdzie się znajduje i dokąd leci.

Zdolność nietoperzy do regulowania tego tempa jest zdumiewająca. Nawet większość współczesnych radarów nie dostosowuje częstotliwości emisji do zadania – a z pewnością nie w tak szerokim zakresie jak nietoperze. Aby obalić twierdzenie, że nietoperze słyszą brzęczenie skrzydeł owadów, Griffin podrzucał w górę małe kamyki, które oczywiście w takiej sytuacji nie brzęczą. Zaobserwował wówczas, że nietoperze nadal nurkowały po kamienie tak jak po owady i przyspieszały emisję echolokacji. Nie martw się, nietoperze nie łapały kamieni. W pewnym momencie orientowały się, czym one w istocie są.

Griffin włożył w te badania ogrom pracy. W ich trakcie nieustannie poszukiwał najnowszych technologii, które umożliwiały rejestrowanie lotów nietoperzy w naturalnym środowisku. Choć badania zajęły mu 10 lat, to zdołał pomieścić ich efekty w jednym artykule naukowym (...). Podekscytowanie Griffina widać zresztą w treści artykułu, gdzie nazywa zwiększanie tempa sygnałów echolokacyjnych „najbardziej niezwykłą cechą wokalizacji nietoperzy obserwowanych w naturze". W opisie dźwięków używa też ciekawych porównań, np. gdy pisze, że odgłos putt-putt-putt wznosi się do „bzyczenia" jak jednocylindrowy silnik benzynowy po wciśnięciu gazu. Nawiasem mówiąc, oznaczający brzęczenie termin buzz się przyjął – do dziś mówimy o feeding buzz (bzyczącym żerowaniu).

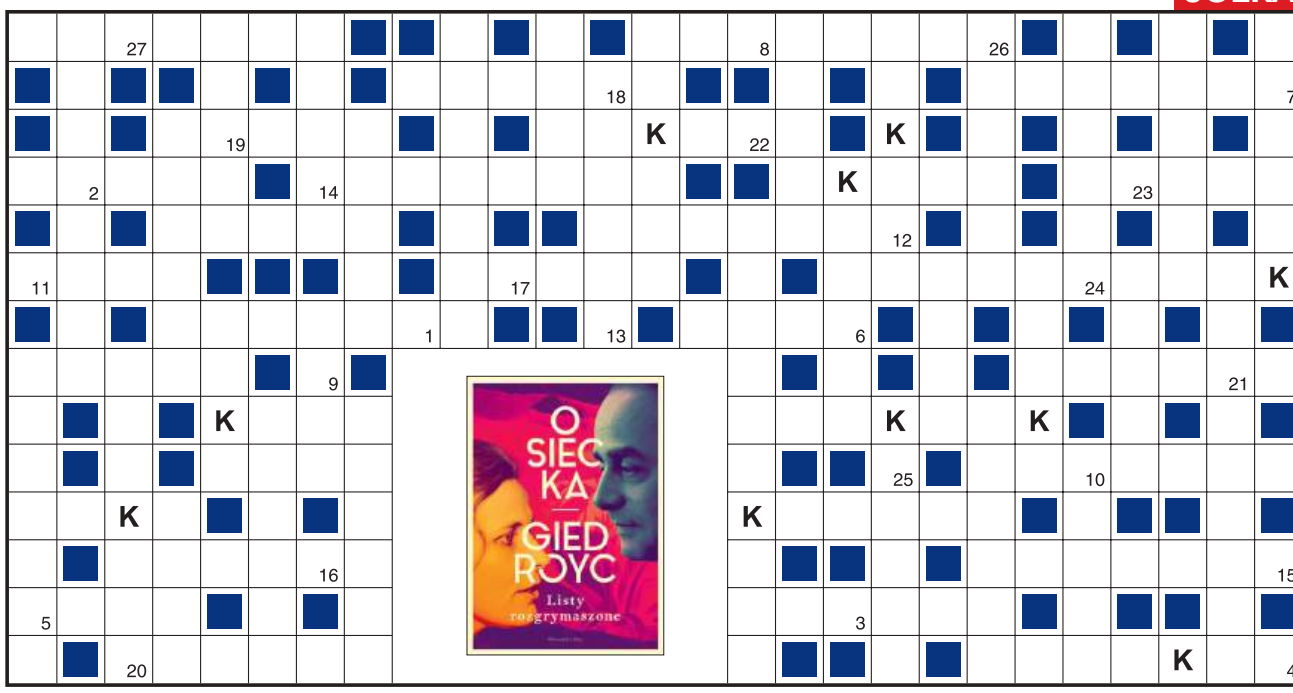


Fragmenty książki Yossiego Yovela *Nietoperze. Tajemnice jedynych latających ssaków*, tłum. Szymon Drobniak, Copernicus Center Press, Kraków 2026

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl fa2954935c

JOLKA



1	2	3	4	5	6	7	8

9	10	11	12	13	14

15	16	17	18	19	20	21	22

23	24	25	26	27

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 27 utworzą końcowe hasło.

- imię architekta i urbanisty Ciborowskiego
- jego liście na głowicy korynckiej kolumny
- szpak o białych piórach
- …Anna Giedyminówna
- krzywonosa lub wymarła olbrzymia
- Algawskie z pękającym szczytem Hochvogel
- aktor taki jak Valentino, Bodo czy Clooney
- solo Aleksandry Kurzak
- …Gilberto śpiewająca „Dziewczynę z Ipanemy”
- pojazd do przewozów turystycznych
- czarny, co był we młynie
- słynny głęboki w sukni Kaliny Jędrusik
- materialne lub włości
- gdy towar się kończy, zamawiana nowa
- jego burger w McDonald’s w sezonie jesienno-zimowym
- kilka zwodów z piłką na boisku
- o miejscu lub sytuacji sprzyjających dużym zyskom
- wybrany, ale niezaprzysiężony
- warstwa pokrywająca metalowe naczynia
- szara – dużo może
- jej efekt to jednoczenie się wokół władzy w chwili zagrożenia
- uroczystość z udziałem oficjalnych gości
- Marcin, były koszykarz z NBA
- solidny łyk
- wyspiarski stan USA
- przewidział swoją śmierć podczas wyprawy Argonautów
- jej Christopher Nolan nie sfilmował
- forma rozliczeń bezgotówkowych
- udzielenie wskazówek, objaśnienie
- ma wyższe wykształcenie techniczne
- zdradził Jezusa
- czerwonym jest Proxima Centauri
- karciane czerwone serduszko
- górnik rębacz lub kiepski piłkarz
- Katarzyna od „Piramidy zwierząt”
- polewa zrobiona z roztopionego cukru
- złą miał Kopciuszek
- żarnowy lub ostrzowy do kawy
- bywają kosmate w głowie
- przywrócenie sprawności technicznej urządzenia
- rzeka z powieści Orzeszkowej
- przyjęcie sygnału lub przesyłki
- …Zamknięty – zespół rockowy
- damski kostium plażowy
- instrument w kościele
- coś, co poprawia samopoczucie, pociecha
- groźna, wysoce zakaźna choroba
- dwupoziomowy wagon lub autobus
- wyznaczone miejsce pełnienia straży
- nadaje na falach
- postawa z szeroko rozstawionymi nogami
- trucizna z rącznika
- koszyczek ostu, łopianu
- naciowy nie ma korzenia spichrzowego
- konflikt, zatarg, waśń
- imię reżysera Kubricka
- długa podpora fasoli
- …Bolt – jamajski sprinter
- fryzura lub wzór dziewiarski
- wezwanie na wyprawę wojenną
- im jest starsze, tym lepsze
- norma, reguła postępowania

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1296”. Do rozlosowania książki „Listy rozgrymaszone” ufundowane przez Prószyński Media. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 25 października 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1293” z nr. 40: *U literata pusta chata.*

Nagrody otrzymują: Aleksandra Biernat z Warszawy, Irena Koczot-Markiewicz z Dobrzan, Tadeusz Pilichowski z Łodzi.

eprasa.pl fa2954935c

Soft power

Karol Nawrocki złożył wizytę na Filipinach. Ćwiczył z mistrzem świata w boksie Mannym Pacquiao, więc cel turystyczny osiągnął. Potem urzędnicy prezydenta opowiadali, że w ten sposób Polska buduje na Filipinach popularność. To jest jej soft power. Nikt nie wątpi, że boksując z Pacquiao, Karol Nawrocki był soft…

Wracając do kraju, prezydent udzielił wywiadu, w którym wyrażał żal, że szefowa placówki w Manili Katarzyna Wilkowiecka nie jest pełnym ambasadorem, tylko chargé d'affaires a.i. Choć jest znakomitym dyplomatą. Owszem, Karol Nawrocki miał w tej sprawie rację – Katarzyna Wilkowiecka pracuje w MSZ od lat, zna Azję, m.in. inaugurowała w Chengdu w Chinach konsulat RP, który przez cztery lata prowadziła. Ma wyczucie spraw biznesu, bardzo dobrze zorganizowała wizytę Nawrockiego. I powinna być pełnym ambasadorem. A dlaczego nie jest? Bo Karol Nawrocki, jak zdradził, chce uregulować sprawę ambasadorów całościowo – to znaczy chce mieć własną pulę ambasadorską, w której byłoby również stanowisko ambasadora RP w Waszyngtonie.

Dziękujemy prezydentowi RP za szczere słowa. Bo już wiemy na pewno, że Karol Nawrocki blokuje nominacje ambasadorów nie z powodu słabych kandydatur przedstawianych mu przez ministra Sikorskiego, ale dlatego, że nie dostaje kandydatur prezydenckich.

Ta walka o swoich ludzi ma konsekwencje. Katarzynie Wilkowieckiej trudniej z pozycji chargé d'affaires zabiegać o polskie interesy, a takie są – sprzedajemy na Filipiny montowane w Mielcu Black Hawki.

Mamy zresztą w tej dziedzinie pewną śmigłowcową tradycję. Otóż przez lata Filipiny pozostawały na marginesie zainteresowań naszej dyplomacji. Interesy Polski reprezentowała tam placówka w Bangkoku. Wszystko zmieniło się dopiero w roku 1991, kiedy otworzyliśmy ambasadę w Manili i ambasadorem został Krzysztof Szumski, opromieniony sukcesami w Zatoce. Przyjechał on do kraju, w którym Polska wciąż była traktowana jako kraj prorosyjski i w związku z tym np. polscy marynarze nie mogli samodzielnie wychodzić w filipińskich portach na ląd, musieli to robić w grupie i w towarzystwie oficera kontrwywiadu. Gdy zaś Szumski wyjeżdżał, żadnych takich przepisów już nie było, Polska była znakomicie postrzegana, do tego mieliśmy dopięty kontrakt na dostawę 12 śmigłowców Sokół. Wyjeżdżał w roku 1993, a w 1994 przeniesiono ambasadę do Bangkoku. Szumski był ambasadorem w Tajlandii (do roku 1997) i stamtąd pełnił misję na Filipinach.

Cóż, później już nigdy nie mieliśmy ambasadora rezydującego na Filipinach – dojeżdżał tam ambasador albo z Tajlandii, albo z Malezji. Owszem, placówka w Manili została reaktywowana w 2018 r., ale Jarosław Szczepankiewicz, który ją objął, był w stopniu chargé d'affaires.

Logiczne więc byłoby, aby prezydent Nawrocki po udanej wizycie i po komunikatach jego urzędników, jakie to ważne Filipiny są dla Polski, podpisał nominację ambasadorską Katarzynie Wilkowieckiej. Sam przyznał, że zasłużyła i że byłoby to w interesie Polski. Chyba że jakieś inne interesy są ważniejsze…

Attaché



Publiczna kara chłosty za utrzymywanie pozamałżeńskich stosunków seksualnych, zabronionych przez prawo islamskie obowiązujące w prowincji Aceh. Indonezja, Banda Aceh, 15 października 2026 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl fa2954935c







PENETRACJE

MIKOŁAJ RATAJCZAK,
INSTYTUT FILOZOFII I SOCJOLOGII PAN

Le Monde diplomatique

Widać coraz więcej oznak narastającego społecznego oporu. W kolejnych miastach mnożą się protesty mieszkańców, którzy mierzą się już nie z historiami o kolejnej kamienicy czyszczonej z lokatorów, kolejnym okropnym osiedlu deweloperskim czy z erupcją ofert mikromieszkań na wynajem za ponad połowę pensji minimalnej, lecz z powiększającym się chaosem przestrzennym oraz niszczeniem kluczowej dla życia infrastruktury w imię interesów kolejnego dewelopera. W samym Poznaniu mamy do czynienia nie tylko z mieszkańcami Osiedla Maltańskiego, którzy zostali sprzedani deweloperowi przez Archidiecezję Poznańską. (…) Nagłe zmienianie planu zagospodarowania przestrzennego to już norma w polskich samorządach – zresztą wciąż dwie trzecie kraju jest w ogóle takiego planu pozbawione. Jak traktować to inaczej niż jako kolaborację z kapitałem deweloperskim, z której społeczeństwo dostaje z powrotem jedynie absurdalnie drogie mieszkania?

JANUSZ SEPIOŁ,
GŁÓWNY ARCHITEKT MIASTA KRAKOWA

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY KRAKÓW I ŚWIAT

Najbardziej odpychający jest dla mnie kicz religijny i patriotyczny, ponieważ dotyka wartości tego, co święte, i tego, co najważniejsze. Gwałci wartości, wobec których odczuwamy szacunek albo miłość. Natomiast kicz architektoniczny niewątpliwie istnieje, ale jego definicja zmienia się wraz z epoką. Jan Zachwatowicz wspominał kiedyś, że podczas odbudowy Warszawy zastanawiano się, czy pozostawić jedną z kamienic secesyjnych jako przykład złego smaku. Ostatecznie zdecydowano się ją rozebrać, uznając, że nie warto zachowywać takich wzorców dla przyszłych pokoleń.

KRYSTYNA JANDA,
AKTORKA

PANI

Gdybym miała dziś 25 lat, to pewnie groziłaby mi samotność. Bo jestem ekspansywna, żywiołowa, żądam partnerstwa w każdej sprawie, lubię się wtrącać, wiedzieć. Interesuje mnie drugi człowiek. Ale za to dużo daję, oddaję, a obserwując młodych mężczyzn… na porządku dziennym są egoizm i roszczeniowość, a to zabójcy romantycznej miłości. (…) Na szczęście związki damsko-męskie to sprawy, które mnie już nie dotyczą. Romantyczne porywy serca dawno za mną. Za to przyjaźń, podobne poglądy, poczucie humoru i chęć życia sprawiają, że nie czuję się samotna.

DARIUSZ KAMYS,
LIDER KABARETU HRABI

Twój STYL

Zanim Asia Kołaczkowska zachorowała, często rozmawialiśmy na poważne tematy, ona je wywoływała. Co by było, gdyby któreś z nas odeszło? I dochodziliśmy do wniosku, że ci, którzy zostają, pracują dalej. Kabaret to nasze życie. Mieliśmy to wyjaśnione. I ustalone, że osobie, która odeszła, przez rok płacimy gażę, jakby była dalej z nami. Wspomagając rodzinę. Tak jest. Przyrzeczenia zawsze traktowaliśmy serio. Jej nie da się zastąpić. Moim zdaniem w polskiej rozrywce nie było artystki równie wszechstronnej i utalentowanej. Umiejącej tak docierać do ludzi. To był fenomen. Wielu traktowało ją jak kogoś bliskiego, wręcz członka rodziny.

FOT. AMEM (2), SEKCJA GIMNASTYCZNA

eprasa.pl fa2954935c

ANAGRAMY

Przestawiając litery, utwórz wyrazy z podanych słów.

Wyrazy z **sześciu** liter	Wyrazy z **siedmiu** liter	Wyrazy z **ośmiu** liter
1 JAZ + SAK =	3 KŁOS + GAZ =	5 BIEL + ROWY =
2 DAN + KUR =	4 IKRA + WAT =	6 FONT + REGA =

ROZWIĄZANIA: SZAJKA, NADRUK, ZGŁOSKA, WIATRAK, WIELORYB, ETNOGRAF



Aby język giętki...

PROF. ALEKSANDRA PRZEGALIŃSKA
O SZTUCZNEJ INTELIGENCJI
To obietnica czegoś idealnego, czego w rzeczywistości nie ma. Dla spółek technologicznych to szalenie intratny biznes.

MACIEJ BEREK
O PRZYSZŁOŚCI TRYBUNAŁU KONSTYTUCYJNEGO
Mamy sprawę przemyślaną i przygotowaną do tego, by Trybunał zaczął funkcjonować.

MANUELA GRETKOWSKA
O KAROLU NAWROCKIM
Uzależniony nie wiadomo od czego, do tego stopnia, że publicznie daje w dziąsło.

VADIM BRODSKI
O TALENCIE
Jestem jednym z ostatnich przykładów muzyka totalnego. Ilu muzyków na świecie potrafi zagrać jazz, utwory The Beatles i koncert Beethovena?

MAGDALENA CIELECKA
O „THE SECOND WOMAN"
Nigdy nie dostałam takiego feedbacku, tylu gratulacji, tylu słów uznania, miłości, podziwu…

WOJCIECH CHMIELARZ
O WYMYŚLANIU HISTORII
Lubię, kiedy moja wyobraźnia pracuje. Zaczynam od małego kamyczka i on jest fundamentem mojej historii.

MARIA SADOWSKA
O HELENIE ENGLERT
Jest niezwykle zdolna i charyzmatyczna. Ma w sobie to coś, co sprawia, że jest ciekawą artystką.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański **j.domanski@tygodnikprzeglad.pl**
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz **a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl**
Marzena Michałek **m.michalek@tygodnikprzeglad.pl**
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł **i.morzol@tygodnikprzeglad.pl**
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Jerzy Bralczyk, Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek **a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl**
Dział promocji:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl fa2954935c

Rafał Bojdys
Malarstwo



#RB29



Opowieść o liściu

Obrazy Rafała Bojdysa to barwna i pełna humoru galeria charakterystycznych ludzkich typów. Najnowsze prace, o wyrazistej kolorystyce oraz ironicznych tytułach, opowiadają o ludziach, ich pasjach i życiowych wyborach, przedstawianych poprzez gesty, sytuacje i symboliczne atrybuty. Jak podkreśla artysta, każda postać ma własną fabułę, którą odbiorca może rozwijać w swojej wyobraźni. Rafał Bojdys ukończył studia na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, na Wydziale Grafiki w Katowicach. Zajmuje się także ilustracją i projektowaniem plakatów.

Galeria Bielska BWA
Bielsko-Biała, ul. 3 Maja 11
do 1 listopada



Herbatka



Kota miejsce

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl fa2954935c



eprasa.pl fa2954935c

20 LAT

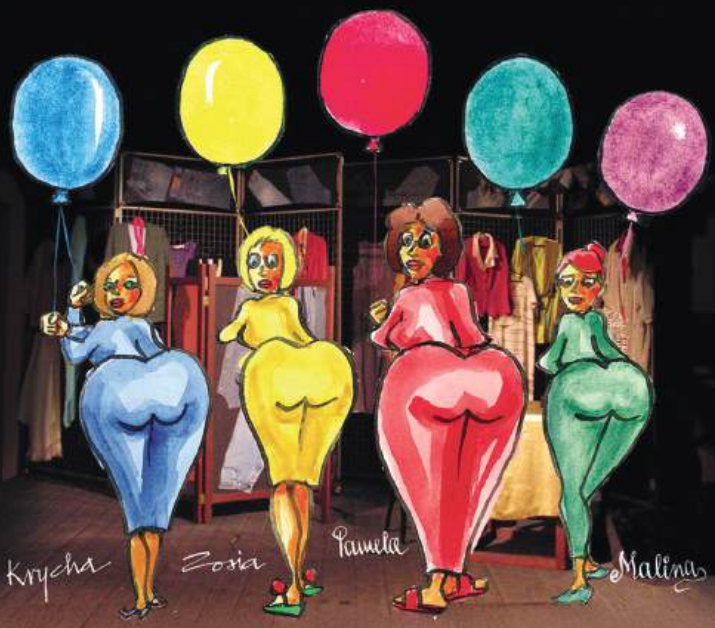
Elżbieta Jodłowska

KLIMAKTERIUM

...i już

3 listopada

Klub Stodoła
Warszawa





Elżbieta Jodłowska

KLIMAKTERIUM 2

czyli
menopauzy szał

25 listopada

Klub Stodoła
Warszawa

BILETY DOSTĘPNE NA: **TICKETCLUB.PL** | **STODOLA.PL**

eprasa.pl fa2954935c